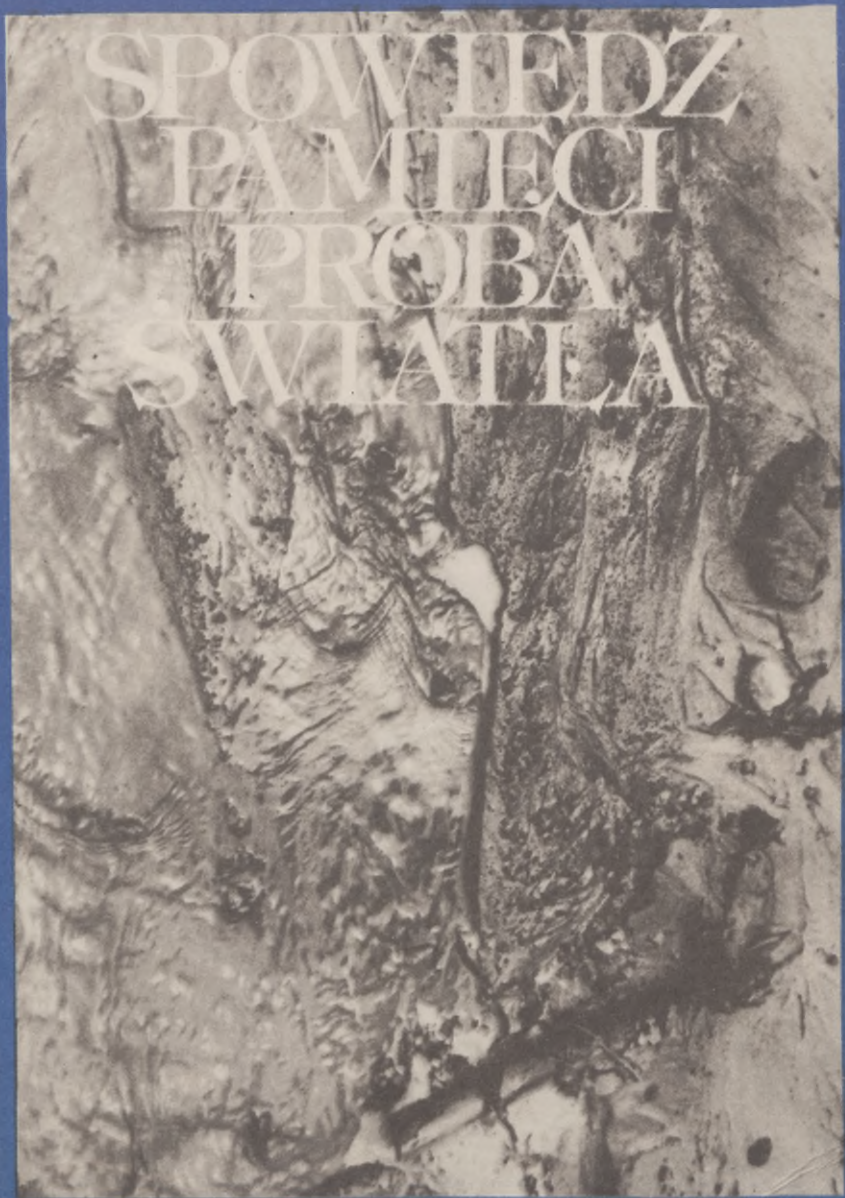


CZESŁAW KURIATA

SPOWIEDŹ
PAMIĘCI
PROBA
ŚWIATEŁA



XXI

W-2.12-1.15-1.18-1.18-1

51 -30/83

KIRIAIA CZESŁAW: Spowiedz pannie, próba światła,
(opowiadania II. J. Wierzyński.

Pojeczenie 1984 3 kw. — 8 ark. 19,5 cm
10 000 egz. 106 zł

Opowiadania poety i prozaika, których akcja dzieje się w
środkowisku robotniczym lat 1980—84 oraz w pierwszych la-
tach powojennych na Wybrzeżu Koszalińskim.



CZESŁAW KURIATA
SPOWIEDŹ
PAMIĘCI
PROBA
ŚWIATŁA

opowiadania

Pojezierze Olsztyn 1985

Opracowanie graficzne
Janusz Wierzyński

Redaktor
Andrzej Staniszewski

Kierownik Redakcji Literatury Pięknej
Jerzy Adam Sokołowski

Redaktor techniczny
Urszula Idzkowska

Korekta
Maria Karbownik



M

125610

884-3

MBP Słupsk Centrala

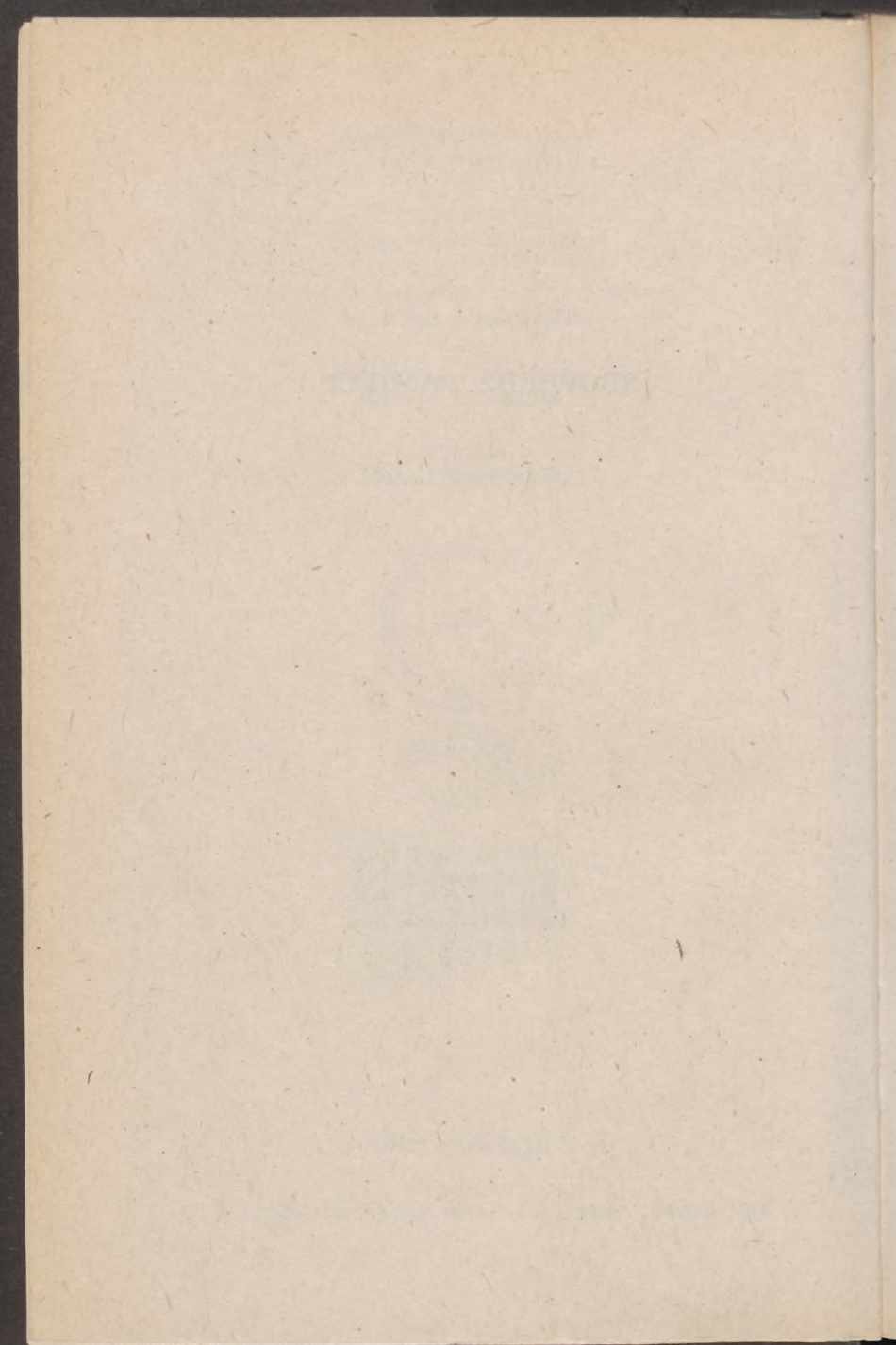


125610

ISBN 83-7002-211-1

© Copyright by Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1985

SPOWIEDŹ PAMIĘCI



MIŁOŚĆ LEGENDĄ INNYCH

Ryszard leżał na wznak na łóżku, które raczej przypominało pryczę. Adam siedział przy stole i palił papierosa za papierosem. Nie było to jednak zdenerwowanie, po prostu zawsze w chwilach, które miały dla niego z jakichś powodów większe znaczenie, palił bardzo dużo.

— No i widzisz, jak żyję — skończył Ryszard. — Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że narzekam na cokolwiek, a szczególnie na los, bo nie ma chyba głupszego, według mnie narzekania, niż właśnie na los.

— Mógłbyś jednak stąd wyjechać. Dlaczego, do licha, nie wyjedziesz z tego miasteczka? — Adam podniósł głos, który nagle, pod koniec pytania wibrująco zadrżał. Przestraszył się, że Ryszard odparuje również pytaniem. Po prostu zapytał: „A dlaczego ty tu przyjeżdżasz tak często, przecież nie do mnie?”. Ta refleksja trwała sekundy.

— Przecież mógłbyś się gdzie indziej lepiej urządzić, znając cię, trudno sądzić, że to miasteczko nie wydaje się dla ciebie za ciasne — szybko ciągnął dalej Adam i znowu musiał coś dodać, aby nie sprowokować pytania, którego bał się od chwili przyjazdu. — Widzisz, miałem na myśli to, że tu każdy każdego zna i to ogranicza wolność...

— Hola, hola kolego! Czy chciałbyś może powiedzieć, że ty zrealizowałeś swój ideał wolności?

— Nie o to chodzi, u mnie to zupełnie co innego.

— Masz na myśli rodzinę?

Adam wściekał się na siebie. Znowu nie był wystarczająco ostrożny, a ta cholera reagowała czule jak sejsmograf. Ryszard chwycił myśli wypowiedziane przez Adama i odbijał je błyskawicznie jak piłeczki pingpongowe, a ściślej jak granaty precyzyjnie wylapywane, które odrzucane wybuchają u stóp pytającego.

— Mam na myśli wszystko — ukrywając irytację mówi Adam. — Widzisz, ja już jestem... — dodaje z rezygnacją i milknie, chce oszukać Ryszarda.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że ty jesteś bez szans...

Adam przyczał się jak do ciosu, a może znalazł się niczym w chwili, w której człowiek podświadomie czeka, aż ktoś głośno wypowie to, co on nawet przed samym sobą chciałby ukryć jak najgłębiej.

— Tylko się nie denerwuj — po chwili mówi Ryszard. — Ustaliliśmy przecież już dawno, że każdy powinien dbać o dobro drugiego, przypominać mu, co winien robić, nawet jeśli to przypomnianie komuś z nas aktualnie nie odpowiada. Oczywiście, z założeniem, że domyślamy się prawdziwych pragnień drugiego, których ten nie realizuje z tchórzostwa, z bojaźni, z delikatności w stosunku do innych, no, obojętnie z jakiego powodu...

— W jaki jednak sposób można odkryć prawdziwe pragnienie innego człowieka, jeśli on sam często nie wie, czego naprawdę chce?

Ryszard daje do zrozumienia przyjacielowi, że pytanie rozbawiło go.

— Nie śmiej się, mówię poważnie. I przestańmy się wreszcie licytować — nagle tchórzy Adam.

— Kiedy to właśnie jest nam potrzebne. Poprzez licytację, poprzez atak zdobywamy wiedzę o innych. A mając większy zakres wiedzy o innych, automatycznie wzbogacamy wiedzę o sobie, znajdując u siebie cechy innych. Gdybyśmy nie odkryli pewnych właściwości u innych ludzi, nigdy byśmy nie uświadomili sobie istnienia ich u siebie.

— Nie zawsze przyznajemy się do tych odkryć, nawet przed samym sobą.

— A jednak odkrycia te działają, choćby w podświadomości i wpływają na nasze takie czy inne postępowanie, modyfikują nasze czyny. Tylko ludzie ograniczeni i zadufani w sobie, dzięki swojej tępotcie nie formują siebie poprzez wiedzę o innych. Zresztą nie o to teraz chodzi i nie zbaczajmy z tematu — mówi Ryszard i nagle pyta: — Czy nie sądzisz, iż atakując mnie, że tracę wolność, atakujesz podświadomie przede wszystkim samego siebie?

Teraz Adam rewanżuje się śmiechem, co ma oznaczać, że przyjaciel wygłasza brednie.

— Nie śmiej się, sprawdziłem to sam na sobie.

— Ty możesz być właśnie ten inny.

— Nie tak znowu jesteśmy inni, jak się nam wydaje i nigdy nie jesteśmy w takim stopniu inni, w jakim chcielibyśmy być — odpowiada Ryszard. — Najczęściej po prostu do tych wspólnych cech nie przyznajemy się, a nawet często najzażarciej atakujemy u innych nasze własne wady.

Adam znowu wietrzy niebezpieczeństwo, ale tym razem nie wpada już w panikę.

— Na dobrą sprawę, to moglibyśmy się zamienić rolami. Ty mógłbyś być w mojej sytuacji, a ja w twojej. Obaj mamy możliwość zajęcia takiej samej postawy obserwatora w stosunku do drugiego — mówi spokojnie.

— Zdaje się, że to nie ja przyjeżdżam co pewien czas do małego, nudnego miasteczka?

— Nie, ja to robię — szybko, już się nie broniąc, mówi Adam. — Ale ty też masz swoją leśniczówkę.

— Nie mam żadnej leśniczówki — denerwuje się Ryszard.

Adam wie, że zyskał chwilową przewagę, więc postanawia to wykorzystać.

— A jednak masz swoją leśniczówkę. Tyle tylko, że ja mniej wiem o twojej leśniczówce, niż ty o moim pewnym małym i nudnym miasteczku.

— Po co więc mamy bawić się w ciuciubabkę. Przyjechałeś jak zwykle do niej, a nie do mnie — kontratakuje Ryszard. — O, nie, nie mogę mieć do ciebie za to żalu, nie jest to także wymówka. Ja cię dobrze rozumiem. Chciałbym, żebyś po prostu i po męsku do tego się przyznał. Ja przecież chcę ci pomóc. Nie z litości ani ze wspaniałomyślności, po prostu uważam, że powinienem ci pomóc. Ot, tak, po prostu — kończy Ryszard, w głosie jego dałoby się wyczuć niezadowolenie z własnych słów.

— Chcesz więc pomóc mi zrealizować to, czegoś sam nie osiągnął.

— Może i tak, a może i nie. Moja pomoc będzie polegała jedynie na ośmieleniu ciebie, na wtłoczeniu ci do głowy prawdy, że masz rację, że oto jest jedyna szansa, którą od lat zaprzepaszczasz.

— Już to gdzieś słyszałem.

— Nie zaszkodzi, jeśli usłyszysz jeszcze raz. Przyjechałeś do niej? — naciska Ryszard. — Muszę to koniecznie wiedzieć, bo chciałbym tak postępować, żeby ci pomóc, pomóc oczywiście nie temu, którego udajesz, ale temu, którym jesteś naprawdę. Pomóc w osiągnięciu tego, czego chcesz, a przed czym się bronisz.

— Tak, zgadłeś proroku, przyjechałem do niej.

Głos Adama drga niespodziewaną drwiną.

— Tak, przyjechałem jak zawsze do niej — powtarza, ale już o wiele spokojniej.

— Wyobraź sobie, że spotkałem w górach Rudego — powiada Adam. — Ty chyba nie wiesz, że on w szkole zalecał się do Alicji, więc go wyprowadziłem któregoś wieczora z potańcówki i zbiłem. Oczywiście nic to nie pomogło, choć Rudy, zdaje się, odczepił się wtedy od Alicji. Alicja jednak, jak się tylko dowiedziała o tym wypadku, nie chciała ze mną już nawet rozmawiać, nie chciała mnie odtąd po prostu znać.

— Przyznaj się, myślałeś przeciwnie. Sądziłeś, że będzie cię podziwiał za bohaterstwo, bo przecież Rudy był potężnym chłopiskiem — przerywa Ryszard.

Adam chwilę milczy i wiadomo, że milczenie to oznacza, iż przyznaje przyjacielowi rację. Ryszard odwraca głowę, jakby w ten sposób ośmielał, a przynajmniej nie chciał peszyć mówiącego. Zerka dyskretnie przez ramię i pewnie myśli: „Koniecznie, ale to koniecznie powinien się wygadać przed jutrzejszym dniem”.

— Kiedy doszliśmy na szczyt góry, a była w tym dniu potworna mgła i okropna wichura, spotkałem Rudego. Jego twarz, a raczej ruda głowa wynurzyła się z mgły jak zjawą. Stanęliśmy oko w oko, na skraju przepaści, a wiesz, że ja mam od dzieciństwa lęk przeszerzenia... Tamtego popołudnia miałem szczęście, była mgła i ta przepaść nie ciągnęła mnie w dół jak magnes, co dzieje się zawsze ze mną, gdy spojrzę z wysokości. A więc stanęliśmy na szczycie góry oko w oko...

— I ty miałeś pietra, że Rudy weźmie na tobie porządny rewanż — podpowiada łagodnie i z przyjaźnią Ryszard.

— Wyobraź sobie, że nie. Byłem ucieszony i zadowolony z tego spotkania. Wiedziałem, że teraz Rudy

może pokonać mnie bez trudu. Nawet się ucieszyłem, że oto nadarza się okazja, aby cierpieć z powodu Alicji. Jeżeli mnie zbije, rozumowałem, teraz on będzie przegrany w jej oczach. A więc stanie się odwrotnie niż wtedy, po tamtej szkolnej potańcówce. Zresztą, najważniejsze, co wtedy myślałem, to chęć poniesienia ofiary dla Alicji. Rudy więc spadł przede mną na tę wichrową górę jak z nieba. Długo pamiętałem jego rude, kręcone włosy i wyobraż sobie, zapamiętałem jego brelok przy pasku zegarka na rękę. Nie pamiętam jak był ubrany, a zapamiętałem jego brelok, bursztynowy trójkąt z wrytym kształtem ptaka, rysunek ten zobaczyłem chwilę później w barze schroniska...

Ryszard chce na chwilę przerwać przyjacielowi, ale Adam ciągnie szybko opowieść dalej.

— Rudy źle mnie zrozumiał, mój radosny okrzyk przy spotkaniu przyjął jak objaw przyjaźni, ugody, wręcz serdeczności. Wziął mnie zaraz pod rękę, a ja ucieszyłem się, że chce mnie odprowadzić w ustronne miejsce, żeby było bez świadków, więc szedłem łagodnie jak baranek. On jednak, ku memu rozczerwowaniu, zaprowadził mnie do baru schroniska, by postawić wódkę. Zaczął przy tym wspominać z rozrzewnieniem szkolne lata, nasz piękny romantyzm i w ogóle lirycyził się jak baba, która urodziła, a chce jeszcze zostać poetką. Zrozumiałem, że Alicja nie jest i nigdy dla niego nie była ważna, że o tamtym incydencie, który okazał się dla mnie tak brzemienny w skutki, on najpewniej zapomniał, czyli zapomniał o tym, co dla mnie było takie ważne. A więc i tym razem ja miałem powód, aby go sprać... Wściekłem się i wręcz zaczynałem go nienawidzić, wtedy dopiero zaczynałem go nienawidzić. Przypomniałem mu Alicję. Roześmiał się głośno i znowu swoje, że kiedyś byliśmy młodzi i głupi, ale za to romantyczni. A więc on obrażał i Alicję,

i mnie, obrażał naszą miłość, a przede wszystkim obrażał Alicję...

— Czy ty musisz wszystko mitologizować — wtrącił zniecierpliwiony Ryszard.

Adam zrobił minę obruszonego.

— Nie chciałem cię urazić, stary, raczej powiedziałem komplement. Uważam, sam uważam, że nie ma wielkich przeżyć bez ich idealizacji — wyjaśnia cierpliwie. — Ale tym razem mógłbyś... — Ryszard nie kończy, zawieszając głos.

— To nie to — zamyślony, trochę zdeorientowany i w dalszym ciągu najeżony odpowiada Adam... — To nie to — powtarza stanowczo.

Ryszard nie zaprzecza, bo nie chce urazić Adama. „A więc — zapewne myśli lapidarnie — mitologizacja trwa nadal”.

— Kiedy byłem po kilku kieliszkach, zacząłem bełkotać obraźliwie pod adresem Rudego. Za wszelką cenę chciałem go sprowokować. Ale on znowu źle zrozumiał, uznał, że ja po prostu się upilem, więc niczego nie brał do serca. Moje słowa puszczał mimo uszu. Potem najzwyczajniej w świecie odszedł do swego towarzystwa. Znowu zostałem na lodzie, znowu przegrałem i nic nie załatwiłem.

— Czy ty w dalszym ciągu to wszystko traktujesz serio, z taką powagą, z jaką opowiadasz? — pyta bez cienia ironii Ryszard.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi? — odpowiada Adam pytaniem.

— Ach nic, już nic, po prostu źle się wyraziłem — cofa się Ryszard.

— Chciałem tylko powiedzieć, że masz świetną pamięć i bardzo plastycznie opowiadasz.

— Nie to chciałeś mi powiedzieć.

— Czy to nie wszystko jedno, co chciałem powie-

dzieć — Ryszard odpowiada obojętnie, bo chce zmylić przyjaciela.

Adam milczy. Przez chwilę trwa cisza, której żaden z nich nie przerywa.

— Jeśli nie chcesz mnie słuchać, to opowiedz ty, jak to było z twoją leśnicówką? — niespodziewanie pyta Adam, ale bez złości w głosie.

— Musisz wypaść się po podróży — odpowiada sen-
nie Ryszard.

— Wcale nie jestem zmęczony. Czy ty mi wreszcie powiesz kiedyś, jak było z tą twoją leśnicówką? — błagalnie powtarza Adam.

— Nic nie było.

— Nie, ja wiem, co to było.

— No, więc dlaczego pytasz.

— Wiem, ale nie jestem pewien.

— Powiem, jak dojdę do wniosku, że jest to dla ciebie konieczne.

— O mnie chcesz wszystko wiedzieć, a o sobie nie mówisz — żali się Adam.

— Nie jesteśmy, zdaje się, parą kochanków — śmieje się Ryszard. — Jutro będzie bardzo ważny dzień. Śpij już, obudzę cię wcześniej, przed wyjściem do pracy.

— A więc powiesz jutro?

— Tak, powiem.

Chwilę trwa milczenie.

— Ryszard, wiesz, zapomniałem, gdzie tu jest cmentarz?

— Co ci nagle strzeliło do głowy?

— Pytam poważnie. Chyba nie obawiasz się, że... Zresztą, samobójcy nie są aż tak praktyczni, aby wie-
szać się na cmentarzu...

— Zaraz za zamkiem, z pięćset metrów w dół ulicz-
ką.

— Za torami.

— Tak, za torami.

— No, to cześć, już ci nie dokuczam, tajemniczy faciecie — jakby zyskując pogodny nastrój mówi Adam.

Adam przechodzi wąskimi ścieżkami wśród mogił. W słońcu, które grzało tego dnia niemiłosiernie, wydawało się tu wszystko większe, zarówno krzyże, jak i kopce mogił. Gdzieś tam rozkwitał w blasku krzyż z brzoźowej kory, inne z białego marmuru odbijały całe fale światła. To nieprawda, że na cmentarzu nie odczuwa się życia. Adam idąc tymi ścieżkami, wcale nie doznawał uczucia, że jest oto wśród umarłych. To mógł „wyrozumować”, ale tego nie odczuwał. Było to dla niego samego niespodzianką. Gdyby się nad tym dłużej zastanowił, mógłby sobie zarzucić równie dobrze niewrażliwość, jak uznać to za wynik doświadczenia; przyjęcie i adaptację w sobie na stałe i na trwałe tej prawdy, iż śmierć w ogóle nie jest tragedią, bo jest koniecznością; wielkie zło bowiem tylko to jest tragiczne, przed którym można się uchronić. Był jednym, jak wszyscy ludzie, z kandydatów na swoje miejsce w ziemi, niestety, na miejsce stokroć bardziej konkretne od miejsc, jakie miewamy w życiu. Ta myśl najpewniej zaledwie przebiegła przez jego głowę i odeszła nie rozwijana, bez dalszego ciągu. To nieprawda, że myśl, która powstaje w głowie z reguły musi być dokończona, zanim się jej pozbędziemy, najczęściej jest odwrotnie. Myśl łatwo powstająca natychmiast przepływa w inną lub znika, zaledwie musnąwszy naszą świadomość. Tak właśnie bywa najczęściej, zanim w tej dziwnej, najdziwniejszej części ciała, jaką jest głowa, na dobre nie zagnieździ się konkretna myśl, myśl masywna i ciężka jak granit, którą potocznie nazywamy trapiącą. Zdaje się, że aby przeżyć wielką scenę cmentarną opisywaną w powieściach, trzeba się do tego starannie przygotować, wyłączając na ten czas wszystkie inne myśli —

słowem, trzeba zrobić dużo wolnego miejsca w tej przedziwnej części ciała jaką jest głowa. Do takiej powieściowej, wielkiej i metafizycznej sceny cmentarnej trzeba wytworzyć w sobie nastrój podobny do tego, tak mógł przypuszczać Adam, jaki wytwarza się przed napisaniem opowiadania, namalowaniem obrazu czy stworzeniem kompozycji muzycznej. Adam był więc słusznie przeświadczony, że najczęściej najsugestywniejsze sceny cmentarne w powieściach, te najbardziej przejmujące, są zbudowane sztucznie, fałszywie, podobnie zresztą jak w ogóle wszystkie sugestywne dzieła sztuki, bo im to dzieło sugestywniejsze, tym bardziej odbiega od rzeczywistości. Przykładem tego może być dramat, sztuka teatralna. I dalej Adam mógł myśleć: to nieprawda, że najsmutniejsze myśli przychodzą właśnie na cmentarzu i tu popada się w największy pesymizm. To tylko pozór, który zwodzi człowieka, zwodzi wyobraźnię i dlatego dali się na to nabrać także, a może właśnie przede wszystkim, pisarze. Gdzieś w głębi, w człowieku, tego Adam nie mógł sprecyzować dokładnie, w obliczu śmierci, „w obliczu śmierci” — (zaiste dziwna to metafora) właśnie na cmentarzu, wyzwała się najsilniejsza, bo instynktowna chęć życia. I to właśnie jest najbliższe prawdy. A więc najzwyczajniejsza przechadzka cmentarzem jest w gruncie rzeczy bardziej twórcza niż destruktywna, co więcej, jest ona o wiele bardziej optymistyczna i budująca niż scena narodzin. Przechodzący cmentarzem odczuwa przecież, jeśli nawet nie wprost to podświadomie, iż w przeciwieństwie do tylu innych ludzi, on oto jeszcze żyje. I to przecież jest optymistyczne, jedyne, co podczas takiej przechadzki można zrobić, to dokonać swoistego „rachunku sumienia” (znowu ta, w gruncie rzeczy, śmieszna metafora) — i, o dziwo, ów rachunek, gdyby się temu dobrze przyjrzeć, nie obejmuje przeszłości, a

przeciwnie, przyszłość. Widząc groby, myśląc o umarłych, wybiega się przecież w przyszłość, w naszą przyszłość, marzy się o tym, co chcielibyśmy jeszcze zrobić od tej chwili do tego punktu, który osiągnęli tu spoczywający. A więc po stokroć nie mają racji pisarze, którzy dają się zwieść pozorom i swoich bohaterów na cmentarzu pogrążają w marazmie, każą im zamierać w smutnej zadumie, martwieć i upodabniać się do tych, którzy są już w ziemi. Mógł teraz pomyśleć Adam, że w nim, jako w czytelniku takich scen powieściowych, zawsze budziło się coś wręcz przeciwnego, chęć życia. Budziło się swego rodzaju planowanie przyszłości (określone zupełnie innymi zasadami), na które pisarze zazwyczaj rezerwują inne strony powieści. Planowanie przyszłości, czyli marzenia bohaterów powieściowych. Pisarze jednakże nie biorą pod uwagę tego, że marzenia ludzkie rodzą się często w sytuacjach nieumotywowanych psychologicznie. Dla Adama, tak przynajmniej on postanowił, przechadzka cmentarzem miała być po prostu relaksem, odpoczynkiem. Osiągnął więc coś w rodzaju oczyszczenia w tym miejscu starym jak świat. I nagle, zdaje się, że przypomniał sobie, po co naprawdę tu przyszedł. Ten cel był pretekstem do wypełniania czasu przed tą chwilą, dla której tu przyjechał — tego Adam nie mógł jednakże uświadomić sobie nawet przed samym sobą. Wszelkie preteksty najłatwiej odkrywamy u innych, prawie nigdy u siebie, przynajmniej w chwilach ich stosowania (stosowania?). Adam zaczął powoli odczytywać nazwiska na krzyżach, obok których przechodził. Teraz, kiedy każdemu krzyżowi przyglądał się dokładniej, stwierdzał coraz większą między nimi różnicę. Czy to właśnie oznaczało różną wartość leżących tu i czy w ogóle cokolwiek mógł oznaczać stopień uporządkowania kopców mogiłnych? A więc i tu, moglibyśmy powieściowo pomyśleć, jest nie-

sprawiedliwość, bo nie ma się żadnej, ale to żadnej pewności, że mogła uporządkowana oznacza, iż był to bardziej wartościowy, lepszy człowiek. Oznacza to jedynie większą troskę i pamięć żywych. A więc w gruncie rzeczy żywi sami dla siebie uporządkowują kopce mogilne swoich najbliższych. Adam stanął w pewnej chwili przed okazałym pomnikiem z marmuru. Gdyby nie zawahał się użyć w myśli słowa, które mogłoby oznaczać swego rodzaju profanację, powiedziałby, że stanął przed tym okazałym marmurowym pomnikiem nagrobnym z niesmakiem. Pomnik ten bowiem wyróżniał się spośród skromnych, wręcz ubogich (ubogich?) mogił, jakby się pysznił, usiłował być lepszym (lepszym?). Oto jak objawia się nieskromność żywych, ich egoizm i pycha. Szybko odszedł od tego pomnika; napływające myśli zaczęły go na dobre niepokoić, że mimo woli dokonuje tu jakichś profanacji. Gdyby jednak głębiej się zastanowił, naprawdę nie mógłby uargumentować, dlaczego kłujący w oczy, pełen pychy pomnik... I właśnie taką myśl o nim uznaje za profanację.

Adam skręcił w prawo i szedł dalej ścieżką w głąb cmentarza. Słońce odbijało się od srebrnych blach, od porcelany ze zdjęciami, niekiedy promienie załamując się tworzyły malutkie, niekształtne wiązki tęczy. Stop! Naprawdę nieważne to ze słońcem i promieniami! Te promienie po prostu migwały przed jego oczyma, nie wpływały ani na odczucia, ani na jego myśli, jak zaraz chcieliby powieściopisarze. Po prostu w pewnych chwilach mrużył oczy, kiedy przypadkowa wiązka światła odbita od porcelany zabłysła prostopadle przed nim. Zwyczajnie mrużył oczy i odruchowo otrząsał się ze słonecznego, rażącego światła.

Naprawdę, nieważne było, na przykład to, że gdy szedł po ścieżkach wysypanych żwirem wysuszonym przez słońce, żwir skrzypiał pod butami i od czasu do

czasu kamyk naciśnięty butem wyskakiwał pod pewnym kątem jak z procy.

Wreszcie Adam doszedł do mogiły, której szukał. Stał tu drewniany, dobrze ociosany krzyż, szcerniały od deszczu i wichru. Tu właśnie pod tym krzyżem pochowano tę starą kobietę, która, jakby to powiedzieć, była świadkiem jego intymnej historii. Sam jej wiele opowiadał, a reszty domyślała się intuicyjnie i dlatego miała nad innymi przewagę. Ta stara kobieta była mu najbliższa w tym małym miasteczku. Dopiero teraz, w jednej chwili (co naprawdę znaczy „w jednej chwili”?) Adam zrozumiał, że przyjscie na cmentarz to po prostu pretekst, by spędzić kilka godzin, jakie go dzieliły od ponownej rozmowy z Ryszardem, która miała poprzedzić najważniejsze jego spotkanie. Temu przyjściu na cmentarz nie nadawał żadnego symbolu, spacer ten nie miał także na celu wywołania odpowiedniego nastroju. Nagle przed tą mogiłą, która była celem jego spaceru (spaceru! — ach ta niejednoznaczność słów, ich podtekstowość w zależności od kontekstu, nawet wtedy, kiedy chce się po prostu sucho stwierdzić), zrozumiał, że nie może sobie wyobrazić tej kobiety, którą zawsze, w każdej chwili mógł wywołać przed oczy. Chciał, aby stało się to, co się zazwyczaj w takiej sytuacji zdarzało — wyobrazić, zobaczyć przed sobą postać tej kobiety (oto jak podporządkowujemy się utartym schematom — chciał zobaczyć tę kobietę, bo jakże często robią to bohaterzy powieściowi).

Wysiłki Adama nie zdały się jednak na nic. Nie mógł na zawołanie stworzyć obrazu starej kobiety. Jedynie, co „funkcjonowało”, to wiedza o tej kobiecie, świadomość jej żywotności do ostatniej chwili życia, jej przyspiewki, jej opowieści, zamięłowania w wesełach, chrzcinach i pogrzebach. A więc ceniła najbardziej rytualne szczyty, kamienie symboliczne życia czło-

wieka. Nie dzieliła jednak tych uroczystości, w zależności od rodzaju, na lepsze i gorsze, na weselsze i smutniejsze — traktowała je wszystkie jako równe sobie, uznawała za jednakowo konieczne, w równym stopniu ważne. A więc ta bardzo stara kobieta była najbliższa naturze, bo o zniwelowanym odczuciu metafizyki...

Powiedzmy, że Adam nie spojrział nagle na zegarek i na jego twarzy nie pojawiło się skupienie oznaczające jakieś trapiące (trapiące?) myśli. Powiedzmy dalej, że nie zawahał się ani na ułamek sekundy i nie ruszył szybkim krokiem w stronę bramy cmentarza. Załóżmy więc, że Adam zauważył rzecz najciekawszą, zawierającą metaforę, symbol i Bóg wie co jeszcze dla bohatera powieściowego — a mianowicie to, że grób tej bardzo starej kobiety, przed którym stał, był na granicy cmentarza nowego i starego, poniemieckiego.

Tu spokojnie, w łagodnych stosunkach dobrosąsiedzkich przebywali obok siebie Prusacy i Słowianie. Nie było już żadnej między nimi różnicy. Okazałoby się nawet, że stara kobieta odrobinę wkraczała na ich teren, gdyby usiłować przeprowadzać sztucznie i na siłę granicę między starym a nowym cmentarzem. Nareszcie trwali obok siebie cicho i łagodnie, Prusacy i Słowianie. Niedługo przemieszają się tu, przemieszają w najdrobniejszych cząstkach i już nawet nie będzie wiadomo, gdzie kto jest. A więc są obok siebie łagodni jak nigdy, spokojni, — jak nie bywało od tysiąca lat. Tyle tylko, z tą drobną poprawką, że już nie żyją, a po prostu są, jak drzewa, które rosną i jak kamienie, które tu leżą. Sąsiedzi nie mają już swojej mentalności, stracili ją, ci stracili ją na zawsze. Tak, jedyną tajemnicą prusactwa jest mentalność, mógł Adam przypomnieć sobie słowa pewnego pisarza i mógł przypomnieć jego myśli na ten temat. Swoista prusacka mentalność. Oni, poznając innych, nigdy nie usiłowali poznawać sie-

bie, nie narzucała im się żadna wiedza o sobie, kiedy poznawali innych. Mogli co najwyżej dziwić się, że istnieją ludzie inni niż oni, a jeśli inni, to znaczy, że trzeba ich zniszczyć, a jeśli od razu nie ma możliwości ich zniszczenia, to przynajmniej na początku koniecznie trzeba ich sobie podporządkować. Jeśli inni, to gorsi. A więc gorsi nie mają prawa istnieć. Tu, jedynie w tym miejscu, na cmentarzu, zdawałoby się, że rozciąga się pole, płaszczyzna, na której Prusacy musieli uznać innych za równych sobie. Ale, o zgrozo, i tu przedtem żywi zadbali, aby tak nie było. Tuż za miejscem, gdzie leży stara kobieta, ogromne, marmurowe, ciężkie płyty, wielkie głowy kamienne. Ciężkie i ponure, dosadne.

Ciężkie, ponure płyty i marmurowe kamienie robią wrażenie i wyzwalają odczucia, mogą wyzwolić odczucia nieestetyczne, wręcz niesmaczne, po prostu niehumanitarne. A więc zgrzyt w psychice, załamanie się odwiecznego ludzkiego szacunku żywych dla umarłych. A więc odczucia, jakie narzucają marmurowe płyty to fikcja. To literackość, pseudoliterackość. Czy odczuwał to wszystko Adam, przypatrując się drugiej połowie cmentarza, która przestała być już drugą połową? Nie, tu nie można rozgrywać żadnej literackiej akcji, bo łatwo przyjąć nieświadomie tę zasadę: „inny, to znaczy gorszy”. Do tego nie chciał dopuścić, bo przecież przyszedł na cmentarz z powodu starej kobiety, która do grobu zabrała wiedzę o jego miłości. A miłość ta, to jedyny powód podróży Adama do tego miasteczka. Miłość więc powinna przesłonić wszystko. Dosłownie wszystko. Tamci też kochali kobiety, to od nich przyszedł romantyzm. Tylko oni nic nie przyjmowali od innych, dusząc się w sobie.

Adam przeczytał kiedyś w zachodnioniemieckiej prasie, że nikt nie opiekuje się u nas starymi cmentarzami.

mi. To dobrze, że nie przypominał sobie tego stojąc przed grobem starej kobiety, na granicy, od której zaczyna się stary cmentarz. Być może pomyślałby wtedy zamiast „stary cmentarz” — „ich cmentarz”. I bardzo możliwe, że pomyślałby wtedy dalej „są inni”. Wymagają szanowania cmentarzy, wymagają szanowania umarłych, a nie szanowali żywych. A więc to oni żywych traktowali jak umarłych, w każdym widzieli „potencjalnie umarłego” i spełnienie tego stawało się ich celem. Odwrócili pojęcie, przewrócili schemat, bo to przecież umarłych widzi się w naszej wyobraźni jak żywych. Oni w swojej prusackiej wyobraźni żywych widzieli zawsze jak umarłych. Chcieli zmienić odwieczną naturę ludzkiej wyobraźni. Zostaje jednak coś tak niesfornego i niezniszczalnego jak pamięć i jej źródła nie potrafi zasypać działalności jakiegokolwiek mentalności, nawet prusackiej...

Jest piękny słoneczny dzień lata. Adam wracając z cmentarza idzie brzegiem rzeki. Fragmenty, sygnały myśli rodziły się chaotycznie i znikwały w jego głowie, w tej najśmieszniejszej i najdziwniejszej części ludzkiego ciała. Na chwilę wydawało mu się, jakby był kimś innym, stojącym obok siebie dawnego. Stłumił szybko to uczucie, bo niesło ono niebezpieczeństwo. Patrzył na wolno płynącą małą rzeczulkę i pusty, szary krajobraz za nią. Poczuł się nagle samotny i zagubiony. Zagubiony, to znaczy bezmyślny. Samotny, to znaczy mocniej niż zwykle odczuwający siebie. Bezmyślny — to jeszcze znaczy, że nie myślący o nikim innym tylko o sobie.

Krajobraz, na który popatrzył na chwilę Adam, mógł przypominać powierzchnię Księżyca, czarnoszarą, z kraterami i wzgórzami. Takie porównanie było prawdopodobne, bowiem w tym pięknym środku lata człowiek, po raz pierwszy w dziejach ludzkości, miał zamiar po-

stawić stopę na Księżycu. Założmy więc, że miało się to stać w tym właśnie dniu, w którym Adam odbył spacer po cmentarzu. I dalej przyjmijmy, że wszystko jest prawdą, cokolwiek powiemy o Adamie.

To był czternastowieczny pomorski zamek, całkowicie odbudowany z gruzów za wiele milionów. Odbudowany po to, między innymi, aby oni mogli usiąść przy jednym ze stolików w zamkowej restauracji. Adam rozglądał się wokół, ślizgając się wzrokiem po czerwonych ceglanych ścianach. Ogromne filary i sufit w kształcie kopuły. Na Ryszardzie architektura wnętrza zamku nie robiła żadnego wrażenia, ponieważ bywał tu często. Adam wciąż rozglądał się po sali restauracyjno-zamkowej. Nie robił jednak tego z ciekawości, zastanawiał jak zwykle i tym razem wybieg. To oglądanie było jego sztucznie wymyślonym zajęciem, podobnie jak znajdujemy dla siebie nawet błahę zajęcia przed czekającym nas niezwykle ważnym zadaniem. Tak samo postępuje artysta przed rozpoczęciem swego dzieła, które ma być, no, w które wkłada całą swoją osobowość, a więc zawiera ono potencjalną klęskę lub zwycięstwo. Obaj milczeli, bowiem wiadomo, że jeśli sytuacja jest niesłychanie ważna, wtedy panuje cisza; jeżeli natomiast w takich wypadkach chcemy się oszukiwać, mówimy o rzeczach błahych, nieważnych, ot, aby odsunąć od siebie tę najważniejszą, trapiącą myśl i jednocześnie zmniejszyć w ten sposób możliwość pojawienia się niebezpiecznego tematu. I dalej: o rzeczach najważniejszych mówi się tylko sygnałami, dźwiękami. Przykład: kiedy rodzimy się i kiedy naprawdę umieramy (chodzi o prawdziwą, dosłowną granicę życia i śmierci), kiedy spotyka nas wielkie szczęście lub tragedia. Najczęściej w takich wypadkach nie padają ani słowa, ani zdania czy, o zgrozo fałszu, całe opowieści — w takich wypadkach używa się najczęś-

ciej krótkich, często nawet nieartykułowanych dźwięków. To jest właśnie atawizm, totalny i najstarszy atawizm ludzki, wspólny dla całego świata zwierząt, który pozostał na trwałe w człowieku.

Kiedy cisza przeciąga się i wyraźnie zaczyna męczyć, Adam pochyla się w stronę Ryszarda.

— Podobno tu pod zamkiem są lochy — mówi ściszone głosem. — Czy to prawda?

— Tak, są, ogromne — odpowiada Ryszard.

— Zdaje się, że istnieje na ten temat pomorska legenda — powiada Adam.

Ryszard wypija swoje wino i patrzy uważnie w twarz Adama. Na twarzy przyjaciela nie drga ani jeden mięsień. Twarz Adama odpowiada zdziwieniem.

— No, dobrze, dobrze — powiada Ryszard. — Legenda mówi, że lochy, a raczej przejścia i kanały, prowadziły poza mury zamku, daleko za miasto. Dzięki tym tajemnym przejściom obrońcy zamku okrążyli napastników, wpuszczając ich pod sam zamek.

— Pomorska odwrotność Troi — mówi Adam. — Słyszałem, że istnieje kilka różnych wersji tej legendy?

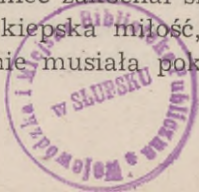
Ryszard milczy, udaje, że nie usłyszał pytania.

— Czy są inne legendy o tym zamku? — powtarza Adam.

— A są — odpowiada obojętnie Ryszard, spoglądając na zegarek. — Zresztą masz rację, już mogę — powiada z ulgą.

Obaj wiedzą, że temperatura podskoczyła nagle o kilkanaście stopni. O to przecież chodziło. Dziecinna zabawa w teatr, która ma pomóc.

— Pamiętam, niestety, tylko fragmenty tej legendy. Sądę jednak, że i to, co zapamiętałem, wystarczy ci. Piękny młodzieniec zakochał się w księżniczce na zamku. Byłaby to kiepska miłość, a może nie byłoby jej wcale, gdyby nie musiała pokonać nadludzkich wręcz



trudności, przeszkód... Najmniej tu istotny jest fakt, że się kochali. Samo kochanie się dwojga to egoizm zakochanych. Aby mieć prawo do miłości — powiada Ryszard — trzeba dać artystyczną pożywkę dla otoczenia, dla świata, dla innych ludzi, którzy chcą, muszą coś mieć z miłości dwojga. Odwieczne teatrum.

— Komentujesz legendę, a ja chciałbym ją usłyszeć — niepokoi się Adam. — W legendzie nie ma komentarza — powtarza z naciskiem.

— Ale w życiu jest — odpowiada nie zrażony Ryszard. — Zresztą ten komentarz immanentnie tkwi w treści legendy lub, jak chcesz, z niej wynika. Nie ma wielkiej miłości bez teatrum. Tylko w teatrze mogli urodzić się Romeo i Julia, w literaturze, która jest teatrem, Tristan i Izolda. Bo cóż to jest miłość naprawdę, to mit innych o dwojgu...

Ryszard urywa i patrzy, jak przyjaciel siłą woli przyobleka twarz w grymas.

— Co w legendzie?

— O, już wiem, miłość to legenda innych — powiada Ryszard i szybko ciągnie dalej, nie zostawiając szczeliny na słowa przyjaciela. — A więc po wielu perypetiach i zadaniach, które mieli wykonać kochankowie, aby spełnić teatrum i własny egoizm, czyli miłość, pozostało jeszcze jedno, najtrudniejsze zadanie. Przejść lochami, podziemiem tego zamku aż do miejsca, gdzie lochy się kończą i można wyjść na słońce. Przejść i wrócić, nie wychodząc na powierzchnię. Zdaje się, że w legendzie jest opis tych podziemnych przygód, ale to pomnę, bo niezbyt pamiętam; były tam, zdaje się, zadania w rodzaju prac Herkulesa. W podziemiach gnieździło się bowiem wiele złych mocy, duchów, czartów, potworów itd. Wszędzie bielily się kości śmiałków, którzy tam wchodzili i zostawali na wieki. O tym wszystkim doskonale wiedział zakochany młodzieniec i mimo

to był w nim tak ogromny egoizm, że poszedł. I wrócił. Ale kiedy wrócił, był całutki siwy i postarzały o dwadzieścia lat, stał się teraz brzydki. Po prostu był już zupełnie kimś innym i teraz księżniczka nie chciała o nim słyszeć, ponieważ kochała nadal tamtego, który poszedł. I tu tragiczne koło miłości zostało zamknięte. Młodzieniec, żeby osiągnąć osobę kochaną, wykonał postawione mu zadanie, ale oto stał się już kimś innym..

— Tylko nie wiesz przypadkiem, po co on wobec tego przechodził tym podziemiem? — z naturalną naiwnością pyta Adam i spostrzega, że kopuła sali zamkowo-restauracyjnej jest o wiele niżej niż mu się cały czas wydawało.

Milczenie szczelnie jak wosk zalewa ich uszy.

— Jeśli nie wiesz, to ja ci powtórzę, dlaczego on chodził. Po prostu, jak już powiedziałem, aby dostarczyć widowni teatrum. To było najważniejsze i to spełnił. Nikt już więcej od niego niczego nie chciał. Nawet księżniczka. Teraz dopiero miłość stała się wielka, bo nie miała szans spełnienia. Nie było nawet widoków na jej realizację...

— Czy jesteśmy nad tymi lochami? — pyta głuchło Adam.

— Tak, jesteśmy nad podziemnymi przejściami i to akurat w dniu lądowania człowieka na księżycu.

Obaj, zdaje się, nagle rozumieją, że dalsza rozmowa będzie bezsensowna, bowiem sztucznie zechcą słowom nadać jakiś wielki sens tkwiący w podtekście, wymowę filozoficzną, ba, nawet metafizyczną. A więc będzie to także próbka teatrum na własny użytek. Gry, co to serio, ale niegroźnie i nieobowiązująco, bo w konwencji. Ryszard jak strażnik, któremu dłuży się stróżowanie i oczekuje zmiany, znowu ze zniecierpliwieniem patrzy na zegarek. Napełnia kieliszki i zaraz wypijają. „To już po pięć lampek — liczy w myślach —

wystarczy". Ma przez chwilę wrażenie, że jest dowódcą, który musi wszystko przewidzieć, wszystko wziąć pod uwagę i w zależności od sytuacji taktycznie rozegrać walkę. Ale co rozegrać?

— Cieszysz się, że jesteś świadkiem, no, że żyjesz na Ziemi w dniu lądowania człowieka na Księżycu? — Ryszard jeszcze zwleka. — Bo mnie się robi trochę jakby głupio. I trudno mi nawet wytłumaczyć, dlaczego mam takie uczucie. Może dlatego, że lądowanie to jakby jednocześnie zlekceważenie wszystkich pokoleń, całej dotychczasowej ludzkości, która sądziła, że Księżyc...

— Nie zgrywaj się na oryginała, ludzkość wyje z zachwytu solidarnie, podniecona do ostatnich granic, i to bez względu na obozy polityczne i światopoglądowe — głos Adama jest teraz suchy i trzeźwy.

„A więc teraz już pora” — myśli Ryszard.

— Idź już. I wracaj z tarczą. Pośpiesz się, żebyśmy zdążyli obejrzyć transmisję z Księżyca — powiada Ryszard swobodnie. — I nie nalegaj od razu na jej przyście tutaj, bo ona przecież nie jest przygotowana, że akurat teraz do niej zawitasz. Umów się najlepiej na jutro — instruuje Ryszard i nagle rozumie, jak bardzo go obchodzi powodzenie przyjaciela.

Adam wstaje i bez słowa wychodzi. Przez cały czas wytwarzał w sobie nastrój do tego spotkania. A więc i spotkanie, zwykłe spotkanie ludzkie stało się już do pewnego stopnia sztuką, dziełem sztuki w określonej konwencji. Można by nawet od biedy wyliczyć, jakie kierunki w sztuce odpowiadają poszczególnym rodzajom spotkania. Naturalizm, surrealizm itd... Najprostsze i najpopularniejsze spotkanie. Adam przechodząc przez salę zamkowo-restauracyjną słyszy: ludzie rozmawiają o lądowaniu człowieka na Księżycu.

Adam długo krąży wokół domu Alicji. Ma wrażenie, że z każdą chwilą zwiększa się zawrót w jego głowie.

Po prostu nie ma odwagi wejść. Urywającymi błyskawicami widzi siebie w szczątkach, fragmentach epizodów, które ich kiedyś łączyły. Im więcej tych błyskawic pojawiło się (tu trudno uściślić „w głowie czy przed oczami”) tym większy panował w nim chaos, większa mglistość. Emocje i podniecenie obezwładniły go. Nie rejestrował w świadomości faktu otwierania drzwi. Zobaczył twarz kobiety, twarz o rysach jak z kamienia. Emocja i podniecenie sprawiły wrażenie działania się wszystkiego w zwolnionym tempie. Słowa kobiety trwały bardzo długo, przenikały się wzajemnie, wnikały w niego bardzo powoli, rozciągały się w nieskończoność. Słowa tej kobiety rodziły się o wiele wcześniej, niż je wypowiadała.

— Dobry wieczór, dobry wieczór, dobry wieczór!!! — To najpierw on mówi w przestrzeń bez dna. — Przepraszam, praszam, szam — powtarza w nieskończoność — czy zastałem Alę — naraz echo z każdej strony. Słowa kobiety powoli oblepiają go z każdej strony, uwiązują wokół. Słowa kobiety niczym od godzin trwające powolne kapanie wody z kranu.

— Ale nie ma w domu — odpowiada kobieta i ta odpowiedź trwa właśnie najdłużej. „Nie ma w domu, nie ma w domu”... — znowu echo odbija się od wszystkich ścian naraz. Kobieta lekko odchyła się i Adam widzi obandażowanego człowieka. Na łóżku, z nogami w gipsie, uwiązanymi do zwisających ciężarków. Obandażowana twarz człowieka wypełnia cały pokój. Od twarzy tej jasność neonowa i biel ścian. Tak właśnie można sobie wyobrazić pustkę, idealną, absolutną pustkę. Pustką nie jest przecież fizyczna próżnia, pustką są ludzie, którzy żadnym, najdrobniejszym drganiem nie dzielają naszych emocji, naszego podniecenia. Drzwi się zamykają. Zasłona opada. Film się urywa. Akt zakończony. Adam zbiega po schodach. Można by jeszcze

w tym miejscu powiedzieć, że dudnienie schodów odbija się echem i każde stąpienie sprawia ból w głowie. Można jeszcze wiele na ten temat powiedzieć, ale po co... Napięcie spadło, opadło. Nie ma świata fizycznego. Porównania? Symbol odczucia? Po prostu ucieczka jednocześnie z siebie i w głąb siebie, a to bolesne. Dlaczego zażenowanie i upokorzenie, zawstydzenie, jeśli nic konkretnego się nie wydarzyło? To jakby ekstrakt całej ich historii w jednej chwili, a przecież naprawdę nic konkretnego nie wydarzyło się. To moment, w którym ilość tych samych odczuć przeszła dzięki napięciu, emocji, dzięki pustce, w jakość. A wszystko stało się dlatego, że nie zastał jej w domu. W innych sytuacjach byłoby to bez znaczenia. Tu jednak szczyt napięcia — teraz albo nigdy. Wszystko albo nic. Upokorzenie sięga ziemi.

Adam automatycznie przechadza się chodnikiem tam i z powrotem, bo ten automatyzm kroków uspokaja. Jest jak we śnie, kiedy wie, że bez przerwy pije, a wódka nie robi żadnego wrażenia. Przez zamkową restaurację przechodzi najspokojniej w świecie, i, jak się to mówi, siada jak gdyby nigdy nic.

— No, jak ci poszło? — pyta Ryszard i nagle boi się, że Adam może posądzić go o ironię. — Byłeś, widziałeś... kończy miękko.

— Veni, vidi, vici... — Tak, zwyciężyłem... Rzecz w tym, że jeszcze nie wiem kogo. Zdaje się, że przypadkiem kopnął mnie porządnie w tyłek lub zakpił ze mnie na całego.

Adam telegraficznie streszcza tę krótką podróż do domu Alicji, której trasa była dziwną elipsą. Mówi prawdę, ale jednocześnie to wszystko, co mówi, jest całkowitym zaprzeczeniem tego, co przeżywał. Ryszard postanawia wejść w słowa przyjaciela spokojnie i obojętnie, nie budząc żadnych podejrzeń.

— Niedługo zacznie się transmisja z Księżyca. Pierwszy człowiek postawi pierwsze kroki na Srebrnym Globie.

— Wymawiasz mi?

— Nie, tylko informuję. To i tamto, oba zjawiska mogą być pięknym artystycznym zdarzeniem.

— Rozumiem — bąka Adam. Ale — powiada — co ja widziałem? Co to było? — pyta i rozgląda się po restauracji. — Pytałem cię o coś.

Twarz Adama wraca i utrwała się naprzeciwno.

— To aż nazbyt prozaiczne. Mąż Alicji rozbił się samochodem. Jechał ze swoją kochanką, samochodem męża kochanki.

— A więc gorzej nie mogłeś trafić — powiada Ryszard. — Zresztą, nie wiadomo, może należałoby powiedzieć odwrotnie, lepiej nie mogłeś trafić.

Adam, nie kryjąc zniecierpliwionej złości, energicznie pochyła się w stronę przyjaciela.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? — syczy. — Dlaczego? — powtarza skrócony syk.

— Celowo — łagodnie mówi Ryszard. — Po pierwsze, przypomnij sobie legendę o tym facecie, który poszedł w podziemia zamku. Zgodzisz się ze mną, że gdyby on nie poszedł, byłby jeszcze bardziej nieszczęśliwy i nigdy by sobie tego nie darował, że zaprzepaścił szansę. Po drugie, w twoim wypadku, gdybyś się dowiedział, że jej mąż jest po katastrofie, pewnie nie poszedłbyś do niej nigdy, bojąc się posądzenia, że wykorzystujesz sprzyjającą dla siebie sytuację... Zresztą, ty sam nie chciałbyś pozornie korzystnej dla siebie sytuacji.

— Nie rozumiem... „Pozornie korzystnej...”? — mówi Adam.

— Tak, pozornie sprzyjającej. Bo teraz dopiero Alicja nigdy nie opuści swojego męża. Wybacz mu wszy-

stko, zdradę, wszystko... Zrobi to z litości, ze wspaniałomyślności, ale go nie opuści. Teraz dopiero będzie się czuła niesłychanie zobowiązana... A jeśli, czego nawet jemu nie życzę, twemu rywalowi, zostanie on kaleką, wtedy jest już nawet gwarancja, że go nigdy nie opuści. Znasz Alicję nie gorzej ode mnie... Zresztą inni w podobnej sytuacji zachowują się analogicznie... A ty musiałeś tam pójść, podobnie jak ów facet z legendy, i musiałeś idąc tam, nie wiedzieć jeszcze, co się stało, bo nie poszedłbyś z takich samych powodów, z jakich Alicja pozostanie teraz na zawsze przy mężu.

— A on? — pyta i nagle boi się swego pytania Adam.

— To zależy od niego samego. Zdaje się, że... Zresztą nie wiem, nie znam go na tyle — rezygnuje z odpowiedzi Ryszard.

— Czy on nie będzie się czuł upokorzony jej wspaniałomyślnością?

Ryszard decyduje się:

— Zdaje się, że on nie ma subtelności Romea. I tacy są właśnie potrzebni istotom wrażliwym i wspaniałomyślnym, żeby owe istoty mogły czynami poprzeć swoją ideę — powiada Ryszard podnosząc kieliszek. — Największa więc tragedią następuje wtedy, gdy spotyka się dwoje ludzi subtelnych.

— Jesteś mądry jak cholera — mówi Adam, bo zamierza odtąd udawać obojętność.

Ryszard podnosi kieliszek.

— Finał bezkrwawy dramatu stał się. Teraz wiesz, że wszystko między wami skończone, a może właśnie teraz, dzięki przypadkowi, to, co najpiękniejsze w waszej historii, trwać będzie do końca życia. Marzenia bratku, oto, co najważniejsze, marzenia o niespełnionym.

Ryszard znowu napełnia opróżnione kieliszki.

— Tyś już porządnie podpił — powiada Adam.

— Największe sentencje wygłaszają pijacy. Myślę także, że to, co najważniejsze w życiu odbywa się zwięźle i krótko, w jednym sygnale; czasem nawet w myśłach, bez słów. A propos niespełnionego marzenia — Ryszard trąca się lampką. — Napij się. Powiedz, o czym ludzkość powinna teraz marzyć, kiedy człowiek znajduje się na Księżycu?

Nagle podbiega do nich młody człowiek.

— Rozmawialiście o Księżycu? — pyta i przysiada się do ich stolika. — Nie pójdziecie oglądać transmisji, brawo, ja też nie! — recytuje szybko, jednym tchem, w podnieceniu.

— To niezwyklejszy przypadek, że tu jeszcze siedzimy — mówi Ryszard.

Adam stwierdza w myślach, że ten młody człowiek jest pijany.

— To poeta. Nazywamy go Filozofem — Ryszard przedstawia młodzieńca.

— Bardzo mi przyjemnie — powiada Filozof.

Filozof wypija postawiony przed nim kieliszek wina. Trzymając wysoko przed sobą „puste szkło” patrzy długo w kopułę sali.

— On zawsze cholernie serio. Odczuwa i cierpi za ludzkość — Ryszard szepce do ucha Adamowi.

Filozof jednak usłyszał szept Ryszarda. Spojrzał na niego z błyskiem w oczach.

— Nie za ludzkość. Za człowieka. Obchodzi mnie pojedynczy człowiek, każdy pojedynczy człowiek — za protestował, a włosy opadły mu na oczy aż tak, że pewnie na chwilę przesłoniły widok.

— Diabli mnie biorą, kiedy słyszę, gdy ktoś mówi, że kocha ludzkość i jednocześnie zabija człowieka. Teraz wszyscy stali się, są solidarni bez względu na poglądy i ustrój, wyją z zachwyty, że oto człowiek na

Księżycu. Nikt nie słucha tego, co mówi lord Russel. A on mówi, że gdyby była możliwość zainstalowania bazy wojskowej na Księżycu, natychmiast zrobiliby to ci, którzy pierwsi opanują Księżyc. To samo z innymi planetami. Lord Russel pisze, że jeśli na jakiejś planecie są istoty żywe i nie znają wojen, to natychmiast nauczymy je sztuki wojennej... Nie wolno więc ruszać kosmosu, dopóki człowiek jest taki, jaki jest. A na razie jesteśmy potworni. Na ziemi analfabetyzm, głód i wojny; z ziemią nie możemy sobie poradzić, więc zachwycamy się podbojem kosmosu...

Filozof odsapnął.

— Już teraz w Monachium na wystawach sklepowych jest dziesięć rodzajów nowych zabawek. Kosmonauta z miotaczem ognia, z automatem, z wiązką granatów, kosmonauci w tyralierze atakują grupę innych kosmonautów. Zabawki dla dzieci, zabawki dla przyszłych pokoleń...

Długo mówił Filozof, a oni słuchali nie przerywając.

— Jestem za artystami, którzy zbuntowali się przeciw ludzkości w imię człowieka. Co przyniesie podbój kosmosu indywidualnemu człowiekowi? Wszystko na tym świecie zmierza do tego, aby umarł człowiek pojedynczy, on już teraz prawie nie istnieje... Najpierw morduje się sumienie społeczeństwa, żeby zabić osobowość człowieka, ktoś tak powiedział i miał całkowitą rację... — mówił pogrążony w ekstazie Filozof.

Kiedy Filozof poszedł, Ryszard powiedział:

— Nie sądziłeś chyba, że i my mamy swoich filozofów, są oni nawet w takich małych miasteczkach, w takiej, za przeproszeniem, dziurze.

— On wcale nie jest głupi — odpowiedział zamyślony Adam.

Ryszard uśmiechnął się swobodnie.

— Czy ja powiedziałem, że jest głupi. On po prostu wygłasza oczywiste prawdy.

— Tak, ale są to prawdy, o których nie należy zapominać i dlatego powinno się o nich mówić.

Ryszard patrzy uważnie na Adama. „Wszystko w sobie stłumił, ale to wybuchnie, na pewno wybuchnie”.

— Już zapłaciłem. Teraz zstąpmy na ziemię, bo pewnie człowiek jest już na Księżycu — powiada Ryszard.

Wychodzą i nic się jakiś czas nie dzieje (co to znaczy „nic się jakiś czas nie dzieje?”).

— A może — powiada Adam. — Wszystko to, co najważniejsze, jest wciąż spychane na margines życia?

— Nie myślisz chyba, że dotyczy to absolutnie wszystkich ludzi? — pyta Ryszard.

— Tak samo ludzkości, jak i każdego człowieka z osobna. Podobnie jak i nas w ciągu ostatnich dni.

— Przyczyną tego stanu, że spychamy wszystko, co najważniejsze, na margines, są kompleksy i obsesje. I to nie te ważne w ogóle, a ważne w danej chwili. Zdaje się, że to właśnie dlatego ludzie tak bardzo chcieli polecieć na Księżyc — kończy Ryszard.

Kiedy wchodzili do domu Ryszarda, Księżyc i gwiazdy świeciły tak samo jak przed tysiącem lat.

Adam za wszelką cenę chce znaleźć u innych jak najwięcej analogii do własnej historii. Mógł więc na pierwszy ogień pójść przede wszystkim Ryszard. Historie innych leczą lub łagodzą nasze historie. A tragedie innych to antybiotyki, zarazki leczone zarazkami.

— Co to było z tą leśniczówką?

— Byłem wtedy bardzo młody — odpowiada obojętnie Ryszard.

Adam patrzy podejrzliwie.

— Jak chcesz, to nie mów — Adam udaje obojętnego.

— A właśnie, że powiem. Teraz już mogę powiedzieć.

Adam ze wzrastającym napięciem czeka.

— Tylko nie zmyślaj — mówi ostrzegawczo.

— Dlaczego miałbym zmyślać. Tamta historia nie ma już dla mnie żadnego znaczenia. Miałoby to ogromne znaczenie tylko w powieści, takie powikłanie kontrowersyjnej sytuacji. Powieściopisarz wyżyłby się w tym, ale my...

— Nic jeszcze nie powiedziałeś — demerwuje się Adam.

— No widzisz, przepraszam — roześmiał się Ryszard.

— Kiedy człowiek mówi, bardziej bierze pod uwagę stan swojej wiedzy, zakres informacji u siebie, niż u tego, do kogo mówi. A więc komentowałem siebie, jakbyś wszystko już wiedział.

— Ryszard — przerywa Adam.

— To miałoby dla ciebie znaczenie, gdybyś się dowiedział o tym wcześniej lub gdyby to dla mnie było jeszcze ważne. Ja wtedy chciałem swój egoizm zniszczyć, doszczętnie zniszczyć. Po prostu mierzyłem sobie dokładnie w serce, pech jednak chciał, że nie trafiłem.

O dziwo, na twarzy Adama pojawia się ulga.

— Tak, byłem w podobnej sytuacji, tylko że z odwrotnymi reakcjami. Ty chciałeś ją zabić, a ja siebie. Oczywiście z dwojga złego ja byłem nienormalny, ja bardziej odbiegałem od normy. — Ryszard zawiesza głos. — I wyobraź sobie sensację w naszej wiedzy o sobie. Ja naruszyłem wystrzałem mięsień sercowy z powodu tej samej księżniczki na zamku.

Ryszard nie pozwala Adamowi na reakcję i mówi szybko dalej:

— Nie myśl, że ma to teraz jakiegokolwiek znaczenie.

— Więc dlatego nie chciałeś tak długo mówić o leśniczówce? — odpowiada radośnie Adam.

— Podobnie jak ty zwlekałeś z przyznaniem się, po coś tu przyjechał...

Czy wbrew pozorom spokoju kotłowały się ich uczucia, kipiało (kipiało?) wewnątrz, zostawmy to naszym domysłom. Warto w tym miejscu jednak zauważyć, że to powikłanie, które jest przyczyną tak gwałtownej reakcji ludzi, fascynujących przeżyć, intryg itede może równie dobrze być balsamem, który koi i usypia. Zostawmy więc w tym miejscu przyjaciół, zachodzi bowiem obawa, że ich nieprzewidziane zachowanie może zmienić się w antyschemat, czyli swego rodzaju schemat.

Adam ucieka z miejsca, do którego tyle razy przyjeżdżał. Dopiero w pociągu przypomina sobie obraz pomorskiego miasteczka podobnego do wszystkich w tej okolicy. Wąskie uliczki, błoto tych ulic, kościół, rzeka, odbudowany czternastowieczny zamek, stara brama z bocianim gniazdem. I współczesność, czas teraźniejszy, który wkrada się tutaj nowymi kamienicami, kioskami z gazetami i piwem.

Czy na przykład łagodny pejzaż przyrody wraz z półmrokiem długo „usadawiał” się w oczach Adama stojącego w oknie pociągu? A co jeszcze ważniejsze, czy nasz bohater wracał jak człowiek, który cokolwiek zdołał zakończyć, osiągnąć wreszcie wewnętrzny ład, do którego wszyscy tak usilnie dążą? Tego nie wiemy, bo skąd moglibyśmy wiedzieć! A jednak...

PAMIĘTNIK NAUCZYCIELKI

Mówiąc szczerze, nie mam powodu do narzekania. Nic mi tu nie zakłóca spokoju, w sąsiednich pokojach nikt nie jęczy, nie hałasuje, nie słysząc nawet otwierania drzwi, bo najpewniej nikogo w tych pokojach nie ma. Od czasu do czasu słyszę tylko cichy szept na korytarzu, ale to dźwięk łagodny i bez znaczenia, bo nie rozróżniam w nim żadnych słów, więc nie zakłóca moich myśli żadnym dodatkowym, niepotrzebnym sensem. Jestem więc sama ze swoimi myślami, sama tylko dla siebie, jestem więc po raz pierwszy w życiu w sytuacji, w której mogę myśleć tylko o sobie, i jest to także sytuacja, w której nie potrzebuję się o nic martwić. Myślałam często o podobnej chwili, co więcej, marzyłam o takiej chwili i oto nagle, dzięki przypadkowi, spełniło się moje marzenie. Jestem całkowicie sama ze sobą, rozkoszuję się więc tą od dawna oczekiwaną sytuacją. I nie mogę powiedzieć, abym całkowicie straciła kontakt ze światem, bowiem siostra Elżbieta przynosi mi najróżniejsze wieści z miasteczka...

Leżę przy samym oknie, którego parapet jest na wysokości poduszki, więc kiedy podsunę łokciami poduszkę i lekko przekręcę głowę podpierając się na prawej ręce, wtedy widzę, co dzieje się za oknem. Mogę obserwować do woli rybaków na kutrach, przechodzących

ludzi po drugiej stronie kanału. Wieczorem zapalają się światła w jedynej kamienicy za aleją i często w chwilach moich zawrotów głowy wydaje mi się, że jestem naraz w kilku mieszkaniach, uczestniczę w życiu codziennym kilku rodzin. Tak było jednak tylko na początku. Potem wybrałam zaraz jedno okno zawsze zasłaniane tylko firanką i już odtąd zostałam u nich. Więc widzę ich prawie co wieczór, czekam ze zniecierpliwieniem na zapadnięcie zmroku i na światło w ich oknie. Leżę więc unieruchomiona w tym pokoiku, a jestem jednak nadal w świetle, wśród ludzi — i nawet znajduję się w wygodniejszej niż wszyscy inni sytuacji, bo kiedy tylko zechcę, mogę wszystkich porzucić i zostać samotnie; ich obecność przy mnie jest więc zależna tylko od mojej własnej woli, ja decyduję o tym, kiedy mogą mi się pokazać i kiedy wolno im ze mną rozmawiać. Oto moja wolność i wygoda tego malutkiego i schludnego pokoiku.

Codziennie siostra przynosi zastrzyki znieczulające, codziennie też szykuje zastrzyki, które nie dopuszczają bólu. W takich chwilach nie mogę jednak intensywnie myśleć, myślę więc jak przez mgłę. Ale i z tego się cieszę, bo przecież moje myśli nigdy nie urywają się całkowicie. Mogę łączyć poszczególne wydarzenia w całość i mogę wszystko, nawet najbardziej oderwane i drobne zdarzenia ze swego życia, łączyć w jakąś jedną logiczną całość. Kilka dni temu zaczęłam nawet notować swoje myśli i to także jest spełnieniem mego marzenia, bo zawsze postanawiałam prowadzić dziennik. Ale nigdy dotąd nie miałam czasu na to. To moje notowanie jest bardzo kłopotliwe i męczące, ale myślę, że za kilka dni dojdę do wprawy. Długo nie wiedziałam, w jaki sposób mogę pisać, wreszcie jakoś poradziłam sobie. Stawiam zeszyt obok siebie, górną jego część opierając o ścianę. Piszę więc powoli i ostrożnie, le-

ciutko dotykam długopisem papieru, aby nie stracić zeszytu. Myślę, że za jakiś czas będę miała więcej siły i przeniosę się na parapet okna, a wtedy moje pisanie pójdzie mi o wiele sprawniej. Zeszyt muszę ukrywać przed siostrą, ale i tak ona już kilka razy zauważyła to, udając jednak, że nic nie widzi (skąd u niej tyle mądrej wyrozumiałości?). Najważniejsze więc, żeby z tym moim pisaniem nie wpaść przed lekarzem. Muszę przecież zdążyć to wszystko zapisać, zanim stanie się to coś, czego nie da się przecież odwlec, co musi nastąpić. Dlatego też piszę prawie o wszystkim, o czym pomyślę i co uważam za ważne ze swego życia, co ma związek ze mną; i notuję wszystko prawie tak, jak myślę. To pisanie jest dla mnie koniecznością, bez której nie mogłabym się teraz obyć. Męczę się jednak dość prędko i muszę pisać z przerwami na odpoczynek, więc w chwilach odpoczynku patrzę w okno. Odpoczynkiem jest także widok rybaków krzątających się na swoich kutrach, które przygotowują do nocnego rejsu. Patrzę, jak oni się poruszają, powoli i ostrożnie, z jakimś tylko sobie wiadomym namaszczeniem. Ich powolne, jakby niezwykle ważne ruchy przypominają trochę celebrowanie mszy — jakże wiele w nich dostojenstwa. A może — tego naprawdę nie wiem — takie widzenie pracujących rybaków, to złudzenie spowodowane wysokością, z jakiej na nich patrzę. Jedno jest pewne, że ci ludzie zajęci wciąż pracą i tkwiący w ciągłym niebezpieczeństwie nie mają wiele czasu na rozmyślanie. Praca i niebezpieczeństwo całkowicie ich pochłaniają. Trwają więc w tym jakimś stanie napięcia, które nie pozwala im na myślenie o czymś innym niż to, co robią. I oni na pewno są szczęśliwi. Szczęśliwi? Co ja mogę o nich wiedzieć... A jednak...

Nie wiem dokładnie jaka jest dziś data, który dzień tygodnia. Wiem tylko tyle, że jest teraz połowa czerw-

ca i jest to okres, w którym w szkole miałam masę roboty w związku z zakończeniem roku szkolnego. To dobrze, że jest już ciepło, inaczej lekarz nie pozwoliłby przysunąć łóżka do okna. Myślę często z uciechą, jak to dobrze, że w szkole jest teraz tyle roboty, a ja leżę sobie beczynnie i pierwszy raz w życiu nic mnie nie obchodzi, co dzieje się w szkole... Leżę sobie w najlepsze i mam wszystko gdzieś... Teraz jest moment zachodu słońca. W tych ostatnich dniach zachód słońca widzę codziennie, z wyjątkiem tych chwil, kiedy śpię wyczerpana po bezsenności. Dzisiaj na pewno będę miała bezsenność, więc nie potrzebuję się spieszyć z wykonaniem normy swoich notatek. Patrzę w to swoje okno, wciąż wypatruję, ale nikogo w nim nie było dzisiejszego popołudnia, nie ma tam także nikogo teraz. Widocznie gdzieś wyjechali. W ich oknie teraz czerwień, tylko czerwień zachodzącego słońca. Zaraz ta czerwień z okna zniży się i zejdzie na powierzchnię kanału... Rozlana krew na powierzchni kanału... Od okna lekki chłód, więc wyciągam przed siebie rozpalone dłonie i chłodzę ich wewnętrzną stronę o szybę. Czuję lekkie drżenie szyby. Jest to znak, że pogłębiarka wyjechała do swojej conocnej pracy. I naraz, znowu myślę o nich, myślę o tym, gdzie też oni mogli wyjechać o tej porze roku. I nie wiem dlaczego, boję się, że pojechali już na wakacje, na cały miesiąc... Zapaliły się już wszystkie światła w kamienicy za aleją, tylko w ich oknie ciemność... Nic mnie nie obchodzą światła w innych oknach i nic mnie nie obchodzą ludzie za innymi oknami... Za chwilę winna wejść siostra, więc osuwam się na poduszkę i podciągam koldrę pod samą szyję. I rzeczywiście już słyszę jej kroki na korytarzu. Ostrożnie otwiera drzwi, wchodzi na palcach jak kot, nie jest to jednak skradanie się. Po prostu siostra Elżbieta ma taki lekki, puchowy chód. Zapala lampę na

stoliku przy moim łóżku. Zawsze odzywa się dopiero wtedy, gdy zapali światło, jakby dopiero światło upoważniało ją do zabrania głosu.

— Dobry wieczór pani — mówi łagodnie.

Pozdrawia mnie za każdym razem, choć codziennie przychodzi po kilka razy.

— Dobry wieczór, siostro Elżbieto — odpowiadam sennie, udając, że dopiero teraz obudziłam się.

Zawsze zwracam się do niej „siostro Elżbieto”, bo wiem, że to lubi. Być może dlatego, że pracuje od niedawna w szpitalu, a może i dlatego też, bo taki zwrot czyni ją jakby starszą.

— Jak się pani spało? — pyta znowu z tą swoją naturalną łagodnością w głosie.

— Dziękuję, siostro Elżbieto — mówię.

— Czy bardzo dzisiaj panią bolało?

— Ależ nie, prawie nie czuję żadnego bólu.

— Niedługo będzie pani zdrowa — mówiąc to siostra bierze strzykawkę. — Za kilka dni przestanę panią kłuć, to już chyba trzydziesty zastrzyk. Wie pani, miałam to pani dawno powiedzieć, że nie było tutaj już dawno kogoś tak spokojnego jak pani profesor.

— A jak długo pani tu pracuje? — pytam odsuwając kołdrę.

— Już trzy miesiące — odpowiada nie przeczuwając podchwytliwości pytania.

Dotyka delikatnie (tego raczej domyślam się, niż czuję) moich martwych nóg i robi zastrzyk. Najpierw w lewą nogę, a potem lekko pochylając się nade mną, w prawą. — Przywieziono tu panią zupełnie bez życia — mówi cicho. — No, już po wszystkim, jeszcze tylko pigułki. — Podaje mi szklanę z herbatą. Przez trzy dni była pani na kroplówkach — kończy.

Siostra Elżbieta nie spuszcza ze mnie wzroku, zanim nie połknę pigułek i nie popiję wodą. Tak samo pilnie

mnie obserwuje, kiedy wypijam przyniesione przez nią lekarstwa.

— Dlaczego nie zjadła pani wszystkiego? — zauważa resztki jedzenia na talerzu.

Nie czekając na odpowiedź siada. Co dzień rozmawia ze mną, najczęściej zadaje pytania, a ja odpowiadam. Bywa jednak, że ja pytam, aby przedłużyć jej obecność. Coraz bardziej boję się nocy w tym pokoju. Nie mogę jej jednak powiedzieć, że już wiele razy chciałam w środku nocy po nią zadzwonić. Najczęściej siada i opowiada mi w skrócie najważniejsze ploteczki w miasteczku. Bardzo lubię rozmowy z siostrą Elżbietą, które należą do swobodnych, najbardziej nie zobowiązujących, jakie kiedykolwiek prowadziłam w swoim życiu. W zasadzie to ona opowiada, a ja słucham. Jeżeli pyta o coś, wtedy jej staram się jak najuprzejmiej odpowiadać.

— Proszę do mnie mówić po imieniu — prosi nieśmiało. — Ja przecież mogłabym być pani uczennicą. No, nic przez to nie chciałam powiedzieć — nagle przestraszyła się. — Ja panią znałam i podziwiałam od pierwszej chwili, kiedy pani przyjechała do miasteczka. Czy pani źle mnie nie zrozumiała? — upewnia się jeszcze.

— Ależ nie, skądże znowu. Dobrze, Elżbieto, z przyjemnością będę do ciebie mówiła po imieniu.

— Dziękuję pani. Ja bardzo przepraszam, ale dziś muszę iść, bo lekarz zostawił mi na całą noc papierkową robotę — mówi usprawiedliwiająco.

— Ależ proszę... Nic mi już nie potrzeba — mówię szybko.

Jestem rozczarowana i zdziwiona jednocześnie, że odkryła jak bardzo chcę, aby siedziała wieczorem jak najdłużej przy mnie. I z tego powodu robi mi się głupio przed samą sobą. Elżbieta zabiera naczynia i zaraz

zatrzymuje się obok łóżka, poprawia jedną ręką kołdrę i z cichutkim „dobranoc” wychodzi.

Wraz z odejściem siostry Elżbiety zawsze czuję się o wiele gorzej. Szczególnie wzmacnia się ból w nogach, najgorszy jednak jest ten nieregularnie powracający szum w głowie. Usiłuję, dziś za wszelką cenę będę starała się zasnąć. Wyciągam rękę i gaszę światło. Czuję, jak w mojej głowie narasta szum, który każdej nocy budzi mnie po kilka razy. Wraz z odejściem siostry Elżbiety kończy się łagodność, a zaczynają się te mgliste, obsesyjnie męczące obrazy. Znowu jestem w drzwiach sali gimnastycznej. Podnoszę się jeszcze na rękach, ale okno, w które patrzę, od kilku dni jest ciemne. Opadam z powrotem na poduszkę i teraz, po tym nagłym wysiłku kręci mi się w głowie. Znowu prowadzę lekcję, wpadam w zapamiętały, męczący i oszałamiający wir tej ostatniej mojej lekcji gimnastyki, mojej zwykłej lekcji gimnastyki. Od chwili, gdy odzyskałam tutaj przytomność, wystarczy poddać się tylko odrobinę, sprzyjać rodzącemu się obrazowi, a już jestem w drzwiach sali gimnastycznej. Dziewczęcy chichot na mój widok ucicha, ale ja zdążyłam już usłyszeć jedno zdanie o sobie i o Januszu. — W dwuszeregu zbiórka! — krzyczę wściekle nie patrząc na dziewczęta. Wcale mnie to, co usłyszałam, nie rozzłościło, złościć się dla zasady, bo uznaję nagle taką reakcję za prawidłową, za konieczną. Po chwili uświadamiam sobie to wszystko, ale już nie ma powrotu, bo teraz moja złość staje się rzeczywista. — Biegiem marsz wokół sali!... Tak właśnie zaczął się ten bieg wokół sali, który trwał całe trzy kwadransy, całą lekcję, aż do dzwonka. Patrzyłam na migające główki dziewcząt ze wstążkami i kocardami, czułam na sobie ich przelotne spojrzenia, pełne zdumienia i strachu. Pomyślałam w tym otepieniu, które

mnie objęło, że niektóre z nich próbują już nieśmiało pierwszych ondulacji — i ta myśl była jedyną przez kilka minut. I nie wiem sama, dlaczego to spostrzeżenie wyzwoliło we mnie nową wściekłość. — Szybciej, do jasnej, nie wiecie, jak wygląda bieg?! Szybciej!... — krzyczałam pokonując własne odruchy litości i był to krzyk przeciwko mnie samej. Za chwilę wróciło odrętwienie, w którym wodziłam już tylko za lśniącymi główkami błędnym, nic nie widzącym wzrokiem. Dopiero dźwięk dzwonka wyrwał mnie z tego letargu. Wyszłam cicho i bez słowa, w zawstydzeniu, wyszłam zdaje się, nie zauważona. Nie wiem nawet, czy dziewczynki usłyszały natychmiast dzwonek, czy też nie słysząc biegały dalej zmęczone i opadające z sił; został więc we mnie po tamtej lekcji wstyd z powodu okazania przed dziewczynkami własnej słabości, pozostał po tym niesmak, który wciąż każe mi myśleć o tamtej scenie. I nawet nie obchodziły mnie konsekwencje, jakie mogły mnie spotkać za taką lekcję; nie obchodziło mnie zmęczenie dziewczynek i mój sadyzm; został w mojej świadomości wstyd i niesmak z powodu okazania przed dziewczynkami mojej słabości i to właśnie jest najgorsze. Teraz dobrze wiem i o tym, czego nikt nie mógłby się nawet domyślić, że ta złość była tylko w stosunku do mnie samej. Ta chwila buntu przeciwko otumaniającemu mnie samą bieganiu przez kilkanaście lat wokół sali gimnastycznej. Nikt jednak nie mógłby odczytać tego w taki sposób i dziewczynki tego tak nie odczytały... Teraz wiem i to, że był to bunt przeciw tylekroć nieudanej, podejmowanej wciąż od nowa próbie ułożenia sobie życia; bunt przeciw tym wszystkim namiastkom miłości, które były tylko dalekim, nędznym odbiciem, parodią mojej miłości, miłości Stefana i mojej... To był strach przed ośmieszeniem mego marzenia, które już tyle razy mieszano z błotem... A plot-

ka o mnie i Januszu, o mnie starej babie zakochanej w chłopcu prawie o dziesięć lat młodszym, rozeszła się już w murach szkoły, wiedziałam, że niedługo i całe miasteczko zacznie o tym trąbić, nie zostawiając na nas suchej nitki... Oto prawda dlatego, gdy usłyszałam tę plotkę z ust moich dziewczynek, wpadłam we wściekłość i opanowało mnie otumanienie osaczonego zwierzęcia... Po przerwie na następnej lekcji byłam ciągle nieprzytomna i wciąż nie wiem, jak to się stało... Pamiętam tylko przerażający, krótko trwający ból i ciemność, słodkawe uczucie nicości, które mnie pochłonięło... Obudziłam się dopiero kilka dni potem, w tym schludnym, białym pokoiku... Czuję, jak znowu wraca ból, który od wczoraj nie opuszczał mnie ani na chwilę... Zapalam nocną lampkę, sięgam po pigułki znieczulające...

I w tym momencie słyszę lekkie skrzypnięcie drzwi.

— Czy pani profesor niedobrze?

To siostra, która w tym tygodniu ma nocny dyżur. Nie znam nawet jej imienia.

— Nie, czuję się świetnie — odpowiadam siłąc się na swobodny, lekki ton.

— Przepraszam, myślałam... Dobrej nocy, pani profesor...

Znowu lekki skrzyp drzwi i siostra już odfrunęła. Tylko ona jedna nie może słowa powiedzieć, żeby nie użyć zwrotu „pani profesor”. Jestem wściekła, kiedy mnie tak tytułuje, ale nie mogę jej przecież tego powiedzieć. Wymawia to swoje „pani profesor” z szacunkiem, prawie z namaszczeniem. Jest najstarsza, najcichsza ze wszystkich sióstr. Podobno ma dużą rodzinę; najmniej właśnie o niej wiem. Wydaje mi się, że ona ma też najmniej pretensji do świata, więc szczęśliwsza jest chyba od innych. Powiem jej któregoś dnia, jak mnie denerwuje to ciągle „pani profesor”. Czy ona

wie, co to znaczy? „Pani profesor”? Znowu przypomina mi to, co w chwilach załamania nie daje mi spokoju od lat. Szczególnie teraz deńerwuje mnie to tytułowanie. „Pani profesor”. „Profesorka — gimnastyczka?” — dziwili się ludzie w tamtej wsi, gdzie mieszkali moi rodzice. Nie odpowiadam, oblewa mnie tylko wstyd. Nie potrafiłam nigdy wytłumaczyć ani rodzicom, ani sąsiadom, że aby umieć skakać i biegać, trzeba było pięć lat studiować. Śmiali się więc sąsiedzi z moich starych rodziców, że wyuczyli mnie na „panią profesorkę” od biegania i skakania; wyśmiewali moich rodziców, że łożyli przez pięć lat na moją naukę, aby nauczyć mnie tego, co oni umieją od dziecka, co umieją ich kilkuletnie dzieci. Biegać i skakać. Profesorka od biegania i skakania. Piekłę się, nie mogąc sąsiadom moich rodziców, ludziom we wsi, niczego wytłumaczyć. Złoszczę się na rodziców, którym też nie mogę niczego wytłumaczyć i współczuję im jednocześnie, bo są dzięki mnie wystawieni na pośmiewisko całej wsi. Ich sromotą jestem ja i nie mam na to rady. Nie mogę w żaden sposób niczego we wsi wytłumaczyć. Może Stefan mógłby mi wytłumaczyć, przekonać ich. On jeszcze trudniejsze rzeczy potrafił wytłumaczyć, jeszcze ciemniejszym ludziom. Często zła byłam na Stefana, bo ta moja nauka, te moje studia są sprawą Stefana. On mi właśnie wbił do głowy, że powinnam się uczyć. Nie, najpierw przekonał, że muszę uczyć innych, więc uczyłam w szkole sama nie mając matury. Większość z moich „dzieci” była w moim wieku lub nawet starsza ode mnie. Kilku moich uczniów przychodziło do szkoły z automatami i podczas lekcji rozbierali je i czyścili. Nigdy nie kazałam im odkładać broni, bo bałam się narazić na śmieszność. Bałam się, że nie usłuchają mnie, nie chciałam więc ryzykować swoim autoryte-

tem... Ucząc w szkole sama zrobiłam maturę. I wszystko było dobrze, dopóki był ze mną Stefan. Potem, kiedy Stefana zabrakło, uciekłam z tamtego miasteczka i rozpoczęłam studia. Miałam zaległości w niektórych przedmiotach, więc poszłam na Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego sądząc, że ten kierunek studiów najłatwiejszy. Nie były to studia najłatwiejsze, może nawet trudniejsze od innych, ale polubiłam je. Rodzice mają jednak wciąż do mnie żal za te studia... Mówiąc prawdę, to obojętny był mi kierunek studiów, bo ja chciałam nauką wypełnić lukę po Stefanie. Czy wypełniłam tę lukę? Nie, nie mam wcale żalu do Stefana, że najpierw zatrzymał mnie w tamtym miasteczku i namówił do uczenia tamtejszych dzieci, że wpoił mi zamiłowanie do tej pracy. On sam też nie dbał o siebie, choć był zdolny i mógł pójść na uniwersytet. Poszedł jednak do komitetu na sekretarza i zamiast zasypiać ze skryptem pod głową musiał spać z pistoletem pod poduszką... A co ja osiągnęłam? „Pani profesor”? Znowu czuję osłabienie, wraca zamroczenie i ten stan jest podobny do tego, jaki przez ostatnie lata powtarzał się często, zanim nie stało się to, dzięki czemu znalazłam się tutaj. Znowu, jak zwykle w tym męczącym stanie zamroczenia, wracają tylko myśli o sobie. Co ja osiągnęłam? Co chciałam osiągnąć, co mogłabym osiągnąć? Wszystko, o czymkolwiek pomyślałam, musiało mieć związek ze mną. Nie mogłam się oderwać od siebie, jak od własnego cienia. Ja, pępek świata. Czasami wściekałam się z powodu tego znęcania się nad samą sobą. I dochodziłam wiele razy do wniosku, że ze wszystkich ludzi mamy najbardziej dość siebie, a największy kłopot z jakim chyba każdy się boryka, to kłopot z samym sobą. Teraz będę miała sporo dni, aby jakoś to wszystko uporządkować, ustalić rozstrzygnąć ostatecznie,

wszystko to, co zawsze było dla mnie wątpliwe. Muszę jakoś uporządkować samą siebie. Nie można przecież żyć z wiedzą, że nie zna się siebie i nie rozumie się swoich własnych czynów i własnego życia. Będę miała sporo czasu i muszę to wszystko rozwiązać, poustalać, ocenić siebie... Będzie to swego rodzaju najszczersza spowiedź przed sobą samą... I muszę zrozumieć, jaki sens miało moje życie. Muszę to wszystko skrupulatnie zapisywać, bo moje myśli rozlatują się i pierzchają na wszystkie strony. Myślenie sprawia mi coraz więcej bólu, muszę skupiać się, aż do nowego bólu, aby logicznie układać myśli. Muszę to wszystko notować... Muszę zdążyć, bo przecież wiem, że jutro albo pojutrze powiedzą mi to, co usłyszałam przez sen, kiedy lekarze stali nade mną i naradzali się... (Nie mogę ich ostatecznie upewnić, że jest ze mną tak źle...). Muszę zdążyć wszystko przemyśleć i muszę zdążyć to wszystko zanotować. Nie wiem komu i po co, ale wiem, że muszę prowadzić te notatki, które zaczęłam... Może dla samej siebie, aby tym wyraźniej i dosłowniej uświadomić sobie swoje życie...

Opadam znowu na poduszkę, nie mogę już utrzymać pióra w ręku. Ból przebiega już coraz wyżej, jest w okolicy krzyża... Przed oczyma mgła osłabienia... Z wysiłkiem wyciągam rękę i gaszę nocną lampkę... Jestem tak zmęczona i wyczerpana, że mimo tego bólu, który przesuwają się coraz wyżej po kręgosłupie, na pewno szybko zasnę... Pocieszam się, że jutro poczuje się lepiej... Zawsze w dzień czuję się o wiele lepiej...

Budzą mnie głosy tuż nade mną. Nie wiem zresztą, czy obudziły mnie głosy, czy ból, który teraz obejmuje całe moje ciało. Wyteżam wzrok, przyglądając się twarzom nade mną. Za chwilę rozplywają się i nikną, wszystko przesłania mgła.

— To naprawdę nie będzie bolało — mówi lekarz

i słyszę zaraz jego następne słowa, jakby uciekające gdzieś daleko w tunel. — Trzeba będzie to zrobić natychmiast, jak tylko wzmocni się organizm.

Zdażyłam jeszcze uświadomić sobie z przerażeniem, co lekarz ma na myśli i znowu opanowuje mnie uczucie, jakbym spadała w przepaść w stanie nieważkości. Ostatnim wysiłkiem otrząsam się z tego stanu i na moment rejestruję uchem szelest fartucha i czuję lekkie uklucie w biodro. Wiem, że znowu zasypiam, więc poddaję się temu słodkawo-łagodnemu rozplywaniu się w nicłość.

Na dobre budzę się około południa z lekkim bólem głowy. Na krześle przy łóżku siedzi siostra Monika. Dzisiaj jest jej dyżur. Nie wiem zupełnie, dlaczego boję się trochę siostry Moniki.

— Właśnie czekałam, aż pani się obudzi — mówi natychmiast. — Przyniosę dla pani obiad — rzuca już od drzwi i wychodzi.

Wraca za kilka minut. Stawia na nocnej szafce talerz i podsuwa wyżej poduszkę, żeby było mi wygodniej. Z ulgą uświadamiam sobie, że dzisiaj mam apetyt.

— Wczoraj przeczytałam w gazecie, że uczeń i uczennica szkoły podstawowej popełnili samobójstwo z miłości. On miał piętnaście lat, a ona czternaście. Kochali się już od kilku lat, ostatnio jednak pogniwiali się. Piszą w gazecie, że to jej wina, bo robiła mu sceny zazdrości i już od dawna groziła samobójstwem. W końcu oboje rzucili się pod pociąg. W gazecie piszą, że wybrali zakręt torów, aby maszynista nie mógł w czas zahamować. Stali i trzymali się w objęciach. Dobrze, co?

— Kiedy to się stało? — pytam, aby podtrzymać rozmowę.

— Kilka dni temu. Wie pani, myślę, że tak mogą tylko dzieci, bo prawdziwej miłości nie ma na świecie. Tak się tylko czasami wydaje, że to miłość... Pani jest

mądra, niech pani powie, co to jest, że wszyscy, nawet najbliżsi, stają się sobie obojętni. A to, co wydawało się miłością, naprawdę przechodzi w obojętność, a nawet nienawiść...

Nie czekając na moją odpowiedź mówi dalej: — Miłości nie ma na świecie.

— To oczywiste, że nie ma — potwierdzam teraz tylko po to, żeby mi dała spokój.

Siostra Monika patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Ale pani... — zawahała się. — Przepraszam, no tak, naprawdę nie ma miłości — zmieszana powtórzyła szybko.

— Słucham, Moniko, chciałaś coś innego powiedzieć.

— Nie, może tylko to, że najchętniej żyłabym na wyspie bezludnej, daleko od ludzi. Ludzie są jak zwierzęta. Przecież nikt nikogo nie rozumie i ludzie nie starają się nawet zrozumieć wzajemnie... Czasem tak myślę, że bez ludzi byłabym szczęśliwsza... A już najgłupsze jest to co nazywamy miłością...

— Nie to chciałaś powiedzieć — zaprzeczyłam znowu i nie wiedziałam dlaczego upieram się.

Spojrzała na mnie speszona i przestraszona. Nie potrafiła kłamać, spuściła głowę.

— No, śmiało Moniko!

— Ja pani zazdroszczę — powiedziała nie podnosząc głowy. — Pani... — Ja pani zazdroszczę — powtórzyła.

— Czego? — szczerze zdziwiłam się.

— Pani wierzy w miłość — wypaliła jednym tchem.

— Po czym tak sądzisz? — pytam i wpatruję się w nią, aby ją zmusić do odpowiedzi.

— Pani będzie się gniewać jak powiem...

Milczę nie spuszczaając z niej wzroku.

— Nie bądź dziecinna. Mówię ci, że nie będę.

— No dobrze, powiem. Pani z miłości chciała popełnić samobójstwo.

Na chwilę zaniemówiłam. Teraz zrozumiałam, że one wszystkie tak myślą, że pewnie całe miasteczko tak myśli.

— Nieprawda, to był najzwyczajniejszy w świecie przypadek. Byłam bardzo zmęczona...

— To wszystko jedno. Chciała pani popełnić samobójstwo, bo nie chciało się pani żyć.

— Co ty wygadujesz, Moniko. Naprawdę musisz mi uwierzyć, że to był przypadek.

— Czy tylko muszę? — upiera się.

— Przysięgam więc, że to był przypadek.

Znowu na mnie spojrzała.

— Wierzę pani — powiedziała, ale wiedziałam, że nie mówiła prawdy. — Przepraszam, nie powinnam pani denerwować.

Wstała i zebrała naczynia. W drzwiach odwraca jeszcze na chwilę twarz i obrzuca mnie świdrującym spojrzeniem.

Opanowuje mnie nagła złość.

— Siostrzo Moniko! — krzyczę. — To był tylko przypadek! Niech pani zapamięta, że to był tylko przypadek. Rozumie pani? — krzyczę, ale już mniej pewnie, załamującym się głosem.

— Przepraszam, bardzo panią przepraszam, pani profesor. Proszę, niech pani nie skarży na mnie lekarzowi — mówi i zamyka drzwi.

Siostra Monika swoimi pytaniami wyraźnie mnie zaniepokoiła. Co ja jej miałam powiedzieć, jeśli ja sama nie wiem, co to było, co się ze mną stało tamtego dnia. Znowu wraca złość na Monikę, choć to ja sama ją spowodowałam. Nie powinna jednak wtrącać się do nie swoich spraw. Teraz wiem, dlaczego boję się Moniki i jej z taką prostotą stawianych pytań. Zawsze bałam się takich pytań i to pewnie też jeden z moich życiowych błędów. Muszę z siostrą Moniką porozmawiać,

kiedy przyniesie mi kolację. Muszę koniecznie porozmawiać z nią wieczorem. Zdaje się, że będziemy sobie bardzo potrzebne. Przyjdzie dopiero wieczorem, mogę więc teraz spokojnie porobić trochę notatek... Znowu ciągnie mnie do okna... Podsuwam głowę poduszkę, z wysiłkiem podczołguję się wyżej. Przychodzi mi to z bólem. Mimo wszystko czuję się dzisiaj znacznie lepiej — stwierdzam ucieszona. Wreszcie mogę wygodnie patrzeć w to jedno okno...

Martwi mnie, że już od kilku dni nie widzę tam nikogo. Jestem, tak czasami mi się wydaje, jakby jednym z członków ich rodziny. Nie wiem na jakiej zasadzie i jaką mam tam funkcję. Oni, on i ona za tym moim oknem, są stali, ich traktuję jako coś trwałego, wiecznego, co będzie istniało zawsze. Znam ich doskonale, tę rodzinę w moim wybranym oknie, znam zwłaszcza jego. Wydaje mi się nawet, że poznają zawsze na pierwszy rzut oka, kiedy jest smutny, a kiedy wesoły. A jeśli tak się złoży, że zobaczę go tuż po powrocie z pracy, wiem, prawie jestem pewna, że wiem, jak mu poszło w pracy i czy spotkała go tam jakaś przykrość. Ostatnim razem sprawiał wrażenie przygnębionego. Cechuje go przecież odwaga, więc w imię prawdy potrafi się przeciwstawić nawet najgroźniejszym przeciwnikom, nie licząc się zupełnie z konsekwencjami, jakie mogą go spotkać. Jest jeszcze młody i mało doświadczony, więc postępuje nierozważnie, narażając się komu potrzeba i komu nie potrzeba. Wiem, że przydałaby się mu przyjacielska rada kogoś starszego i bardziej doświadczonego, kogoś rozsądnego. Domyślałam się, że często chce znaleźć tę radę u swojej żony, ale ona najczęściej go nie rozumie i to go doprowadza do depresji. Po takich właśnie rozmowach z żoną stoi długo w oknie. Trzyma w dłoniach swoją głowę z lekko rudawymi kosmykami włosów, opadającymi na czoło... Jestem

pewna, że kiedy wraca zmęczony do domu, żona już w progu zamecza go pytaniami o pieniądze i wyrzutami, że zaniedbuje dom, wykrzykuje przy tym nazwiska znajomych, którzy są zaradniejsi od niego, urządzili się wygodniej w życiu, mają piękny dom i porządnie ubierają swoje żony... I zaczynam sobie wmawiać, że ta młoda para naprzeciwno w oknie to nasza historia, dalszy ciąg historii mojej i Stefana. A widzę to tak: Ja jestem żoną Stefana, nie rozumiejącą go już zupełnie, więc on nigdy nie znajduje we mnie oparcia. Dlatego stoi często w oknie i jest bardzo daleko ode mnie. Jesteśmy już sobie obcy i ja wcale nie staram się go zrozumieć. I wszystko się zgadza, bo przecież nigdy, od pierwszej chwili naszej znajomości do ostatniej, nie rozumiałam go całkowicie. Wystarczała mi wtedy świadomość, że kocham go. A może inaczej: wszystko mi było bliskie, co on kochał, i miałam automatycznie taki sam tak zwany pogląd na życie, jaki on miał. Dla Stefana najważniejszą sprawą było umocnienie nowej władzy i nieprzejednana walka z reakcją, więc i dla mnie to wszystko stało się najważniejsze. Stefan czytał książki Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, więc i ja je czytałam, nawet nie wiedząc dobrze, dlaczego ci ludzie są tacy mądrzy; wierzyłam, że są mądrzy, bo Stefan w nich wierzył. Słuchałam z zapartym tchem na strychu, gdzie mieszkaliśmy, o walce klas, o socjaliźmie i kapitaliźmie i wciąż kiwałam głową, że rozumiem. Nie rozumiałam tych wielkich myślicieli wprost, rozumiałam ich poprzez Stefana, więc kiwając głową mówiłam chyba prawdę. Bałam się wciąż o Stefana i jednocześnie kochałam jego samotną walkę ze wszystkimi: kochałam jego samotność, bo wiedziałam, że tylko ja ją wypełniam, więc byłam nawet z siebie dumna. Teraz, po tylu latach, kiedy patrzę w okno naprzeciwno, widzę w tamtym Stefana, a w żonie tamtego — siebie.

I wydaje mi się, że oni są dalszym ciągiem historii mojej i Stefana. I ta historia, dalszy jej ciąg zaczyna się od momentu, w którym nagle miłość przestała cokolwiek załatwiać. Oto jest już tyle lat po wojnie, więc nie rozumiem jego ciągłych zebrań i wyjazdów w teren, jego ciągłej walki. I nie ukrywam już w tej dalszej naszej historii, że czasami nie rozumiem, na czym polega mądrość tych myślicieli, których Stefan ubóstwiał i których ja poprzez niego ubóstwiałam. Teraz w tej dalszej naszej historii, on jest całkowicie samotny i ja jestem samotna. Nie wypełniam jego samotności, ani on mojej, wręcz przeciwnie, pogłębiamy naszą samotność, ja jego, on moją... Pocieszam się więc teraz, że gdybym była dla Stefana taką żoną, jak ta w oknie naprzeciwko, byłabym jego klęską... A może byłoby zupełnie inaczej... Może nasza miłość, Stefana i moja, będzie trwała dla mnie zawsze, bo nie spełniła się... To była przecież jedyna rzecz, do której uciekałam w ciągu tych lat po każdej klęsce, po każdej próbie ułożenia sobie życia i po każdym marzeniu, któremu rzeczywistość uciniała głowę... Za chwilę kiedy usiądę do pisania, muszę skończyć notowanie tych myśli o naszej miłości, która była piękna, bo nie spełniła się nigdy, jakoś tak: „Jest w tym pewnie zwykły ludzki tragizm, który przekreśla wszystko, co piękne, natychmiast po spełnieniu się piękna”.

Rozkładałam zeszyt i powoli, ślamazarnie, z wysiłkiem notuję wszystko, o czym myślałam. Kończę tuż przed przyjściem siostry Moniki, która przynosi mi kolację. Jestem tak wyczerpana i osłabiona, że siostrę Monikę widzę jak przez mgłę. Nawet Monika, która jest przyzwyczajona do mojej twarzy, wykrzywionej grymasem bólu, patrzy na mnie z przestachem. Bóję się, że obwieści mi tajemnicę ukrywaną przez lekarza, powie mi to, na co czekam z taką bojaźnią. Wiem, dobrze

wiem, że jeśli nie dzisiaj, to za kilka dni powiedzą mi o tym. A ja przecież muszę skończyć, muszę uporać się ze sobą, muszę to swoje życie zobaczyć jeszcze raz od nowa... Muszę skończyć notatki, które w tej chwili są moją koniecznością, jedyną potrzebą... Kiedy poddaje się wspomnieniom, nawet nie odczuwam bólu, tłamszę go swoimi myślami.

Nie odzywam się pierwsza. Czekam, co powie Monika. Patrzy na mnie i milczy.

— Proszę jeść, a powoli wróci pani do zdrowia — mówi prawie obojętnie.

Odetchnęłam z ulgą. Nie obwieszcza mi tej konieczności, o której wiem, że to musi nastąpić. Chciałabym z radości całować ją. Będę więc miała jeszcze co najmniej dwa dni czasu. Całe dwa dni.

— Lekarz powiedział, że za kilka dni wrócą pani siły — mówi siostra Monika nie patrząc na mnie.

Rozumiem więc, o co chodzi. Do operacji (pierwszy raz wymieniam w myśli to słowo) będą mogli przystąpić za kilka dni.

— Ja panią bardzo przepraszam — mówi Monika.

— Za co?

— Za tą dzisiejszą rozmowę przed południem.

Uśmiecham się do niej z wysiłkiem.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Moniko — mówię.

Nie odpowiada. Przystępuje do przygotowania stałej porcji zastrzyków i lekarstw. Robi je łagodnie, z troską i jakby trochę z bojaźnią.

Za kilkanaście minut siostra Monika bez słowa wychodzi. Znowu zostaję sama, ze świadomością, że mam jeszcze kilka dni, aby uporządkować to wszystko.

Przeszło dwie godziny mozole się z notatkami. Wreszcie, jak co dzień dotąd, dopiero wyczerpanie i osłabienie, szum w głowie osuwa mnie znowu na poduszkę. Za oknem mgła. W oświetlonych oknach w kamienicy

naprzeciwko nic nie można rozróżnić, okna są matowymi, czerwonymi kwadratami w mglistej ścianie. Ten wilgotny chłód od kanału sączący się przez okno powinien mnie otrzeźwić. Wyteżam wzrok, pokonując osłabienie i szum w głowie i patrzę w okno, za kanał, na pustą aleję za kanałem... Patrzę co dzień w tamto okno naprzeciw i nawet ta odległość jaką jest kanał może być przeszkodą, przepaścią, czym tylko zechcę, aleja za kanałem wypełniona krzykliwym tłumem, który nas rozdzielił, bo przecież najbardziej przypadkowy przechodeń poprzez tysiące ząbujących się zdarzeń mógł mieć wpływ na to, że kiedyś nas rozdzielono. Często przecież w tym zapatrzeniu się w przeszłość, na przykład w tę pierwszą chwilę naszego spotkania ze Stefanem, widzę tamtą ulicę wypełnioną krzykliwym tłumem roku czterdziestego siódmego. Są we mnie dwie wciąż działające siły, jedna, która broni się przed wspomnieniami, i druga zmuszająca mnie do analogii, które rodzą wspomnienia. Otóż to. To analogie wyzwalaają w nas wspomnienia... Znowu mi duszno. Duszno i słabo, więc boję się, że zemdleję, że uduszę się, że zasnę z tego osłabienia i nigdy się nie obudzę.

Ten wilgotny chłód za oknem winien mnie ocucić... Czuję dreszcze tak dobrze znane od dzieciństwa... Za oknem gęsta, mleczna mgła i stąd bez przerwy ten przeciągły buczonek przeciwmgłowy. Może z powodzeniem przypominać dalekie wycie wilków. To szum w mojej głowie? Nie, to naprawdę buczonek przeciwmgłowy, który ostrzega przed niebezpieczeństwem na morzu. Ostrzega mnie przed mgłą, przed ludzkim tłumem, przed ludźmi, którzy chcą mnie wchłonać, zetrzeć na piasek... Tłum jest coraz bliżej nas, coraz bliżej mnie i Stefana, którego trzymam mocno pod rękę... Ten tłum idzie z kościoła i dlatego zderzenie z nim będzie tak bolesne... Nie mogę zawrócić, idąc ze Stefanem, jak nie

mogłam nigdy zawrócić w dzieciństwie, gdy w każdą niedzielę wychodziłam po mleko; ludzie szli wtedy też naprzeciw mnie, szli do kościoła, zawsze grzeczni, ubrani świątecznie, ze świątecznym, pobożnym wyrazem twarzy... I zawsze było już za późno, aby zawrócić — i wtedy z bańką mleka i o wiele później, kiedy szłam ze Stefanem — ludzie zawsze zdążą dopaść swoimi kłującymi, świdrującymi spojrzeniami, mnie z bańką na mleko, mnie ze Stefanem pod rękę. I wiem teraz, że dlatego mogłam tak wtedy iść ze Stefanem pod rękę naprzeciw wszystkim, bo wcześniej szłam tak samo z bańką na mleko. Stefan jednak myślał, że robię to tylko dla niego, że to tylko on dodaje potrzebnej mi w takich chwilach siły. Nie wyjaśniałam mu nigdy, jak było naprawdę. Nie mówiłam także, że nienawidzę tych podróży, przepychania się pod prąd, więc Stefan nie znając prawdy był dumny ze mnie, że mam siłę przeciwstawić się tłumowi, okazać swój bunt... Buczek przeciwnogłowy przechodzi w pomruk ludzi pracujących naprzeciw, wtapiających mnie boleśnie i bez reszty w siebie. Ludzki pomruk brzmi jak tajemnicza modlitwa, jak groźna modlitwa, jak zaklęcie. Chaotyczne ludzkie kroki z trzaskającym odgłosem gromadzą się w głowie. Odbijam się od idących naprzeciw jak kula bilardowa i ta sytuacja powtarza się podczas każdej mojej lekcji gimnastyki. Teraz zrozumiałam, wiem, że mój marsz ze Stefanem przeciw wszystkim nie był uczciwy, że powinnam mu była powiedzieć, wszystko powiedzieć... Powinnam więc mu była powiedzieć, że ta podróż z nim jest tylko dalszym ciągiem tamtej z dzieciństwa i dlatego wytrzymuję to wszystko bardziej przez przekorny upór, a nie ze względu na Stefana, czy w imię jego idei... Nigdy jednak nie stratowali mnie, bo wtedy w dzieciństwie uważali mnie za pomyloną, więc żegnali się lękliwie; przy Stefanie też nie stratowali, odwracali

tylko twarze, bo bali się Stefana... Stefana jednak stracili później, bo zawsze szedł naprzeciw... I myślę, że wszyscy byli bezkompromisowi, tylko ja zawsze ulegałam wszystkim. Zawsze godziłam się na wszystko myśląc, że w ten sposób najwięcej osiągnę. Moim największym osiągnięciem było bieganie i wymachiwanie rękami, zawód, którego nie rozumieją nawet moi rodzice, więc wciąż muszą wstydzić się za mnie przed sąsiadami... Co jednak osiągnąłby Stefan, który zamiast na uniwersytet poszedł do komitetu i zamiast ze skryptem zasypiał z pistoletem pod poduszką? Mogę więc Stefana wyobrazić sobie dziś, bo znam jego kolegów, którzy jeszcze do tej chwili przygotowują się do egzaminów maturalnych. Ale oni wszyscy, koledzy Stefana, są tak samo bezkompromisowi i pewni siebie (choć niektórych z nich, zdaje się, życie trochę wyprzedziło), tylko ja zawsze komuś lub czemuś ulegałam i byłam zawsze wszystkiego niepewna i pełna wątpliwości... O Stefanie opowiadałam tylko Berskiemu i to wtedy, gdy byłam chora i myślałam, że już ze mną koniec. To było kilka lat temu, pamiętam dokładnie ten wieczór..

Kiedy wchodził, zaraz pożałowałam, że dzwoniłam do niego... Zdziwiłam się, że przyszedł tak niespodziewanie szybko. Poprosiłam żeby nie zapalał światła, bo odblask radia wystarczy, a nagle światło żarówki będzie dla mnie bardzo rażące... Przestraszyłam się zaraz, że źle mnie zrozumie, ale on wcale nie zrozumiał mnie źle. Ja po prostu nie chciałam, aby zobaczył mnie zmęczoną i starą... Stał na tle okna, jak ja przy tym oknie stałam co dzień godzinami...

Księżyc pulchny, koloru kredy, świeci prosto w okno. Widzę na księżycu odwieczne kontury, o których mówiono mi w dzieciństwie, że wyobrażają Matkę Boską, choć ja zawsze dopatrywałam się tam czegoś innego, w zależności od nastroju.

— Nalej sobie wina, szklanki i butelka stoją na radziu — mówię do Berskiego.

Wstaję narzucając szlafrok i siadam w fotelu. Przez chwilę rozśmiesza mnie profil mężczyzny na tle okna z wciśniętymi między wargami brzegami szklanki. Przypomina to trochę czarny profil-wycinankę jarmarcznego artysty.

— To wszystko — mówię złoszcząc się, że opowiedziałam mu o wszystkim.

Płaski i czarny profil ze szklanką w ustach ani drgnął. — To wszystko. Czy teraz rozumiesz? — kieruję słowa dokładnie w środek sylwetki, jak kieruje się strzały do tarczy w sali gimnastycznej. Profil rozmazuje się na tle okna i efektem tego jest śmiech.

— On chciał mieć władzę, bo wiadomo, że władza daje dużo korzyści — odpowiada spokojnie i opanowanie, prawie uroczyście, jakby ogłaszał nieodwołalny wyrok.

— Nieprawda, Stefan nigdy nie dbał o siebie. Choć był zdolny i mógł pójść na uniwersytet, poszedł jednak do komitetu na sekretarza i wiedział, że będą do niego strzelać zza węgła... Mieszkaliśmy wtedy na strychu, choć mogliśmy zamieszkać w luksusie — odpowiadam ze złością.

— Rozumiem, czytanie Marksa nie pasowałoby do pałacu...

Udaję, że nie usłyszałam jego ironii.

— Tak, czytaliśmy. On mi opowiadał o szczęściu ludzkości jako o naszym szczęściu, a ja rozumiałam nasze szczęście, jako szczęście ludzkości. Nic mu jednak nie mówiłam, tylko potakiwałam głową i byliśmy naprawdę szczęśliwi...

— Byłaś więc fałszywa, okłamywałaś go...

— Nieprawda, w przerwach czytania Marksa, w

przerwach między rozdziałami tych mądrych książek, układaliśmy nasze plany małżeńskie.

— Więc to tak...

— Nie, nie tak... On zaraz w takich chwilach mówił o konieczności przede wszystkim walki o sprawiedliwość dla wszystkich i mówił, że w tej walce widzi mnie u swego boku... Drżałam zawsze o niego, kiedy wychodził z miasteczka, bo ludzie byli mu wrody... Na moje pytanie, dlaczego ludzie chcą go zabić, zawsze odpowiadał, że ludzie nie ufają teraz nikomu, bo już tyle razy ich oszukano. Mówił więc, że trzeba ich siłą uszczęśliwić...

— „Siłą uszczęśliwić” — powtarza z ironią Berski.

— Tak, tak, siłą... Mnie też dziwiły te słowa Stefana, ale on z przekonaniem powtarzał, że często obowiązkiem świadomych jest uszczęśliwiać siłą... Odtąd zaczęłam z nim jeszcze częściej wychodzić do miasta, jeździć w teren i cieszyłam się, że jest bezpieczniejszy, bo kiedy ja byłam przy nim, nie strzelano już do niego... Wciąż czekałam na tę chwilę, kiedy zostaniemy razem i nic nas już nie rozłączy...

— Chwileczkę, a śmierć?

— Nie braliśmy tego pod uwagę, bo kiedy marzy się o szczęściu, nie myśli się nigdy o śmierci.

— Czekaj, przed chwilą sama powiedziałaś, że nie myślał o twoim szczęściu.

— O swoje szczęście także nie dbał.

— Otóż to! Byłaś więc dla niego bez znaczenia, bo on chciał uszczęśliwić nie ciebie, ani siebie, a ludzkość... A to...

— Przestań wreszcie, jeśli nic nie rozumiesz...

— Rozumiem — odpowiada nadal spokojnie Berski.

— Zadam ci więc ostatnie pytanie. A gdyby on nie był taki nieustraszony, taki odważny i pewny siebie?

— Byłby tchórzem.

— Nie o to chodzi. Pomyśl, gdyby on nie był taki nieustraszony, to bardzo możliwe, że żyłby jeszcze. Więc gdyby on był rozsądny...

— To bym go nie kochała.

Ale na tym nie skończyła się wtedy nasza rozmowa. Berski zarzucał mi, że postępuję jak wariatka, bojąc się przez tyle lat zacząć życie inaczej, niż miało się ono zacząć ze Stefanem... Tyle lat, mówił, żyłaś bez sensu fikcją, że tak naprawdę (i tu zastrzegł się, że nie chce obrażać moich uczuć) nie wiadomo jednak, jaki byłby w dalszym swoim życiu Stefan... Jego, powtarzał dalej, następny etap musiałby być inny. I najbardziej rozżłościło mnie to, kiedy powiedział, że mógłby to być teraz Stefan podobny właśnie do niego, do Berskiego... I jednego Berski nie wiedział, że ja to swoje życie już tyle razy próbowałam zaczynać od nowa i wcale nie tak, a nawet wręcz przeciwnie niż ono miało się zacząć ze Stefanem... Nic mu jednak nie powiedziałam...

Ciepły oddech przepływa przed moją twarzą. Zamiast profilu, krzyż ramy okiennej, a pod nią szklanka. Absurdalne skojarzenie z płaczącą pod krzyżem.

— Kochana, posłuchaj, bądź rozsądna...

Robi mi się mdławo. Za chwilę koścista dłoń na moim ramieniu, pochylam się do tyłu razem z fotelem i odpycham cień... Wiem, że to była jego klęska, jednocześnie wiem, że od tamtej chwili nie byłam już tak pewna siebie... Nie miałam dawnej siły... Odtąd nie mogłam już sobie nigdy ze sobą poradzić. Tak samo jak teraz, kiedy myśląc o tym, być może po raz ostatni, tak samo jak teraz, kiedy notuję te myśli też może po raz ostatni...

Wyciągam zdrętwiałą rękę i przekręcam gałkę radia... O, właśnie ta smępna symfonia, o której nic nie wiem... Nic... Nie wiem nawet kto ją skomponował i jak się nazywa... Nie wiem, kto ją „wydyrygował”

gdzieś w pięknym i wielkim studiu... Takie rzeczy jak symfonia, w ogóle rzeczy, o których nic się nie wie, są najlepszym sposobem na uspokojenie. Co? Życie, którego nie odczuwałoby się? Ludzie, którzy nie wchodziliby z nami w żadne związki zależności? Słucham symfonii, o której nic nie wiem i zagłuszam własne myśli, to wszystko, o czym wiem, a co mi nawet teraz nie daje spokoju... Szczególnie teraz, kiedy, być może, mam już tylko dwa albo trzy dni, podczas których będę jeszcze odczuwać siebie... Wtedy będę jak dźwięk tej symfonii, o której nie wiem nic... To pięknie nie wiedzieć o kimś nic... To pięknie nie wiedzieć o sobie nic. Senność, ogromna senność... Ważne jednak, że nie czuję żadnego bólu...

Otwieram oczy, przy mnie siedzi siostra Monika.

— Krzyczała pani przez sen, więc weszłam.

— Nie wiedziałam — bąkam.

— Czy bolało panią?

— Nie, ależ skądże... Miałam nieprzyjemny sen...

— Pozwoliłam sobie zgasić radio.

— Aha...

— Dziwiłam się, jak pani mogła zasnąć przy ryczącym radiu. Dzisiaj dostanie pani kilka dodatkowych zastrzyków. Lekarz powiedział, że musi pani jak najwięcej spać.

— Spałam już. Ja nie chcę wiecznie spać.

— No, nie wiecznie — odpowiada siostra Monika — tylko do jutra rana.

— Nie chcę żadnych zastrzyków — upieram się.

— Lekarz powiedział...

Teraz Monika daje nasenny zastrzyk. Chcę odpowiedzieć, ale czuję, że już zasypiam. Pewnie jeszcze coś mówiła do mnie siostra Monika, może coś bardzo ważnego, ale ja już tego nie słyszałam.

Rano przychodzi siostra Elżbieta.

— Dziwi się pani, że to ja przyszedłam...

— Tak. No, nie...

— Monika bierze ślub, więc musiałam ją zastępować, pracuję teraz podwójnie. Wciąż jej odradzałam, a ona zrobiła po swojemu. Tylko pani miała rację, że nigdy nie wyszła za mąż... Tyle tłumaczyłam Monice...

— Co, ślub? — dziwię się.

— Dlaczego pani się dziwi? — pyta z zainteresowaniem siostra Elżbieta.

— No, ja tylko tak... I nic nie mówiła przedtem?

— A co miała mówić. Ot, ślub jak każdy, jak wszystko... Na przykład jak zmiana pracy.

— Nie myśl tak, Elżbieto — proszę.

— Pani jest najmądrzejsza z nas wszystkich — znowu swoje Elżbieta.

— I najszcześniejsza — wpadam w jej słowa.

Elżbieta spojrzała na mnie uważnie.

— Pod względem ślubu jest pani najszcześniejsza.

— Może — godzę się z nią.

Elżbieta podaje mi lekarstwo.

— Lekarz powiedział, że jutro pojedzie pani na operację do kliniki — mówi niedbale, jakby objaśniała na przykład fakt, że zagotowała się herbata.

— Przecież powiedziałam lekarzowi raz na zawsze, że nie godzę się na żadną operację...

— Ale pani dziwna... Operacja jest konieczna... Jest pani inteligentna i chyba sama dobrze wie, że operacja jest konieczna...

— Właśnie... Znam anatomię człowieka i wiem, co jest ponad wytrzymałość ludzkiego organizmu — mówię, złoszcząc się.

— Tak źle nie będzie... Operacja jest konieczna. Niech się pani zastanowi i jutro da odpowiedź.

Elżbieta robi zastrzyk i wychodzi.

A więc wyjadę, muszę wyjechać, już jutro.

Być może, będą to ostatnie moje dni jak tamte, które były ostatnimi dniami dla Stefana, tuż przed jego wyjazdem... Pamiętam, jak na dwa dni przed wyjazdem Stefana kupowaliśmy właśnie obrączki... Pozłacane i nowiutkie, wyglądały jednak, jakby były z prawdziwego złota. Moja była niewiele większa od jego, bo on miał jak na mężczyznę szczupłe i małe ręce, palce długie, z podługnymi paznokciami jak u kobiety. Najpierw wzbrał się przed kupnem tych obrączek, mówił, że nie chce zaręczyn po staremu, ale ja mu zaraz odpowiedziałam, że Marks pewnie też nosił obrączkę, więc zaraz zmiekkł. Sklepiarz, który sprzedawał te obrączki uśmiechnął się i zapytał: „Czy państwo chcecie poświęcone?” Ja na te słowa się zmieszałam, Stefan jednak ani drgnął. Ludzie, a było kilka osób w sklepie, wybuchnęli złowrogim śmiechem. „Krew zamiast wody święconej” — ktoś powiedział za plecami Stefana. Na te słowa przeszły mnie dreszcze, więc pociągnęłam Stefana za rękę. Stefan uwolniwszy się od mojej ręki, nie odwracając się odpowiedział groźnie: „Tak, krwią je poświęcę”. I długo, przez wiele lat słyszałam słowa innego z mężczyzn w tym sklepie: „Jeśli nie chcecie wodą, to rzeczywiście trzeba je krwią poświęcić”. Wtedy Stefan odwrócił się i zapytał groźnie: „Czyją krwią?” Natychmiast wszyscy w sklepie umilkli i zrobiła się grobowa cisza. I to milczenie miało oznaczać, że chodzi właśnie o krew Stefana. Sklepiarz drżącymi rękami zawijał obrączki, bał się pewnie w swoim sklepie awantury, która mogłaby wybuchnąć i przez którą mógłby stracić interes. Wrzuciłam szybko dwa świecące się kółeczka do torebki. Wychodziliśmy ze sklepu, a ludzie rozsuwali się teraz grzecznie robiąc nam przejście. Przytuliłam się do ramienia Stefana, trochę ze strachu, a trochę dlatego, żeby sprawdzić czy Stefan boi się, ale on był spokojny jak zawsze w takich chwilach. To ludzie

w sklepie bali się Stefana. Dlatego go nienawidzili, bo Stefan był pewien swoich racji, a oni nie byli nawet pewni tego, czy robią słusznie nienawidząc go. Nie, ja tego sama nie odkryłam, o tym powiedział mi Stefan po wyjściu z tamtego sklepiku... W domu, kiedy chowałam obrączki do pudełka, przemknęła mi przez głowę myśl, że na pewno są one poświęcone i to jest złośliwość sklepikarza. Nie powiedziałam jednak o swoich domysłach Stefanowi, bo stwierdziłam, że jakkolwiek jest, nie ma to żadnego znaczenia. — Jeśli Stefan o tym nie wie i jeśli ja sama nie przywiązuję do tego żadnego znaczenia... Zawsze, gdziekolwiek przenosiłam się, wzięłam te obrączki ze sobą. Teraz leżą w moim kredensie i przez wiele lat bałam się do nich zaglądać... Ale to nie wszystko... W tym samym sklepie byliśmy również tydzień lub dwa (nie pamiętam już dokładnie) przed wyjazdem Stefana, bo był to jedyny sklep w miasteczku i wszystko tam można było dostać... Tamtego dnia, tydzień lub dwa przed wyjazdem Stefana, kupiliśmy wózek dziecięcy. To był jednak jego pomysł. To był naprawdę jego pomysł, żeby jeszcze przed wyjazdem kupić wózek, chociaż był nam niepotrzebny i tak szybko niczego nie planowaliśmy. Powiedział, to on właśnie powiedział, że kupimy, ot tak sobie, bo trafia się tani i ładny. Mnie też, kiedy oglądałam go, wydawał się bardzo ładny. A potem zrozumiałam, że wózek jest brzydki i strasznie staroświecki, cały czarny, na ogromnych kołach, ze śmiesznymi firaneczkami. Ale wtedy, kiedy kupowaliśmy go ze Stefanem, wydawał mi się bardzo ładny. Tamtego dnia także w sklepie byli ludzie, uśmiechali się i patrzyli na nas pogardliwie. Wydawało mi się, że w ich oczach nie było wtedy jeszcze nienawiści, a tylko pogarda. Właśnie ten wózek był przyczyną anonimów, jakie nadeszły do komitetu, to była swego rodzaju denuncjacja moralności Stefana,

który bez ślubu... O anonimach dowiedziałam się o wiele później, kiedy było już po wszystkim... Do dziś nie wiem, co Stefana natchnęło do kupna tego wózka... Mogę przysiąc, że to był jego pomysł. Wózek ten u mnie był długo, dopóki mieszkałam w tamtym miasteczku i tak samo jak obrączek, a nawet jeszcze bardziej jak obrączek, bałam się wózka. Zaczął on przypominać mi bardziej karawan pogrzebowy niż wózek dziecięcy... Zostawiłam więc go na tamtym poddaszu, gdzie Stefan czytał mi Marksa i nawet pewnie nikt z niego nie skorzystał, bo już wtedy był niemodny... Aha, i to jeszcze pamiętam, że na tym wózku była przybita blaszką ze staromodnym napisem „Bądź szczęśliwszy...” Ten napis podobał się bardzo Stefanowi i wtedy właśnie, tuż po przeczytaniu tego napisu, powiedział, że koniecznie musimy mieć syna. Zażartował nawet, że ten napis jest przepowiednią syna... Potem wyjechał, zostawiając mi adres na kartce, prosił, abym zaraz do niego napisała, więc napisałam do Stefana już na drugi dzień. Długo czekałam na odpowiedź... Wreszcie otrzymałam list... Był to mój własny list, który wysłałam do Stefana, wrócił z czerwonym dopiskiem na kopercie „Adresat umarł”. Ten list niczego nie zmienił, bo ja wciąż czekałam na Stefana... I nawet nie od razu pojechałam do tego miasteczka, w którym zginął, bo chciałam mieć jeszcze nadzieję... Stchórzyłam przed tą podróżą, bo chciałam jeszcze wierzyć... Pobiegłam wtedy zaraz na pocztę i pokazałam ten straszny napis na kopercie. Tłumaczyłam im, że poczta popełniła straszną pomyłkę, że to przestępstwo i będą za to odpowiadać... Już zresztą nie pamiętam, co tam jeszcze wykrzykiwałam... Ale oni odpowiadali spokojnie patrząc na adres Komitetu Powiatowego, do którego pojechał Stefan... Ja wykrzykiwałam rozpaczliwie, a oni odpowiadali spokojnie patrząc na ten adres. Po kilku dniach

napisałam drugi list, ale ten list nawet nie wrócił, bo nie podałam na nim swego adresu... Nie mogłam, naprawdę nie mogłam, ot, tak sobie, jak gdyby nigdy nic, w jednej chwili wszystko przekreślić. W tej rozpaczy pobiegłam również do komitetu, ale tam powiedzieli mi, że Stefan naprawdę umarł, ale idea nadal żyje, umarł dlatego, żeby idea żyła wiecznie... Wtedy ja, już wybiegając z komitetu krzyczałam jeszcze ze złością, że nie zaręczyłam się z ideą tylko ze Stefanem. Potem pewnego dnia dostałam list... Napisali do mnie, że Stefan zginął bohatersko za ojczyznę, więc powinnam być z niego dumna. Dopiero po otrzymaniu tego listu pojechałam na jego grób, bo już nie mogłam mieć żadnej nadziei... Odtąd żyłam wciąż myślą o nim, bo przyrzekliśmy sobie wierność i to, że nie rozłączymy się nigdy. Po latach, zawsze w chwilach swoich klęsk, wracałam do naszej, mojej i Stefana, miłości i to dodawało siły... Nie słuchałam, co mi mówiono, że sam Stefan nie pochwaliłby takiego życia; nie słuchałam też, że niektórzy mówili, że gdyby mnie kochał, to byłby ostrożniejszy i mógłby żyć...

Teraz, dopiero teraz, widzę o wiele dosadniej ten intensywny i niebezpieczny świat... I wyraźniej widzę jego złożoność i okrutność. Ten świat, w który miał mnie wprowadzić Stefan. Tuż przed zrobieniem przeze mnie pierwszego kroku w ten świat straciłam Stefana i to właśnie było najstraszniejsze... Gdyby stało się to odrobinę później, myślę teraz okrutnie, nie zostałabym w tej pustce, bo przecież swego świata nie miałam, żyjąc tylko tym, czym żył Stefan... Żyłam życiem Stefana, więc kiedy go zabrakło, znalazłam się w pustce... Tę okrutną ironię losu można jedynie porównać do sytuacji człowieka, który tuż przed wejściem na most widzi, jak ten most nagle zapada się. Mostu już nie ma i nie ma możliwości dostania się na drugi brzeg...

Most zapadł się więc w chwili, gdy żyliśmy już na drugim brzegu nie będąc jeszcze na nim... Tym moim drugim brzegiem był Stefan i jego świat, który odszedł razem z nim...

— Pani znowu pisała, a przecież to panią osłabia — karci mnie siostra Elżbieta.

— Wreszcie udało się — mówię.

— Co takiego?

— A nic, powiedziałam tak sobie...

— Pani wydaje mi się coraz dziwniejsza...

— Dlaczego?

— A bo ja wiem... Tak mi się wydaje...

— Siostrze Elżbieto, czy Monika przyjdzie na dyżur z obrączką na rękę? — pytam nagle.

— Oczywiście, że tak. Nie rozumiem, dlaczego pani akurat o to pyta.

— A czy już kupili?

— Co?

— Obrączki?

— No pewnie, że kupili. Dziś po południu odbył się ślub...

— Szkoda, że już po ślubie.

— Dlaczego?

— Bo ja chciałam zrobić siostrze Monice prezent... Mam obrączki, których nikt nigdy nie nosił, więc myślałam...

— Też wielki kłopot. To proszę sprzedać...

— Kiedy ja bardzo chciałam, żeby ktoś je nosił. A może siostra ma koleżankę, która szykuje się do ślubu...

— Oczywiście, że mam i to nie jedną taką frajerkę...

— To dobrze. Zostawię także dla pani na przechowanie te wszystkie notatki, które zrobiłam... Jeżeli, no, wie siostra, o czym myślę... Więc jeżeli, to proszę je przeczytać razem z Moniką... To byłoby wszystko...

Siostra Elżbieta niewiele rozumie, być może śmiesz

ją to, co mówię, ale odczuwa powagę chwili, więc stał cicho i grzecznie.

— Dobrze, pani profesor — mówi cicho.

— Proszę powiedzieć doktorowi, że godzę się na operację...

Siostra Elżbieta ucieszona kiwa głową i stoi w milczeniu, jakby jeszcze czekała na coś.

— A kiedy wróci Monika? — pytam nagle.

— Jutro wieczorem...

— Siostro Elżbieto, proszę więc powiedzieć doktorowi, że najlepiej będzie, jeśli wyjadę do kliniki na operację jutro w południe lub zaraz po południu...

— Dobrze, powiem doktorowi... Dobrze, pani profesor — godzi się zdziwiona, nic nie rozumiejąc.

Nie doczekawszy się ode mnie już ani słowa siostra Elżbieta wychodzi... I nagle zaczęło mi się wydawać, że siostrze Elżbiecie zbiera się na płacz. Odprowadzając ją wzrokiem myślę, jaka jednak dobra z niej dziewczyna. Chcę to właśnie jej powiedzieć, ale nie ma już siostry Elżbiety w mojej separacie. Przez chwilę słucham odgłosu jej kroków oddalających się wzdłuż szpitalnego korytarza. Odwracam się w stronę okna, ale i teraz tam nikogo nie widzę, bo pewnie wyjechali już na urlop na cały miesiąc.

SPOWIEDŹ PAMIĘCI

Naprawdę tego dnia wszystko płakało. Niebo i drzewa, słowem wszystko, co istniało na tej ziemi. A dzień był ponury i mglisty, ołowiane niebo zdawało się, że ciąży nad głowami, że uciska na ludzkie czaszki. Jednocześnie wydawało się, że i ziemia wciąga człowieka w swoją smolistą maź pod nogami, bowiem w tej polowie października wokoło gniły opadłe liście. Na wiejskim cmentarzu rosły wielkie stare drzewa i one jeszcze bardziej zagęszczały ciemność tego dnia. W tę właśnie zaskorupiałą ciemność wchodził mój przyjaciel, z którym byłem na wojnie, i z którym w pół roku po jej zakończeniu rozpocząłem wędrówkę przez dziki zachód, wędrówkę, której nigdy nie mogłem zapomnieć, więc wydaje mi się, że i Kacper nie może o niej nie pamiętać, nawet tam, pod kilkoma warstwami ziemi, bo cóż to dla niego te kilka metrów ziemi, jeśli on znał się na niej tak dobrze, że miało się czasem wrażenie, że to ziemia jego się boi.

Mały to był pogrzeb. Kilku byłych sąsiadów z tej samej niedużej wioski i Waldek, jedyny syn zmarłego, którego od razu rozpoznałem, bo jakże był on podobny do Kacpra. To właśnie Waldek spełnił ostatnią wolę ojca chowając go na tym właśnie wiejskim cmentarzu. I krótki to był pogrzeb. Odbył się szybko, więc mogło

się nawet nie zapamiętać, że on w ogóle miał miejsce. To może i lepiej, bo jeśli nie zapamiętało się dobrze i wyraziście pogrzebu, można chwilami naprawdę myśleć, że go w ogóle nie było, że nikogo nie pochowano. Ksiądz odśpiewał co miał odśpiewać, zmówił ostatnie słowa modlitwy i zaczęto sypać grudki ziemi na opuszczoną do dołu trumnę. Naprawdę wyglądało na to, że i ksiądz chciał tę smutną ceremonię zakończyć jak najszybciej. Żona Kacpra, Krystyna, nie żyła już od kilku lat, więc nie miał kto obowiązkowo prawdziwie zapłakać na tym pogrzebie, ale nie szkodzi, bo cóż znaczyłby płacz jednej osoby, jeśli płakało tu jednocześnie i niebo, i ziemia. Nie, nie wiadomo, może i komuś ze stojących potoczyła się po policzku łza, może zapłakał chłopiec o imieniu Waldek. Nie, nieważne czy ktokolwiek uronił łzę — i tak nie sposób byłoby sprawdzić, w tamtej chwili wszystkie twarze ociekały deszczem, więc nie mogło być takiego znawcy, który odróżniłby łzę wśród kropel deszczu. Chwilami myślę i boję się tej myśli: gdyby jeszcze żyła Krystyna, żona Kacpra, nie miałbym odwagi pojechać na pogrzeb; teraz nikt mnie nie mógł poznać na cmentarzu.

Od pogrzebu Kacpra zaczęła się moja spowiedź pamięci; szczególnie wracam do początku naszego nowego życia, o którym z Kacprem tak bardzo marzyliśmy, a dokładniej, wracam do początku naszej wędrówki przez dziki zachód. W chwili, gdy wsiadałem do samochodu, aby odjechać z tego wiejskiego cmentarza, nagle jakbym zapomniał z jakiego powodu tu przyjechałem. Nie było już deszczu, nie widziałem ponurego październikowego dnia, nie było pod kołami samochodu ciemno-żółtej, smołowatej mazi. Teraz wiem dlaczego tak właśnie odczuwałem; każdemu prawdziwemu początkowi musi naprawdę towarzyszyć światło i słońce, bo przecież żaden niepewny w nadzieję początek nie może być

wesoły, podobnie, jak najpewniejszy i pełen ładu koniec, nie może być radosny. Tak, wtedy, trzydzieści kilka lat temu, był prawdziwy początek, najprawdziwszy z prawdziwych. (I co najważniejsze, nie żyliśmy już wojną, wojna przestała być dla nas ważna! Wojną zaczniemy żyć po latach, kiedy znajdziemy się w pustce... Ale o tym jeszcze opowiem...).

Oto idziemy w spiekocie, w słońcu dzwoniącym o ciszę powietrza. Idziemy brukowaną drogą wysadzaną drzewami owocowymi; naprawdę słyszymy jak w powietrzu srebrzyście dzwoni słońce, a gdzieś tam ocalałe łany zbóż przenoszą nas w zupełnie inny świat, jakby przywracają dawno utracony naturalny wymiar, z którego tak brutalnie zostaliśmy wyrzuceni. Ten słoneczny, pełen blasku i barwy, tętniący życiem dzień jakby nas odmienił, czynił lepszymi i ważniejszymi. I tak rzeczywiście było. Za sobą zostawiliśmy świat zgliszcz i ruin, krwi i cierpienia, zabitych przyjaciół i kolegów, wkraczaliśmy w krajobraz, z którego wiała sielskość, w którym dominował bezbrzeżny spokój, mimo że żaden z nas nie mógł przewidywać co będzie z nami jutro, co stanie się za godzinę. Dziś, po tylu latach wiem, że tak naprawdę odczuwaliśmy, bo te pierwsze chwile naszej wędrówki noszę w sobie przez całe życie, jak na pewno nosił je w sobie aż do śmierci Kacper. A przecież krajobraz, w który wchodziliśmy, w istocie nie różnił się od wojennego, od tego, jaki zostawialiśmy za sobą. My jednak ciągle szliśmy i przed sobą widzieliśmy krajobraz, jaki był w naszej wyobraźni, w naszych duszach.

Sierpniowe gorące południe, absolutny spokój, wszechobejmująca łagodność, niczym niezakłócona, jak zawsze, gdy źródłem ciszy jest przyroda. Wiele sytuacji z pierwszych dni naszej wędrówki zapamiętałem, wiele szczegółów zapisałem w swoim notatniku, stąd

też mogę teraz przytaczać nawet niektóre rozmowy, które wydawały mi się wtedy godne zanotowania.

— Idziemy jak w raju, tyle, że ptaków tutaj nie ma — mówię do Kacpra.

— Może nie wiedzą, że naprawdę już po wojnie — odpowiada Kacper i zaraz, jakby budząc się z zamyślenia, dodaje: — A skąd tobie, Antośko, wiadomo, że w raju były ptaszki? Ja słyszałem, że tam ze zwierząt był tylko wąż.

Głos Kacpra słyszę jakby to było wczoraj.

— To niemożliwe, żeby tam nie było ptaków.

— Gdzie? — pyta zdziwiony Kacper. — Chwilę milczy. — Ale i tutaj ptaki powrócą do gniazd.

Jakoś mniej więcej tak powiedział Kacper w pierwszych godzinach naszej wędrówki i to zdanie zapisałem w notatniku, jak wiele innych jego powiedzeń, które będę tu przytaczał. Słowa Kacpra o ptakach wracających do gniazd brzmią teraz patetycznie i sztucznie, ale naprawdę wypowiedział je kiedyś prosty chłop.

Wreszcie pierwsza wioska na naszej drodze. Przed nami w gęstym masywie zieleni wieża kościelna i obok, wychylony do połowy, duży budynek z czerwonej cegły. Podobnie, jak w wielu wsiach na zachodzie, dwie budowle już z daleka widać — kościół i szkołę. I choć jako żołnierz przeszedłem wiele takich wsi, o tej pierwszej w czasie naszej wędrówki — chociaż we wsi byliśmy niecałą dobę — pamiętam najbardziej. Nie tylko dzięki notatkom, o których wspomniałem. (Na marginesie wspomnę, że notatki te, to jakby przedłużenie mojej wojskowej funkcji kompanijnego kronikarza).

Kiedy weszliśmy do wsi, wydawało się nam, że przekraczamy jakąś granicę, za którą zaczyna się inny świat; nasze radosne podniecenie prysło. Wieś sprawiała wrażenie wymarłej. Domy z powybijanymi szybami, z powyrywanych drzwi. W niektórych wyrwano

nawet framugi okien. Z pustych otworów, gdzie były drzwi, wyzierały papierzyska, unosił się kurz i pierze. Na ulicy i podwórkach sterty śmieci, połamane meble, cegły, najprzeróżniejsze graty. I nagle uświadamiam sobie, że na froncie stokroć gorsze widoki zniszczonych i wymarłych wsi i miasteczek nie robiły na nas prawie żadnego wrażenia. Teraz wiem dlaczego ta pierwsza wieś — i to wieś nie najbardziej zniszczona spośród tych, jakie przechodziliśmy na froncie — wyzwoliła w nas tak przygnębiające odczucie. Oto wchodząc do tej wsi, po raz pierwszy popatrzyliśmy na nią inaczej, jak na ewentualne miejsce naszego zamieszkania, czyli po raz pierwszy patrzyliśmy na wieś po ludzku. Szliśmy w milczeniu, ale domyślałem się, że i Kacper musi mieć podobne odczucie; mijaliśmy solidne, murowane domy kryte czerwoną dachówką, na wielu budynkach mieszkalnych i gospodarskich widniały daty ich budowy. Ta pedanteria Niemców zdumiewała nas już na froncie; oni umieszczali daty na budynkach, jakby zakładali wieczność tych budynków i własną wieczność tutaj. Na niektórych budynkach widniały poryte napisy w języku niemieckim; najwyraźniej ktoś usilnie chciał je zetrzeć. Na wielu ścianach odczytywaliśmy wyblakłe słowa w językach rosyjskim i polskim, w większości były to napisy rosyjskie nawołujące do marszu na Berlin, dodające ducha żołnierzom.

Wreszcie pierwsza oznaka ludzkiej bytności; z komina dużego piętrowego domu unosi się dym. Obaj stanęliśmy wpatrując się jak zahipnotyzowani. Mimo że Kacper nic nie mówił, wiedziałem, że i on ucieszył się. Widok dymu z komina przyciągał nas niczym magnes; podeszliśmy kilka kroków. Solidne zabudowania gospodarskie łącznie z budynkiem mieszkalnym tworzyły prostokąt, typowy dla niemieckiego budownictwa wiejskiego. Zrozumiałem, że Kacper z uznaniem patrzy na

gospodarstwo. Po chwili rzeczywiście zrobił uwagę, że ktoś zajął fest gospodarkę.

— Nie ma na co patrzeć, panowie żołnierze! — usłyszeliśmy opryskliwy głos. — Gospodarka już zajęta.

Przed nami pojawiła się — jakby wyrosła spod ziemi — stara kobieta. Przekonaliśmy ją, że my nie względem gospodarki, że wędrujemy aż nad Odrę. Uspokojona kobieta zaprosiła nas do mieszkania. Znaleźliśmy się w dużym pokoju; przy przysuniętym do okna stole siedział stary człowiek i wpatrywał się w okno, na kolanach trzymał karabin.

— Tutaj nie ma co szukać, cały dom my pierwsi zajęli — wysyczał z drżeniem, nie odwracając twarzy od okna.

— On pilnuje domu przed szabrownikami — wyjaśniła kobieta. — Panowie to żołnierze — powiedziała łagodnie do męża.

Podeszła do rozpalonej kuchenki i zaczęła nalewać zupę do talerzy, wskazała nam miejsca przy drugim stole na środku pokoju. Po chwili stały przed nami talerze z parującą zupą. Kobieta przysiadła się do nas.

— Duże wy zajęli gospodarstwo — powiedział Kacper.

— My nie sami, synowie na kilka dni pojechali do miasta. — To zdanie kobieta wypowiedziała podnosząc głos i jednocześnie patrząc na męża.

Stary człowiek poruszył się. Nad podziw energicznym ruchem odwrócił głowę w naszą stronę.

— Franek przyprowadzi ułańskiego konia, a Bolek snopowiązałkę — usłyszeliśmy skrzeczący starczy głos.

— Po prawdzie to nasza gospodarka za duża — ściszone głosem odezwała się kobieta. — A najgorsze, że mój stary co noc chce nocować w innym pokoju.

— Najwyższa pora już kosić — powiedział w pewnej chwili Kacper.

I stało się. To jeden z wielu przykładów w wypadku Kacpra kiedy, mówiąc biblijnie, słowo stawało się czynem. Chcąc nie chcąc, i ja — podczas tego pierwszego dnia wolności cywilnej — machałem kosą aż do nocy. Już po dwóch godzinach rąk nie czułem, ale chyba wtedy po raz pierwszy postanowiłem mu dorównać, choć w kompanii gospodarczej na majątku nigdy nie miałem takich ambicji. Tam, jeśli już musiałem coś robić, robiłem to tylko dla ludzkiego oka; w duchu śmiałem się z takich jak Kacper. Zastanawiam się czy to właśnie nie od tamtego momentu zaczął się na mnie przemożny wpływ tego powolnego wołyńskiego chłopca, i czy właśnie nie wtedy zrodziło się we mnie dążenie do rywalizacji z Kacprem, chęć przewyższenia go nawet w dziedzinach, o których nie miałem najmniejszego pojęcia. A może było to coś więcej, może odtąd przestałem w Kacprze widzieć tylko zwykłego wołyńskiego chłopca z którym wypadło mi razem walczyć, a potem gospodarzyć w poniemieckim majątku. Może też uświadomiłem sobie, że jest to jedyny mój przyjaciel, choć wszystko nas różni między sobą. Ja całe życie spędziłem w mieście, on ze wsi wołyńskiej nie wychylił nosa. On, jak sam kiedyś powiedział, chodził do szkoły zaledwie dwa lata i to tylko w zimie, mnie brakowało dwóch lat do matury, rzecz jasna, przedwojennej. Na czym więc zasadzała się nasza przyjaźń, myślę o tym szczególnie teraz, od tych kilku miesięcy, kiedy Kacper nie żyje...

Tuż po wyruszeniu w dalszą drogę z pierwszego naszego cywilnego postoju, usłyszeliśmy za sobą wołanie. Biegła za nami stara kobieta z domu, w którym nocowaliśmy. W jednej ręce trzymała karabin, w drugiej buty. Zaczekaliśmy na nią.

— Teraz czasy niespokojne — powiedziała ciężko dy-

sząc. — Jakież bandyty wymordowali czterdzieści ludzi powracających z Niemiec...

Stara kobieta podała Kacprowi karabin, który on wziął bez słowa.

— Bez karabinu stary może przestanie stróżować i zajmie się gospodarką.

Mnie z kolei wręczyła buty.

— W sam raz dla pana — zachęcała. — Trzymaliśmy dla Franka, ale on na pewno przywiezie jeszcze lepsze.

— Ich synowie nie żyją — powiedział Kacper po odejściu kobiety.

— Czemu mieliby nie żyć? — zdziwiłem się.

— Powiedziała, że trzymali buty dla syna, to czemu teraz oddała tobie — tłumaczył Kacper. — Oni muszą jakoś dożyć swoich dni.

Tyle usłyszałem w odpowiedzi.

Tak, zrozumiałem wszystko. Nie, nie spojrzałem z podziwem na Kacpra. W ogóle nie śmiałem w tamtej chwili na niego spojrzeć, za wszelką cenę usiłowałem stłumić w sobie uczucie upokorzenia z powodu urażonej ambicji, zwłaszcza że podobne sytuacje — świadczące o przewadze Kacpra nade mną — zdarzały się już na froncie, a potem w kompanii na majątku. Nigdy nie mogłem złagodzić swojej przy nim klęski argumentacją, że Kacper jest starszy ode mnie, a więc o wiele bardziej doświadczony życiowo. (Teraz wiem, że u Kacpra była to sprawa intuicji, z którą człowiek się rodzi, lub nigdy jej nie nabywa. A intuicja to właśnie to, co ludzie nazywają inteligencją wrodzoną, po prostu inteligencją).

Z ukrywaną wściekłością schowałem buty do torby. Nie wiem co bym w tej chwili dał za to, żeby móc się na Kacprze odegrać. Spojrzałem na niego ukradkiem.

Szedł powoli, wydłużonym krokiem, z karabinem na ramieniu. Szedł niosąc ten szmelc, który nie miał nawet zamka. O, tu go dopadnę!

— Po co ty to dźwigasz jak głupi! — powiedziałem złośliwie.

Kacper przystanął.

— Niech ta kobieta myśli, że nam się na coś przyda. — Chwilę milczał. — Ano tak, stąd już nas nie zobaczy. — Z rozmachem rzucił karabin w krzaki.

Oto przykład delikatności i subtelności tego z pozoru tylko topornego chłopca wołyńskiego. Znowu zapiekła we mnie żółć. I być może, że właśnie od tego pierwszego dnia cywilnego, zaczął się we mnie tak bardzo potęgować kompleks niższości wobec Kacpra. Poczucie to usiłowałem w sobie za wszelką cenę zniszczyć i broń Boże, nie dać po sobie poznać co przeżywam. Fakt pozostaje faktem, że cierpiałem bardzo. Nie mogłem jednak, nie miałem sił, aby natychmiast rozstać się z Kacprem. Może czekałem chwili aż wezmę na nim rewanz, a może była to dla mnie masochistyczna potrzeba cierpienia. (Jaka szkoda, że tak mało na ten temat w moich notatkach; czyżbym wstydził się wtedy przed samym sobą przyznać do niemilej dla mnie prawdy).

Tak, Kacper naprawdę był ze wszech miar nieprzeciętnym chłopem. Nie zdziwiłem się, gdy dowiedziałem się, jak szybko po wojsku go doceniono. Kacper prowadząc gospodarstwo od razu zwrócił na siebie uwagę jako dobry gospodarz i mądry człowiek o zacięciu społecznikowskim; zaczęto powierzać mu różne funkcje społeczne. Sława Kacpra, jako doskonałego gospodarza, mądrego i ofiarnego działacza chłopskiego, zataczała coraz szersze kręgi; pisano o nim w gazetach, a nawet drukowano jego wypowiedzi i przemówienia, przeprowadzano z nim wywiady, w których mówił on przede wszystkim o gospodarstwie rolnym i potrzebach wsi;

nie znalazłem w wypowiedziach Kacpra ani jednego sloganu, ani krztyny wodolejstwa, chęci przypodobania się komukolwiek, dominowała tu przede wszystkim rzeczowość i konkret. Tak, powtarzam, nie zdziwiłem się wcale, że tak szybko poznano się na nim. (Ja w tym samym czasie zacząłem robić karierę jako urzędnik w starostwie, ale szybko mnie stamtąd wylano, bo postawiłem na starostę, który okazał się „wrogiem”). Kacper miał wszelkie atuty w ręku; uczciwość, wrodzoną inteligencję, pracowitość i udział w wojnie. Niedługo jednak był na świeczniku. Zaczęto wieś kolektywizować i wtedy Kacper, wołyński chłop z dziada pradziada, postawił się na sztorc. Był nieprzejednany i nie chciał nawet słyszeć o „kołchozie”. I wcale nie dlatego przyjął taką postawę, iż negował tę formę gospodarki, on po prostu znał swoich sąsiadów, z których część nie miała pojęcia o roli, a część tak gospodarzyła, że patrząc na nich chciało się płakać; jeszcze inni byli patentowanymi nierobami, ludźmi, którzy mieli obie lewe ręce i objęli gospodarstwa w przekonaniu, że bez pracy będą doskonale żyli. Ci ostatni już wtedy gospodarki swoje doprowadzili do skrajnej nędzy. Kacprowi serce się kroiło, gdy patrzył jak sąsiedzi bezczeszczą ziemię, która dla niego, wołyńskiego chłopca, była zawsze święta. Na próżno Kacper tłumaczył to wszystkim urzędnikom, którzy agitowali go do spółdzielni, nikt poważnie nie przyjął jego argumentów, dość szybko uznali je za perfidny wybieg. Wreszcie zaczęli mu grozić i szantażować. Kacper jednak nie ustępował. I wtedy miarka się przebrała. Socjalistyczny chłopski działacz nie mógł dawać złego przykładu socjalistycznej wsi. Najpierw pozbawiono go wszystkich funkcji społecznych, a potem okrzyknięto kułakiem i wrogiem. Docierały do mnie te wieści poprzez wspólnych znajomych, z których niektórzy opowiadali mi o Kacprze

jako o człowieku zbzikowanym. Ja jednak, znając naturę Kacpra, nie dziwiłem się takiemu jego postępowaniu, raczej zdziwiłoby mnie, gdyby zachował się on inaczej. W tym okresie — przynajmniej na początku — wiele razy zabierałem się, aby do niego napisać, odwiedzić, wciąż jednak nie miałem odwagi ani na jedno, ani na drugie. Usprawiedliwiałem siebie, że głupio teraz, po latach, odzywać się, przecież zerwałem z nim demonstracyjnie, w złości, z powodu Krystyny, która została jego żoną. (Jakże moje postępowanie wydaje mi się dzisiaj śmieszne; ja obciążałem winą za to Kacpra, a przecież on bronił się przed Krystyną, to ona, przede wszystkim ona, wreszcie go zdobyła; ja u niej w ogóle nie wchodziłem w rachubę). Tak, wszystkiemu winna urażona ambicja i głupio pojęty honor, potem było już za późno, a jeszcze potem, kiedy Kacpra prześladowano, taka sytuacja odpowiadała mi, choć nie przyznawałem się do tego przed sobą. Teraz muszę powiedzieć samemu sobie prawdę; nie skontaktowałem się w tym okresie z Kacprem z tchórzostwa, z obawy, że sam stracę na zadawaniu się z tym, który został uznany za wroga; zacząłem przecież od nowa robić karierę urzędniczą po poprzednim niefortunnym związaniu się z człowiekiem, który okazał się „wrogiem”; pocieszałem się przy tym w duchu, że Kacper, jako chłop, pod każdym względem jest w lepszej sytuacji, z głodu na wsi nie umrze, funkcji rolnika go nikt nie pozbawi, bo przecież chłopu nie można już zdegradować, jak łatwo można to było zrobić w każdej chwili ze mną. Wszystko to było oszukiwanie samego siebie, uświadamiam to sobie teraz aż nazbyt dobrze. Miałem jeszcze jedno pocieszenie: Kacper prześladowania, jakie go spotykały, znosił spokojnie, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby nic się złego nie działo. Dziwiono się takiemu jego zachowaniu, tylko ja wiedziałem skąd się to bierze: Kac-

per był przekonany o swojej racji, a w takich przypadkach przyjmował ze spokojem nawet najgorsze. Ponadto Kacper miał taką naturę, iż trudno go było cokolwiek zaskoczyć. Myślałem o tym na pogrzebie, kiedy w kaplicy odkryto trumnę i zobaczyłem jego spokojną twarz, zupełnie nie odmienioną przez śmierć. Nikt mi nie opowiadał o jego ostatniej chwili, jestem jednak przekonany, że jeśli nawet miał świadomość śmierci, przyjął ją spokojnie. Jego naturalną, spokojną twarz w otwartej trumnie w kaplicy cmentarnej jakże wyraźnie widzę w tej chwili...

A jednak, w czasie pierwszych dni naszej wędrówki przez dziki zachód, zawsze spokojna twarz Kacpra jeden raz zagrała w bolesnym skurczu każdego mięśnia. Zdarzenie to dokładnie opisałem w swoim notatniku i tyle razy ten fragment czytałem, że znam go na pamięć. Przytaczam je ze względu na jego niesamowitość.

Przez kolejną wieś szliśmy z osadnikiem, który usilnie namawiał nas do osiedlenia się właśnie u nich, zachwalając mijane gospodarstwa. Mnie oczywiście każde podobało się, ale ja przecież nie znałem się na tym i nie chciałem się znać, nie miałem bowiem zamiaru osiadać na roli. Kacper kręcił głową i w każdym wskazanym gospodarstwie znajdował jakiś mankament. Słowne natręctwo osadnika skończyło się dopiero wtedy, gdy Kacper powiedział, że mamy już zajęte gospodarki nad Odrą.

Przed jedną z zagród zobaczyliśmy płaczącą kobietę otoczoną kilkoma innymi.

— Ona płacze już od rana. — Osadnik zrozumiał nasze pytające spojrzenia. — Jej mąż godzinę temu umarł i nie było przy tym syna, który pojechał do gminy po konia z Unry.

— Czy musiał tam jechać, chyba wiedział, że ojciec jest umierający — odezwałem się.

— Pan nie wie co znaczy koń na wsi, a teraz kto pierwszy, ten lepszy. Ojciec rozkazał synowi iść i dlatego matka nie może sobie darować, że go puściła.

Tyle wyjaśnił osadnik. Kacper nie odezwał się ani słowem. Bezskutecznie usiłowałem odczytać cokolwiek z jego twarzy. Nie wiem, co dałbym za to, aby w tamtej chwili poznać myśli Kacpra. Jego milczenie, domyślałem się teraz, mogło oznaczać, że nie potrafił w tamtej chwili zająć jednoznacznego, zdecydowanego stanowiska.

Dwa, trzy kilometry za wsią zobaczyliśmy przed sobą mężczyznę prowadzącego konia.

— To pewnie ten, co poszedł po konia do gminy — szepnął Kacper.

Wyrwałem się do przodu, jakbym jak najszybciej chciał się spotkać z idącym z naprzeciwka. Kacper jednak nie przyśpieszał, więc i ja zwolniłem.

— Nic tylko nie mów, że jemu ojciec umarł — rozkazał mi; mówił szeptem jakby w obawie, że idący z naprzeciwka go usłyszy, choć był on jeszcze daleko.

Mężczyzna z koniem zbliżał się bardzo powoli; już z tej odległości widzieliśmy, że koń jest niesłychanie chudy. Ledwo stawiał kroki, jakby nogi miał z waty, wydawało się, że byle wiaterek potrafiłby przewrócić to zwierzę. Wreszcie stanęliśmy oko w oko. Radosny, tryskający energią mężczyzna i ledwo trzymający się na nogach, pełen smutku i przygnębienia, koń. Trudno o większy kontrast.

— Pan pewnie z tej wsi za nami? — zapytałem wesoło.

W tejże sekundzie uchwyciłem karcący wzrok przyjaciela.

— Tak — odpowiedział z przejęciem właściciel zwierzęcia. — Nareszcie przydzielili nam konia z Unry, tyle tylko, że jeszcze na nim wierzchem nie można jeź-

dzie, ale ja już mu wygodzę. — Właściciel konia mówił z dumą, twarz jego wciąż promieniała radośnie. — Mój ojciec zawsze powtarzali, że nigdy nie dojdziemy do konia, a nawet krowy.

Teraz i ja w pełni poczułem niesamowitość sytuacji.

— Zajdziecie panowie do nas i odpoczniecie. — Mężczyzna przyglądał się nam uważnie. — Zajęliśmy duże gospodarstwo, dom jest wielki i ładny... Ojciec i matka się ucieszą jak zobaczą żołnierzy, to wszystko przecież wasza zasługa. Mój ojciec często wspominał pierwszą wojnę... No to, wypijmy na przywitanie — mówiąc to odkorkował butelkę i podał Kacprowi, który lunatycznym, jakby bezwiednym ruchem, podniósł ją do ust. Po chwili napiłem się i ja, w końcu mężczyzna.

Staliśmy kilka minut w milczeniu. Wiedziałem, że Kacper nie może znaleźć odpowiednich słów.

— Muszę jak najrychlej do domu — nagle ocknął się z przestрахem mężczyzna. — Matka mnie nie puszczała, bo ojciec ciężko chorzy, ale jak zobaczą konia, to zaraz ozdrowieją...

— Wasz koń ma kaszel i katar — powiedział do odchodzącego Kacper. — Dajcie jemu do oddychania zaparzonego siana, albo jeszcze lepiej, naparzcie rumanianku.

Mężczyzna oddalał się z trudem ciągnąc za sobą konia.

— On nigdy w życiu nie daruje sobie, że w tym czasie umarł jemu ojciec — szepnął Kacper.

— Co on by pomógł...

— To nie o pomożenie chodzi — usłyszałem odpowiedź przyjaciela.

Kacper ruszył jakby chciał jak najdalej zostawić za sobą wieś.

— Może trzeba było zejść do niego — odezwałem się.

— Co ty zdurniał, akurat w taki moment miałby ty sumienie tam zachodzić. — W tonie Kacpra brzmiało potępienie.

I właśnie to zdarzenie opisałem nieudolnie w swoich notatkach pod tytułem „Śmierć ojca za konia”, jak nieudolnie opowiedziałem o nim teraz, podobnie jak niezdarnie opowiadał o innych zdarzeniach, które miały miejsce podczas naszej wędrówki przez dziki zachód...

Jeszcze tego samego dnia, po dwóch godzinach marszu przez las (niestety, nie trafił się żaden środek lokomocji), zatrzymało nas dwóch mężczyzn. Pojawili się przed nami, jakby wyrosli spod ziemi, najwyraźniej musieli na nas czekać. Obaj, podobnie jak my, byli w wojskowych mundurach, tyle że w nowszych i czystych i z bronią; jeden z nich trzymał gotowy do strzału peem, drugi miał pistolet przy pasie. Kiedy podeszliśmy bliżej zobaczyliśmy na ich czapkach orzełki z koroną. Obaj stali na rozkraczonych nogach, w pozie pewności siebie. Kilka kroków przed nimi zawahałem się i chciałem się cofnąć, ale Kacper syknął na mnie, żebym się nie wydurniał. Przystanęliśmy tuż przed nimi.

— Jak to tak, nie oddajecie honoru swoim rodakom żołnierzom? — powiedział jeden z nich z dwiema gwiazdkami na naramiennikach. Kiedy to mówił zauważyłem, że jest bez ręki, pusty rękaw miał spięty agrafką pod łokciem.

— Ani my żołnierze, ani tym bardziej wy — odpowiedział spokojnie Kacper.

— Przeszukać ich! — rozkazał bezręki porucznik.

Człowiek z peemem wziął nasze tobołki i całą ich wartość wywalił na pobocze szosy. Spojrzałem w jedną i drugą stronę lasu; nie, nic z tego, po obu stronach drogi stało dwóch innych z peemami skierowanymi w naszą stronę.

— Nic podejrzanego nie mają — zameldował rewidujący.

— Chyba wiesz, czego od ciebie chcemy! — ryknął porucznik do Kacpra. — Zaraz nam wszystko wyśpiwasz, ty cholerny zdrajco! — krzyczał dalej nie czekając na odpowiedź. — Weźmiemy go do lasu! — rozkazał swemu towarzyszowi z peemem.

Kacper bez słowa ruszył do lasu, nawet nie spojrzał w moją stronę. Krok za krokiem szedł za nim ten z peemem, który nas rewidował, obok niego Bezręki Porucznik. Dwóch pozostałych z obstawy zniknęło bez śladu. Mnie zostawiono, jakbym nagle przestał dla nich istnieć.

Stałem oniemiały i sparaliżowany, i gdybym nawet chciał w tamtej chwili, nie potrafiłbym zrobić najmniejszego kroku w jakimkolwiek kierunku. Długo nie mogłem darować sobie tamtej chwili, którą uważałem za największe moje tchórzostwo, za zdradę przyjaciela. (Nie wiedziałem, bo skąd mogłem o tym wiedzieć, że dopuszczę się kiedyś prawdziwej, najstraszliwszej zdrady Kacpra). Usprawiedliwiałem siebie, że przecież w żaden sposób nie mogłem pomóc Kacprowi; iść z nim razem także na pewno by mi nie pozwolili. A jednak wystarczyłoby wtedy, abym usiłował coś zrobić. To by mnie w moich własnych oczach usprawiedliwiło. Pocieszałem się myślą, że nie uciekłem z tego miejsca, gdzie mnie zostawili, pocieszenie to jednak natychmiast rozsypało się jak dmuchawiec, mogłem przecież równie dobrze nie ruszać się z miejsca z tchórzostwa. Trudno mi dzisiaj oddać mój stan psychiczny w tamtej chwili, jeżeli w notatkach zostawiłem jedynie kilka zdań relacjonujących suchy fakt. Pewnie nie minął kwadrans po odejściu Kacpra, a rozległo się w lesie kilka strzałów w kierunku, w którym leśni go prowadzili. Dla mnie strzały mogły znaczyć tylko jedno. Co

bym dał za to, aby być razem z Kacprem; wściekałem się w duchu i przeklinałem bandytów. Tak, naprawdę dopiero po usłyszeniu strzałów wpadłem w obłądną panikę, ale rozpacz zamiast wyzwolić we mnie jakieś działanie, paraliżowała mnie tym bardziej; w całym ciele czułem odrętwienie, jakbym po brzegi był wypełniony cementem. Czy byłem zdolny myśleć wtedy o zemście, o pomśczeniu przyjaciela, tego nie wiem. Najpewniej nie byłem w tamtej chwili w stanie myśleć o czymś konkretnym, myśleć racjonalnie. Byłem wypełniony strachem i wściekłością na samego siebie. Na szczęście ta najstraszniejsza w moim życiu samotność nie trwała długo. Nie minęło i pół godziny, która — jak to się zwykło mówić patetycznie — wydawała mi się wiecznością, a wrócił Kacper. Stałem dalej oniemiały, bez ruchu, tym razem na odmianę z radości. Zaraz jednak spotęgowały się we mnie wyrzuty sumienia, naszło piekące zawstydzenie. Nie miałem odwagi spojrzeć Kacprowi w oczy. On jednak zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nic się nie wydarzyło. W pewnej chwili powiedział z powagą.

— Bardzo dobrze zrobiłeś, że nie rwałeś się, aby iść ze mną.

Nie, jego słowa niczego nie załatwiły, nie mogły być dla mnie jakimkolwiek, najmniejszym nawet usprawiedliwieniem, nie mogły uspokoić; odczytałem jego odezwanie się jako pocieszenie mnie wypływające z uczucia litości. Dyskretnie przyglądałem się Kacprowi. Ku memu zdziwieniu, nie znalazłem na jego ciele żadnych śladów pobicia, ubranie też miał w porządku. Kacper wyglądał najnormalniej w świecie, jak przed odejściem. Nie śmiałem go o nic pytać.

(Przez wiele lat nie mogłem pojąć o co tu chodziło, każda z układanych przeze mnie wersji była prawdo-

podobna, żadna pewna. Tajemnicę, jak było naprawdę, Kacper zabrał do grobu, bowiem od niego samego niczego się nie dowiedziałem, choć go wiele razy zagadywałem na ten temat. Dziś tylko jednego jestem pewien, że Kacper i Bezręki Porucznik znali się. Bezrękiego Porucznika — nazywam go i teraz tak jak go wtedy w myślach nazywałem — spotkałem przypadkowo po kilku latach w swoim mieście w mundurze kapitana. Czyżby więc Kacper w tajemnicy przede mną podczas naszej wędrówki przez dziki zachód wykonywał jakieś powierzone mu specjalne zadanie, na przykład polegające na kontakcie z Bezrękim Porucznikiem, który był wtyczką wśród tych z lasu... Jest to prawdopodobne i z tego względu, bowiem Kacper w czasie naszej wędrówki wciąż kluczył i opóźniał nasz marsz na zachód, często też znikał nie wiadomo gdzie.)

Po powrocie Kacpra z lasu natychmiast ruszyliśmy dalej. Tego dnia mieliśmy szczęście. Udało nam się przejechać kawałek drogi rosyjskim czołgiem. Obaj usadowiliśmy się z tyłu za wieżyczką. Kacper był ponury, jego stan przygnębienia — jak się okazało po chwili — niesłusznie przypisywałem spotkaniu z Bezrękim Porucznikiem.

— Cholerny Wał Pomorski — wreszcie słyszę jego głos. — To gdzieś tutaj niedaleko zginął Władek. Razem my się chowali, razem u Niemców pracowali, razem poszli do wojska i spali obok siebie w Sumach.

— Jak on się nazywał? — pytam.

— Ty jego nie znał, bo ty przyszedł później do naszego plutonu — Kacper sięgnął do górnej kieszeni munduru. — Zostawił mi list do żony i dzieci. — Obracał w dłoniach wygniecioną, pękatą kopertę, której jednak nie otwierał. Po chwili schował ją do kieszeni.

— Może nie wszystkich spalono żywcem, sam mó-

wieść, że nie rozpoznano jego ciała. — Przypomniałem sobie, że Kacper opowiadał mi o spaleniu żywcem przez Niemców polskich żołnierzy wziętych do niewoli.

— Oddał mi list jak wychodzili na rozpoznanie... Władek jakby miał przeczucie... — Kacper chwilę milczał. — Zdaje się, że my tę wieś zostawili gdzieś z boku.

Dziś chwilami myślę, że może dlatego Kacper pod koniec naszego marszu, aż znad Odry, wrócił i wziął gospodarstwo we wsi na Wale Pomorskim, że zrobił to dlatego, aby być niedaleko miejsca gdzie zginął jego przyjaciel. A może po prostu chciał być niedaleko miejsca, gdzie przeżył największe piekło...

Ale piekło Kacpra nie skończyło się wraz z wojną. Po kilku latach od jej zakończenia zaczęło się dla niego nowe piekło, kto wie czy nie gorsze od frontowego. Jak już wspominałem, Kacper nie chciał słyszeć o spółdzielni produkcyjnej, więc po pozbawieniu go wszystkich funkcji społecznych i zaszczytów, zaczęto niemiłosiernie prześladować jako kulaka i wroga. Wreszcie różnymi sztuczkami urzędniczo-biurokratycznymi zniszczono mu doszczętnie gospodarstwo. Doszło do tego, że Kacper, jeszcze do niedawna najbogatszy i najlepszy gospodarz we wsi, nie mógł w całości wykonać obowiązków dostaw zboża. Uznano ten fakt za celowe miganie się, za wrogą działalność na szkodę ustroju i państwa. Któregoś dnia przyszli do Kacpra i zawieźli go do aresztu w mieście. Jego żona, Krystyna, po całej wsi biegła i pożyczala zboże od kogo się dało, pożyczano jej po kilka, najwyżej po kilkanaście kilogramów, bo przecież ludzie sami nie mieli. Krystyna zapożyczyła się naraz co najmniej u połowy wsi. Załadowała zboże na furmankę i zawiozła do gminy. W taki oto sposób wykupiła swego męża z aresztu. Aha, najpierw starała się wydostać Kacpra z więzienia w inny sposób. Biegła do różnych urzędów, do organizacji kombi-

tanekich i pokazywała wszędzie mężowskie krzyże walecznych i medale, polskie i rosyjskie. Nic to jednak nie pomogło. Urzędnicy perfidnie udawali zdziwienie, że jakże to, kulak, najbogatszy gospodarz we wsi, a kto wie czy nawet nie w całej gminie, i tak nagle zbiedniał. Takiego cynizmu Krystyną nie mogła wytrzymać. Podobno w jednym z urzędów zmieszała urzędników z błotem, wpadła w szał i ze wściekłością zdemolowała biuro niszcząc wszystkie papiery, jakie znalazła w zasięgu ręki. Oczywiście wezwano milicję. Krystynę jednak odwieziono do domu, mimo że po drodze nie oszczędzała również milicjantów, zwracając przy tym uwagę tłumu z miasteczka. Wyrwała się milicji i skarżyła się przypadkowym przechodniom, że jej męża, który był w Dywizji Kościuszkowskiej i który zdobywał Warszawę, Kołobrzeg i Berlin, potraktowano jak najgorszego, że teraz byle urzędniczyna, co siedział podczas wojny jak u Pana Boga za piecem, poniża uczciwego człowieka. A przecież jej mężowi obiecywano na froncie złote góry, a co on teraz ma za przelaną krew, więc ludzie, którzy posadzili do więzienia uczciwego człowieka są najgorszymi kanalami. Gdy wieści o tym wszystkim dotarły do wsi, najpierw dziwiono się, że Kacprowej żony nie zamknięto, a potem zaraz wytłumaczono sobie ten fakt, najpewniej nie zamknięto jej ze względu na dziecko, które samo zostało w domu... Kiedy ludzie dowiedzieli się o wyczynach Kacprowej, tym chętniej oddawali ostatnie ziarenka jakie mieli, nawet ci, co już byli w spółdzielni, do której Kacper nie chciał wstąpić. I wtedy Krystyna za zebrane zboże wykupiła męża z kryminału.

Krótko potem dowiedziałem się, że w tym czasie dopytywała się o mnie. Nie mogę sobie darować, że wtedy byłem zadowolony, że mnie nie znalazła; jakie to obrzydliwe; ja bałem się, że już sam jej kontakt ze mną

może mi zaszkodzić... I to właśnie jedna z moich zrad również samego siebie. Nie była to przecież zdrada tylko Kacpra i Krystyny, ja przecież wiedziałem co się dzieje; wiedziałem, że Kacper jest niewinny, przecież takie i jeszcze gorsze sytuacje zdarzały się obok mnie, na moich oczach. Tłumaczyłem sobie, że to ofiary dla wyższych celów, dla dobra większości ludzi; tłumilem w sobie prawdę, że to tylko z tchórzostwa, z podłego tchórzostwa, nigdy nie kiwnąłem palcem, aby komuś pomóc, stanąć w obronie pokrzywdzonych...

Te pięćdziesiąte lata jakimże były przeciwieństwem obrazu życia, o jakim marzyliśmy na wojnie, jaki wtedy roztaczali przed nami nasi oficerowie. W pierwszych latach po wojnie ludzie byli szczęśliwi, bo żyli nadzieją, choć otaczały ich same ruiny i powszednim dniem był — jak to się zwykło mówić — chłód i głód. Żyliśmy wtedy jednak czymś bardzo wielkim, żyliśmy nadzieją, wiadomo bowiem, że najgorzej z człowiekiem, gdy straci on nadzieję. Człowiek, który traci nadzieję jest podobny do tego, któremu zabrano wszystko, nie ma więc nikogo, kto byłby biedniejszy od takiego człowieka. A w ogóle, na wojnie i w pierwszych latach po jej zakończeniu, wszystko było proste, jednoznaczne, ludzkie. To były lata proste jak natura Kacpra. I to rozumiałe, że w starciu z takim czymś musiał ponieść klęskę prostolinijny wołyński chłop. Nie mogę zrozumieć jak mogłem znosić okrucieństwa tamtego czasu, co więcej, w jaki sposób udawało mi się oszukiwać samego siebie, lub może inaczej, jak potrafiłem wmówić sobie, że to jedynie słuszna droga do najważniejszego celu. Chociaż... No, tak, byłem urzędnikiem, zawsze zależnym od innych, od przepisów, nakazów, przykazań, zakazów, bezwzględnie wymagano ode mnie, abym był na tzw. linii. Oto zasadnicza różnica między mną a

Kacprem. Ja wybrałem karierę urzędniczą, on wybrał siebie. Nie mogę, nigdy sobie nie daruję, że wiedząc o krzywdzie jaka działa się Kacprowi, nie usiłowałem mu pomóc. Usprawiedliwiałem się, że nie jestem w stanie mu pomóc, a mogę tylko sobie zaszkodzić — marzyłem przecież jeszcze wtedy o wielkiej urzędniczej (w domyśle: politycznej) karierze. Potem przyszedł październik pięćdziesiątego szóstego roku i wszystko rozsypało się jak dekoracja teatralna. Szczególnie więc po wydarzeniach pięćdziesiątego szóstego roku wracałem coraz częściej do naszej wędrówki przez dziki zachód, która wydawała się jedyną rzeczą prawdziwą, jedynym faktem konkretnym. Wracałem wspomnieniami do tamtej wędrówki, jakby w poszukiwaniu prawdy o epoce, która minęła; teraz wracam do tej wędrówki, bo chcę poznać Kacpra takim, jakim on był naprawdę. Teraz wiem, że to tylko on miał prawdziwy charakter, bo szanując siebie mógł szanować ludzi, a więc był przeciwnieństwem mnie. Dlatego, być może, tak go potrzebowałem, i może dlatego tak chciałem nad nim zapanować, wykazać swoją nad nim przewagę, nawet w sytuacjach błahych, bez znaczenia...

Oto idziemy podczas gwieździstej nocy wzdłuż umocnień Wału Pomorskiego. W pewnej chwili natykamy się na wrak czołgu i w nim postanawiamy spędzić noc. Naszą rozmowę (przed wejściem do czołgu) również zanotowałem w swoim notatniku. (Jakże w sposób głupi byłem z niej kiedyś dumny).

— O, tam jest Kapela — mówię patrząc w rozgwieżdżone niebo. — Ładnie się nazywa, prawda?

— Jaka kapela — odburkuje Kacper.

— Największe i najjaśniejsze koło Woźnicy — wyjaśniam rzeczowo.

— O czym ty, do czorta, gadasz?

— O gwiazdach.

Kacper chwilę zastanawia się, jakby jeszcze nie rozumiał.

— To ty się znasz na gwiazdach?

— Zawdzięczam to naszemu harcmistrzowi. Często chodziliśmy z nim na nocne podchody, o, prawie jak teraz. Wtedy marzyłem nawet, żeby zostać astronomem.

— Nie słyszał ja o takich dziwnych gwiazdach.

— Myślałem, że kto jak kto, ale ludzie ze wsi znają się na gwiazdach. — I to był moment dziecinnego we mnie uczucia przewagi nad Kacprem. — O, tam na zachodzie świeci Waga, a dalej nad samą ziemią Herkules.

— Gwiazda spadła. U nas mówili, że ktoś umarł — Kacper głucho, jakby już nie słyszał co mówię.

— To są odłamki gwiazd i na pewno człowiek by umarł, gdyby go takie coś trafiło — zaśmiałem się. — Nie wiedziałeś, że gwiazdy mają swoje nazwy? — usiłowałem dalej triumfować.

— E, zwracanie głowy, komu to potrzebne. Najważniejsze, że pięknie świecą i zawsze były i będą — odpowiedział Kacper. — Chodź, sprawdzimy czy wystarczy tam dla nas miejsca — wskazał ręką na wrak czołgu.

Nie, i tym razem Kacper nie doznał żadnego szwanku na honorze, nie ucierpiał ambicjonalnie. Pomyślałem sobie, że ja na jego miejscu długo nie mógłbym sobie darować, że znalazł się ktoś mądrzejszy i tak się przede mną popisuje. Szedłem zły na Kacpra, choć naprawdę nie było absolutnie żadnego powodu do złości. Kacper był rzeczowy, normalny, prosty, ale logiczny człowiek. Tak, dla Kacpra — tak teraz myślę — sytuacje logiczne na pewno były na wojnie i zaraz po wojnie, absurdalne zaczęły się coraz częściej zdarzać wraz z upływem lat od zakończenia wojny. Z takich absur-

dalnych sytuacji najczęściej przypominała mi się jedna. Zdarzenie to zatytułowałem w swoim notatniku „Szkoda, że go kula nie trafiła”. (Działo się to już w mieście dokąd Kacper przeniósł się w połowie lat sześćdziesiątych. To był jego krok rozpacz, nie udało mu się bowiem przywrócić gospodarki do dawnego stanu, nie mógł więc ambicjonalnie znieść faktu, że jest już przeciętnym, słabym gospodarzem. W mieście Kacper najpierw pracował jako ładowacz w zakładach lniarskich, potem aż do przejścia na rentę był stróżem nocnym). Zdarzenie, o którym chcę opowiedzieć, miało miejsce na kilka lat przed śmiercią Kacpra, w połowie lat siedemdziesiątych. Oto Kacper wystąpił o dodatek pieniężny do renty z racji udziału w wojnie, bowiem przydzielanie takich dodatków było powszechnie praktykowane w myśl odpowiednich przepisów. Niestety, wojewódzkie władze kombatanckie nie przyznały mu dodatku. O tym napisał do mnie jeden z żołnierzy naszej baterii; z jego listu wynikało, że sprawa ta stała się głośna wśród Kacpra i moich znajomych, byłych kolegów frontowych. W obszernym liście, jaki otrzymałem, znalazłem szczegółową relację całej sprawy, między innymi streszczoną rozmowę, którą z niewielkimi skrótami przytaczam. W rozmowie tej występuje Kacper szeregowiec i urzędnik, który jest pułkownikiem w stanie spoczynku. Pułkownik-urzędnik ze względu na przynależność do jednego związku (kombatanatów) zwraca się do szeregowca per kolego.

— Czy kolega był rannny na wojnie? — pyta urzędnik.

— Nie, ale... — jąka się szeregowiec.

— Nie ma żadnego ale, tylko ranni mają prawo do dodatku.

— Byłem prawie bez przerwy na froncie, na pierwszej linii...

- Nie został jednak kolega ranny.
- Nigdy nie chowałem głowy w piasek, dostałem nawet Krzyż Walecznych.
- Nic na to nie poradzimy.
- Ja przecież zdrowie zniszczyłem na wojnie.
- Ale nie został kolega ranny.
- Musiałem walczyć za siebie i za ранnego kolegę!
- Oj, bardzo nieładnie, kolego...
- ...Nikomu nie wymawiam... Ja tylko...
- No, więc?
- Bardzo żałuję, że nie zostałem ranny.
- ?

Były szeregowiec odchodzi miętosząc w rękę czapkę. Wściekły jest na los, że go kula nie trafiła. Były szeregowiec czegoś tu nie rozumie, jego rzeczowość i zdrowy rozsądek leżą w gruzach. (Zresztą nie po raz pierwszy tak się dzieje w epoce od zakończenia wojny aż do śmierci szeregowca.)

Tak, nie było już żadnego związku między nami a naszymi dowódcami. Dawni nasi oficerowie okazывali nam przychyłność, ale tylko dla ludzkiego oka, bo tak wypadło.

Podwyżkę renty, o którą starał się Kacper, załatwił dopiero jego syn, Waldek. Zwrócił się do znajomego, wysokiego urzędnika zbawidowskiego w Warszawie. Waldek to załatwił, bo wstyd mu było przed ojcem za urzędników, a przede wszystkim za wszelką cenę chciał ratować w swoim ojcu ostatnią iskierkę wiary...

Teraz wszystko wydaje mi się mniej ważne. Od chwili śmierci Kacpra trwa we mnie przede wszystkim nasza podróż przez dziki zachód, podróż, której końcowym efektem miało być nasze nowe, prawdziwe i pełne życie. Wtedy obaj byliśmy wolni i wierni sobie, wzajemnie i każdy z osobna. Lata następne to moja zdrada przyjaciela, która była zdradą samego siebie, zdradą

wszystkiego. Tylko Kacper do końca nie zdradził siebie, zdradzili go inni i zdradziła go epoka — i ja go zdradziłem, najbliższy przyjaciel — i dlatego ta moja spowiedź pamięci jest spowiedzią zdrady. Jeszcze jedno: nie mogę pojąć dlaczego po wojnie żyjąc w jednym kraju i w jednym czasie, żyliśmy w całkowicie innych, niedostępnych dla siebie światach...

Naprawdę tamtego dnia wszystko płakało, i niebo i ziemia, wszystko... A pogrzeb Kacpra był najgorszym dniem w moim życiu, kto wie — i tak czasem obłądnie myślę — czy nie był on o stokroć gorszy dla mnie niż dla Kacpra. I dalej: wraz z odejściem Kacpra coś się dla mnie naprawdę skończyło, a może i to uświadamiam sobie teraz, że coś się niemiłosiernie i nieubłagane kończy dla nas wszystkich. Znowu znaleźliśmy się w pustce, więc jak zawsze w takich przypadkach, na nowo żyjemy coraz mocniej wojną, której zakończenie miało być spełnieniem naszych celów i marzeń.

UPOMINEK JUBILEUSZOWY

Tam za miastem jest zupełnie jak na wsi, nawet są gospodarze, co mają gospodarki większe od tych na wsi. Lubię po prostu popatrzeć. Ten z największą stodołą po prawej stronie nie zabrał się jeszcze do orki, a przecież już połowa maja, jeżeli w ogóle nie będzie orać, szkoda byłoby takiej ziemi. Jego gospodarka jest podobna do gospodarki Lalka, mego niedawnego sąsiada na wsi, ale u Lalka było zawsze wszystko zrobione na czas. Nie to, co u tego podmiejskiego ciemięgi, który pewnego ranka szedł w krawacie z kosą na pole. I nie mogę do teraz wykalkulować, co on tą kosą w tamtym czasie robił. Łąki przecież ci podmiejscy nie mają — ale oni są dziwni i nigdy nie wiadomo, co im strzeli do łbów. Widziałem też u tego podmiejskiego gospodarza przez cały rok gnój na podwórzu. Ani chybi, a zmarnuje się tyle gnoju: kiedy się szło obok płotu, czuło się nosem, jak ten gnój się rozparował i wszystko co najlepsze ulatuje w powietrze. Ani ja, ani mój sąsiad Lalek — żaden z nas nie dopuściłby do tego. Ciekawy jestem, jak się wiedzie Lalkowi? Nie, nie pojedę już nigdy na wieś, bo i po co. Na mojej gospodarce siedzi kierownik pegeeru, ten młody szczeniak co się dziwił, że płotu nie postawiłem za gankiem. Powiedział to przy wszystkich (aby mnie zawstydzić), że

postawi nowiutki płot i zaraz będzie nowocześniejszy niż u gospodarza, to znaczy u mnie. Nic mu nie odpowiedziałem... W swoim życiu też wiele gazet czytałem i kilka lat temu mnie samego drukowali, ale nie wiedziałem dotychczas, że płot to już jest nowoczesność. A, niech tam... Zrazu miałem mu powiedzieć, co ma siać na tej górcie pod lasem, ale jeżeli on taki mądry, to niech sam sobie radzi z tym swoim brygadzystą, co jeszcze większy młokos od niego. Chciałbym ja teraz zobaczyć tę moją górkę! Jestem więcej niż pewien, że oni sami z nią nie poradzą — ja przez dwa lata nie mogłem utrafić, co tam najlepiej obrodzi. E, po co miałbym tam jeszcze jeździć... Za tę moją drugą stodółkę nawet nie podziękowali, a przecież to ja sam ją postawiłem, z własnego drzewa i kupionej cegły. Ten młokos kierownik powiedział, że za mała i do niczego, więc ją zaraz rozbiorą... Och, ja bym go rozebrał, gdyby wpadł w moje ręce! Co do tej stodółki, to próbowałem go przekonać, ale niczego nie można mu było przetłumaczyć i nawet się nie dziwię, że nic nie rozumiał, to taki, co był zawsze w szkołach...

— Bilety do kontroli! Proszę państwa, bilety do kontroli!

Dlaczego ten konduktor tak krzyczy, przecież nie ma tu chyba głuchych. Niemiec obok mnie drgnął, on pewnie nic nie rozumie, domyśli się, o co chodzi, jak zobaczy, że inni wyciągają bilety. Zagadnąłem go przed „Orbisem”, bom nie wiedział, że to Niemiec, w odpowiedzi coś mi zaszwargotał po swojemu i zdziwiłem się, że nawet się uśmiechnął, ale wzruszył ramionami, że niby nic nie rozumie. A pewnikiem mnie rozumiał, bo za okupacji ja też nie rozumiałem niemieckiego, ale jak mówił do mnie Niemiec, to wszystkiego od razu się domyślałem. Czasami udawałem tylko, że nie rozumiem, o co chodzi, jeśli Niemiec powiedział do mnie

coś niedobrego... Ja temu obok nie powiedziałem przed „Orbisem” nic złego, więc nie wiem, po co on udawał, że nic nie rozumie. Za okupacji ja także często uśmiechałem się i udawałem głupiego, czasem nawet wzruszałem ramionami, kiedy byłem trochę odważniejszy... Dlaczego on się tak kręci, zupełnie zepchnie mnie z siedzenia. Może to ich jakaś szycha? Ubrał się w białą marynarkę, jakby był w Afryce — widziałem kiedyś w gazecie Anglików na Saharze, też mieli takie same marynarki... Gdzie jest mój bilet? Włożyłem go przecież do górnej kieszonki. Konduktor już podchodzi, jest dwa rzędy przed nami, w tej chwili przecina bilet oficerowi, który siedzi z matką; widziałem ich już przed „Orbisem”. Na pewno jego matka jest starsza ode mnie co najmniej o dziesięć lat. Za mną siedzi długa jak tyka panienka i już wyciąga rękę z biletem obok mojego policzka, a przecież konduktor jeszcze daleko. Mogłaby się tak nie spieszyć, zanim nie znajdę tego cholernego papierka... O, nareszcie jest! Z tymi konduktorami w Warszawie nigdy nic nie wiadomo. Kiedy jeszcze przyjeżdżałem do gazety, pewnego razu wyrzucili mnie z tramwaju, że niby jestem pijany. Teraz podają bilet i tak mi dziwno, jakbym się bał konduktora, a przecież nic złego nie zrobiłem. Z tej bojaźni nie patrzę na niego, nie jest przecież nigdzie powiedziane, że trzeba patrzeć na konduktora... Wreszcie mnie wyminął. Tej chudej panience za mną przeciął bilet tak blisko mego ucha, że aż się przestraszyłem. Niemiec obok mnie zwiesił głowę, jakby się nad czymś mocno zamyślił. O czym on może myśleć? Pewnie o jakichś swoich podstępach. To nawet dobrze, że on udał, że nic nie rozumie. Nie znamy się, więc mi nic nie robi. W tartakę Niemiec nigdy nie uderzył mnie, dopóki nie poznaliśmy się dobrze... Jedziemy już chyba godzinę. Inni także pozwieszali głowy, jakby się też zmartwili, nawet

oficer... Czuje jak mój kark łaskoczą nalakierowane włosy tej chudej i długiej panienki za mną. Pewnie też zwiesiła głowę...

W oknie widzę nowe domy i poznaję ulice. Niedaleko stąd, zdaje się, jest redakcja gazety, ale od dwóch lat nic im nie posłałem, kto wie, czy po tej podróży znowu nie zacznę pisać. Przestałem już być korespondentem wiejskim, bo wyjechałem ze wsi. Oni także przestali do mnie pisać. Dopiero teraz, miesiąc temu, spadło to na mnie niespodziewanie jak grom z jasnego nieba — i tym się różni od takiego gromu, że takim gromem wszyscy by się zdziwili, a to co mnie spotkało, zdziwiło tylko mnie. Nie można powiedzieć, uprzejmie i grzecznie napisali, żebym przyjechał w pilnej sprawie do nich, do Warszawy. Poprosiłem więc dyrektora o zwolnienie od stróżowania i zaraz pojechałem. Kiedy pokazałem dyrektorowi pismo z gazety, pokręcił głową z niedowierzaniem i zrobił mi wymówkę, dlaczego przedtem nic mu o tym nie mówiłem, że kiedyś pisałem do gazet. „Pewnie ze skromności” — pochwalił mnie. Z jakiej tam skromności, nie mówiłem i już. Dyrektor trzymał zaproszenie tak długo w ręku, że ja przez ten czas przeczytałbym je z dziesięć razy. Czemu on się tak dziwił? Pewnikiem dlatego, bo młody, i kiedy ja już do gazet pisałem, on jeszcze chodził do szkoły. A chodził długo, to wiem, bo wszyscy ludzie u nas mówią, że był kilka lat gdzieś za granicą, ale zapomniałem na śmierć gdzie. Dobrze, że dyrektor zgodził się mnie zwolnić, choć tak od razu nie bardzo było kogo dać na zastępstwo mego stróżowania, wreszcie Walenty się zgodził, więc pojechałem.

Trudno mi było od razu znaleźć redakcję, bo dawno nie byłem w Warszawie, a i przedtem najwyżej trzy razy na rok tam jeździłem na narady. W redakcji mojej gazety wszystko się pozmieniało, wszyscy redakto-

rzy inni, tylko jeden sekretarz gazety ten sam co dawniej. Od razu sadza mnie na krześle i mówi prosto z mostu:

— Obchodzimy jubileusz piętnastolecia naszej gazety, dlatego poprosiliśmy do nas kilku najstarszych korespondentów...

Nie skończył mówić, gdy weszło dwóch innych, młodszych od niego wiekiem redaktorów, których nigdy w życiu nie widziałem.

— Członkowie Komitetu Jubileuszowego — przedstawił ich sekretarz — kolega Stefan Sekuła, nasz najlepszy korespondent wiejski — wskazał na mnie ręką i mówił dalej: — Dla najstarszych i najlepszych korespondentów przygotowaliśmy kilka upominków, nie wiemy jednak, co kto woli, więc będą koledzy wybierać wedle gustu. Kolega przyjechał pierwszy, więc ma pierwszeństwo wyboru.

Sekretarz redakcji pochylił się i zaczął powoli odczytywać spis upominków. Nie, to było trochę inaczej, najpierw jeszcze powiedział:

— Zaznaczam, że wszystkie upominki są wartości około tysiąca złotych — dopiero teraz wymienił je po kolei. Pierwszy to bon na materiał, który można wymienić w każdym sklepie tekstylnym; i dalej: zegarek na rękę, skierowanie na wczasy, do wyboru: zimą albo latem, nad morze lub w górach; aparat fotograficzny... Potem sekretarz siedział cicho i patrzył pytająco na mnie, ci dwaj młodzi, których pierwszy raz zobaczyłem, też wlepili we mnie oczy, jakbym był jakimś dziwnym zwierzęciem. Mnie zrazu trochę roztkliwiło, że pamiętają o mnie, że są jeszcze ludzie jak ten sekretarz, z moich dawnych, dobrych czasów. Do wyboru było sporo rzeczy, należało się więc dobrze zastanowić, co wybrać, pilnie rozważyć. Pojąłem nagle, że sekre-

tarz zaczyna się denerwować moim milczeniem, a dwaj młodzi uśmiechają się do siebie i coś tam szepczą.

— Nie możecie się, kolego, zdecydować? — sekretarz próbuje się uśmiechnąć, ale ja dobrze wiedziałem, że już się złości.

Więc rozważam w myślach, co by tu wybrać, zegarek czy aparat fotograficzny, i wciąż nie mogłem się zdecydować, co lepsze. I kiedy tak siedziałem, pokornie i cicho na miękkim krześle z rękami na kolanach, on powiedział znowu:

— Coście to zaniemówili?!

Nie, nie powiedział, on teraz krzyknął, aż podskoczyłem przestraszony i wyrwany z zamyślenia. Sekretarz pewnie zaraz się zreflektował, że nie wypada mu krzyczeć, bo zaczął mówić o wiele ciszej:

— Przepraszam, ale znałem was kolego, i wiem, że dwa razy niczego wam nie trzeba powtarzać. Byliście przecież jednym z najlepszych naszych korespondentów wiejskich.

— Kolego redaktorze — powiedział nagle do sekretarza jeden z tych młodych, których pierwszy raz widziałem — pozostał jeszcze czterogodzinny przelot samolotem — skończył śmiejąc się do mnie kpiąco i bezczelnie.

Po tych słowach wszyscy w trójkę wybuchnęli długim śmiechem, a kiedy umilkli, nikt mnie nie przeprosił za ten śmiech.

— Zdecydujcie się wreszcie, kolego, bo to pilne — sekretarz poprosił mnie teraz przymilnie i spojrzał karcąco na młodych redaktorów.

Powoli podniosłem głowę, która ważyła teraz całe pudy, napotkałem oczyma rozdziawione gęby tych młodych i to mnie rozzłościło na dobre.

— Wybrałem, wybrałem — zacząłem szeptać jak w

gorączce. — Czterogodzinny przelot samolotem — powtórzyłem dokładnie nazwę tego dziwnego upominku.

— Co?!! — zająknął się sekretarz. — Nie dosłyszałem, powtórzcie jeszcze raz — powiedział, z napięciem wpatrzony we mnie, jakby co najmniej był prokuratorem.

— Przelot samolotem! — powtórzyłem głośno. Teraz żaden z nich już się nie śmiał, kiwali tylko głowami, a sekretarz redakcji zapisał coś w swoim zeszycie i kazał zgłosić się za miesiąc. Zdaje się, że gratulowali mi wyboru upominku, ale wciąż kiwali głowami i szeptali zdziwieni, jakby nic nie rozumieli.

Tego samego dnia spotkałem korespondenta z sąsiedniego powiatu, który na ramieniu zawiesił sobie aparat fotograficzny i nawet od razu zrobił mi zdjęcie, choć nie bardzo chciałem.

Kiedy mu powiedziałem, że wybrałem przelot samolotem, najpierw mocno się zdziwił, a po namyśle stwierdził że zrobiłby to samo, ale ja mu nie wierzę... Chociaż, szczerze mówiąc, to on ode mnie młodszy o co najmniej dziesięć lat... Chociaż...

— Proszę państwa, jesteśmy na miejscu! — znowu krzyknął konduktor.

Wysiadłem ostatni ze swoim bagażem, najmniejszym spośród bagaży wszystkich podróżnych w autobusie. Była nim skórzana, stara teczka, która zawsze jeździła ze mną do Warszawy. Mam w niej prawie wszystkie artykuły i krytyki drukowane w gazecie, wziąłem je tylko na wszelki wypadek — wcale nie dlatego, aby chwalić się nimi przed kimś. Tak sobie myślę, że to bardzo dobrze, że mam ze sobą te wszystkie swoje druki, bo — jakby to powiedzieć — jadę przecież dzięki nim... Stoję już w kolejce przed wagą. Wszystkie bagaże waży ładna panienska w szaroniebieskim mundurze i furażerka na głowie. Przed sobą widzę oficera

z matką oraz długą i chudą panienkę, co mnie łaskotała włosami. Gruby Niemiec stoi na samym początku. Wreszcie, kiedy przyszła na mnie kolej, panienka w mundurze powiedziała, że niepotrzebnie stałem w kolejce, bo teczkę można zabrać do samolotu bez ważenia. Odwróciłem się i dopiero teraz przez oszklone drzwi zobaczyłem nagle samoloty. Stoją równiutko ustawione na twardej i gładkiej powierzchni lotniska. Robię kilka kroków w stronę drzwi prowadzących na lotnisko i coś jakby mnie wstrzymuje, nogi wrastają w kamienną podłogę poczekalni, wciąż wydaje mi się, że coś mnie ciągnie do tyłu. To coś, czego nie widzę, a jakby było właśnie między oszklonymi drzwiami a błyszczącymi samolotami, które stoją dziobami w moją stronę. Samoloty błyszczą w słońcu jak lustra, to mnie oślepia i przykuwa do miejsca. Przemykam oczy i ruszam szybko naprzód potracając kręcących się wokoło ludzi; ktoś mnie skłął, ale ja zachowałem się tak, jakbym niczego nie usłyszał. I zaraz wstydzę się przed samym sobą, że to strach przed tą podróżą tak mi w głowie pokręcił... O, wreszcie znowu zobaczyłem matkę oficera i jakby mi ulżyło. Ona jest co najmniej dziesięć lat ode mnie starsza i też poleci — jest starsza, a w dodatku baba. Dobrze, że Wandzia nie dowie się, jak się teraz boję — gdyby się dowiedziała o moim strachu, miałaby co opowiadać tej głupiej Weronci, a Weroncia rozniosłaby to na całą ulicę, plotka mogłaby dojść nawet do dyrektora, który mnie pochwalił za zaproszenie do Warszawy. Wandzia nawet nie wie, że będę lecieć samolotem. Powiedziałem jej, że biorę urlop i jadę do krewnych. Wciąż nie opuszcza mnie ta nagła słabość, więc chyba usiądę. Siadam ociężale na ławkę; obok mnie bagażowy z numerem na czapce opiera leniwie głowę i nadstawia twarz wprost na ten błysk samolotów. Od razu pozazdrościłem temu bagażowemu; siedzi

tu sobie taki chłopina jak w domu za piecem i wszystko mu znajome tak jak dla mnie w mojej stodole. Ciągłe odwracam głowę na wszystkie strony i przymykam oczy, ale i tak w żaden sposób nie mogę zrzucić z siebie ciepłego błysku samolotów. „Ciepły błysk samolotów” — tak właśnie dziwnie myślę... Czego ja się boję? Przecież tyle ludzi bez przerwy podróżuje, czytałem niedawno, że nawet sam papież poleciał samolotem do Palestyny. Patrzę na zegarek: zacznie się to wszystko dokładnie za dwadzieścia minut. Mógłbym już teraz lecieć, po co to czekanie. Nie lubię na nic czekać, nikt przecież nie lubi długo czekać. Zwłaszcza na takie coś... Ach, raz kozie śmierć! Łapię się naraz na tym, że najchętniej wróciłbym do domu, ale zaraz słyszę śmiech tych młodych redaktorów, widzę uśmiech i zdziwienie sekretarza redakcji, kiwanie wszystkich trzech głowami. Słyszę coraz bardziej kpiący ich śmiech i już wiem, i już wiem, że nie pojadę z powrotem do domu. Nie, nie ucieknę stąd. Niech gówniarze wiedzą, z kim mają do czynienia! Naraz zaterkotał niziutki wózek i ludzie przesuwają się z ławek do samego ogrodzenia, wsiadają wszyscy do wózka jak gdyby nigdy nic, jak gdyby wsiadali do tramwaju. Widzę dwóch lotników w mundurach i zaraz przypominam sobie mojego dobrego znajomego ze wsi, który w czasie wojny i jeszcze kilka lat po wojnie był lotnikiem... Zawsze chętnie rozmawiał z nami i nigdy nie udawał ważnego, jak na przykład ci dwaj lotnicy w mundurach, którzy poszli do swego samolotu.

— Człowiek żyje po to, żeby poznać jak najwięcej... A mówiąc jeszcze dokładniej, to człowiek żyje po to, żeby zrobić coś bardzo ważnego w swoim życiu, coś bardzo trudnego... Ten, który nie robi czegoś ważnego, to jakby nie żył, jakby go w ogóle nie było na świecie... Człowiek nigdy nie powinien bać się śmierci —

mówił do nas major lotnictwa, który nie był już lotnikiem ani majorem, a chciał, wtedy, kiedy to mówił,jechać do Indii.

Może dlatego właśnie wybrałem taki „upominek jubileuszowy”, jak nazwali ten przelot samolotem ci z redakcji, bo słowa naszego majora zostały mi w pamięci i często je sobie przypominam. Już wiem, wcale nie dlatego wybrałem taki „upominek”, że naśmiewali się ze mnie ci młodzi, którzy mogliby być moimi synami...

— Człowiek jest wtedy tylko szczęśliwy, kiedy żyje sobie spokojnie — powiedział ksiądz do majora któregoś dnia przy kartach.

Major, który był już po kilku głębszych, wstał i wziął księdza pod brodę. Wszyscy na ten widok zdrętwieli.

— Tyś głupi, boś ksiądz! Jeżeliś głupi, to cicho siedź! Zaglądać śmierci w oczy, ot co!! — zacharczał pijany major, który dawno już nie był majorem. — Nie wierz mu, Stefan — zwrócił się do mnie. — Nigdy nie wierz księdzu, bo jego Bóg stworzył po to, aby kłamał... Mój kapelan na froncie... — zakrztusił się major i zamilkł.

Pamiętam jak wszyscy wtedy krzyknęli, że to bluźnierstwo i wywoływanie wilka z lasu... Patrzyliśmy ze zgrozą na poturbowanego, cichutko siedzącego w kącie księdza, i nikt z nas nic nie rozumiał, bo przecież major i ksiądz byli dobrymi kumplami.

— Panie majorze — ksiądz powiedział „panie”, choć wszystkim było wiadomo, że są po imieniu — pan jest bezbożnikiem i pan się Bogu narazi — ksiądz złożył ręce jak do modlitwy i zaczął płakać, bo też był nie mniej pijany od majora.

— E, co ja gadam — major już zmiękł — każdy boi się śmierci — przerwał i spojrzał na nas. — Bezczytność, ot co najgłupsze — wyszeptał i zamilkł, bo chyba poznał po naszych twarzach, że go nie rozumiemy. Bezczytność i bezużyteczność — dodał

głośniej, i ja te majora słowa zapamiętałem na zawsze.

Wszyscy myśleliśmy, że ksiądz i major pogniwiali się na śmierć, ale nie minęło i pół godziny, jak zaczęli coś między sobą szeptać. Usłyszałem z tego ich szeptu tylko kilka słów i jedno zdanie pełniejsze, które major powiedział ze złością:

— Zamiast latać, baby spowiadałeś, bracie, teraz ty polataj, młody jesteś, a ja baby pospowiadam, choć spowiadanie bab to jedna z niewielu rzeczy, których dotychczas nie robiłem...

Naraz słyszę drobne dudnienie wózka po płytach lotniska. Ludzie pojechali na tym wózku wprost pod skrzydła ogromnego samolotu, na widok którego znowu zrobiło mi się niedobrze. Pewnie ucieszyłby się major, gdyby się dowiedział, że wybrałem „czterogodzinny przelot samolotem”, powiedziałby „brawo redaktor”... Nazywał mnie redaktorem, choć to on pisał pierwsze moje artykuły do gazety, a kiedy już sam je układałem, on poprawiał i złościł się, że do końca życia nie nauczę się pisać... Przed ludźmi jednak zawsze mnie chwalili... Pamiętam dobrze, że najlepszym kumplem majora był właśnie nasz ksiądz, choć ci z miasta na ich kumplostwo źle patrzyli i zawsze mieli za to pretensje do majora. Najpierw jednak, kilka lat wstecz, ci z miasta bardzo majora szanowali, bo major za swoją odwagę na wojnie dostał kilka polskich krzyży i dużo ruskich medali. I w tamtym czasie, kiedy ci z miasta szanowali majora, chcieli go zrobić wójtem naszej gminy. Major jednak nie zgodził się zostać wójtem, bo już wtedy chciał jechać do Indii. Potem podpadł za coś tam u tych z miasta... Pamiętam, jakby to było wczoraj, major przynosi mi swoją książeczkę wojskową i mówi:

— Widzisz, Stefcu, teraz jestem szeregowiec, pilot-szeregowiec — pokazuje rubrykę, w której rzeczywiście tak było napisane.

— To krzycząca niesprawiedliwość! — odpowiadam słowami, których mnie nauczył przy pisaniu artykułów do gazety.

— No, pewnie, że nic innego... Ja ich tam nawet, cholera, trochę rozumiem, tylko że oni jeszcze za mało rozumieją... Wytłumaczyć mi niczego nie można, choć to wszystko moi kumple... Niektórzy z nich byli jeszcze kapralami, kiedy ja już byłem majorem. — Indie diabli wzięli. — Westchnął na koniec z rezygnacją.

Potem major przeniósł się do jakiegoś miasteczka na południu. Wspominał go najczęściej ksiądz, bo go bardzo lubił, i wyraźnie tęsknił za nim, mimo że major po pijanemu często wymyślał księdzu od najgorszych. Nasz ksiądz, wspominając go któregoś dnia przy kartach i kieliszku, powiedział:

— Wot — lubił po pijanemu używać ruskich słów — kiedy nie ma majora, odwykłem od zwymyślań... Od kiedy nie ma majora, nudno tu i skuczno — używał ruskich słów pewnie dlatego, że pochodził zza Bugu. Było nam wszystkim głupio słuchać, jak ksiądz o tym zwymyślaniu mówił... Przecież nie wypadało mu tak mówić o sobie przy nas, bo był naszym księdzem — choć dlatego właśnie, że był naszym księdzem, którego lubiliśmy, nikomu nie wypadało się też sprzeciwiać... Fajny był z niego człowiek, ale już od dawna nie ma go we wsi, a o tym księdzu, który przyszedł na jego miejsce, to szkoda nawet mówić...

Nagle ogromny samolot rusza po tafli lotniska. I znowu wraca do mnie mój ciepły i wilgotny strach, i nie wiem skąd ta bojaźń, bo przecież pogodziłem się już w myślach ze wszystkim. Widzę starą matkę oficera, jak rozmawia sobie w najlepsze ze swoim synem. Boże, co ja bym za to dał, aby ta staruszka nagle zemdląca ze strachu. Na pewno i ona boi się, ale jest już tak stara, że wśród tych zmarszczek na jej twarzy

niczego nie można rozpoznać. Odwraca się do mnie plecami, jakby przeczuwała, że myślę akurat o niej, chce mi przez to dać do zrozumienia, że ma mnie gdzieś. Wzajemnie. Co ona mnie obchodzi. Na pewno boi się bardziej ode mnie, ale po niej nic nie widać.

Odwracam głowę w stronę lotniska i widzę panienkę w lotniczym mundurze, za którą ludzie ustawiają się w kolejce. To chyba ta sama, która ważyła walizki. Przez głośniki usłyszałem, że za dziesięć minut odleci nasz samolot. Zrywam się z ławki, jak gdyby mnie ktoś z niej przepędził, biegnę do kolejki. Chwilę stoję sapiąc, i czuję za sobą duszny zapach perfum. Odwracam się: za mną znowu ta chuda panienska, której włosy laskotały mnie w autobusie. Uśmiecha się do mnie, bo pewnie nie domyśla się, że złoścę się na nią za jej uparte przylepianie się do moich pleców. I tak mi jest słabo, nie kryję już tego przed sobą — a ona znowu przy mnie z tym swoim śmierdzącym zapachem... Paruję już jak kocioł w łaźni. Chętnie zdjąłbym marynarkę, ale nie wypada, bo wszyscy są w marynarkach, tyle że lżejszych i jaśniejszych. Nie mogę zdjąć marynarki, bo zaraz domyślą się, że jestem gorszy. Nie, nie zdejmę marynarki. Chyba mam gorączkę, bo na przemian jest mi raz gorąco, a raz znowu zimno... Wszyscy w kolejce, na czele z panienką w mundurze, ruszają w stronę wózka. Przed wózkiem stoję długo niezdecydowany i wskakuję dopiero w chwili, gdy słyszę, że ktoś na mnie krzyczy. Parujący potem i drżący upadam na wolną ławkę. Uśmiecham się do oficera, który siedzi naprzeciw mnie ze swoją matką, tym uśmiechem chcę go oszukać, że nic mi nie jest. Chyba udało mi się go oszukać, że nic mi nie jest, bo oficer mrugnął do mnie i powiedział, zdaje się, coś wesołego do swojej matki. Kiedy wózek rusza, wieje przyjemny, chłodny wiaterek i teraz robi mi się lżej, zapadam w

jakaś błogość, nie czuję już żadnego lęku. Dojeżdżamy do samolotu. Wychodzę z wózka zgarbiony, idę ostrożnie po schodach samolotu jak lunatyk po cienkim gzymsie na wysokości kilku pięter. Idę więc jak lunatyk, nie nie myśląc jak on, bo gdyby pomyślał o tym, że idzie po tym gzymsie, zaraz spadłby. I ja, gdybym zaczął myśleć, mógłbym zawrócić i uciec stąd. Wspinam się uparcie po schodach popychany przez innych do drzwi samolotu; nie widzę żadnych twarzy i nie słyszę żadnych głosów. Mam przed oczyma jeden punkt: furażerkę panienki w mundurze. Wpatrzony w jej furażerkę, uciekam przed zapachem perfum chudej panienki za mną. Wreszcie jestem na progu samolotu i panienka w mundurze zabiera ode mnie płaszcz i bilet. Zwijam się, tak mi się zdaje, że zwijam się na prawą stronę trzech siedzeń i w tym pochyleniu się widzę twarz starej matki oficera i to mnie na chwilę uspokaja.

— Proszę zapiąć pasy! — zapiszczała dziewczyna w mundurze.

Rozpoczyna się warkot i szum motorów. Przytulam twarz do okrągłej szybki. Gładka jak betonowe klepisko nawierzchnia lotniska ucieka do tyłu. Na twarzy czuję lekkie drżenie samolotu. Widzę skrzydła, a na nich jakby połamane, odstające płyty. Teraz coś wciąga do samolotu koła, szum motorów zacicha, to mnie trochę niepokoi. Po chwili już wcale nie słyszać motorów, jest tylko lekkie drżenie samolotu.

— Będziemy lecieć na wysokości siedmiu tysięcy pięciuset metrów z szybkością osiemset czterdzieści kilometrów na godzinę... Dowódcą samolotu jest kapitan...

Siedem tysięcy pięćset metrów — to siedem i pół kilometra... tyle jest polną drogą ze wsi do miasta powiatowego, więc gdyby zaraz za wsią podnieść tę polną drogę... siedem i pół kilo-

metra... Teraz jeszcze wciąż wznosimy się na tę wysokość, dopiero się wznosimy... Czuję lekki zawrót głowy, ale nie odwracam twarzy od szyby... Nie patrzę jeszcze na ziemię, bo i po co, będzie na to czas, jak się wzniesiemy wyżej. Samolot wchodzi już w mgliste obłoki, rozrzedzone jak najcieńsza wata. To chmury. Z przerażeniem stwierdzam, że nie posuwamy się wcale naprzód, że wciąż stoimy w tym samym miejscu. Zamynam mocno oczy i chłodzę rozpaloną głowę o zimną szybę samolotu. „Jestem z tymi obcymi ludźmi” — myślę i słyszę własny głos. Nie otwieram jednak oczu, nie sprawdzam, czy ktoś mnie usłyszał, zaciskam jeszcze mocniej powieki i nic już nie ma prócz ciemności... I właśnie w tej ciemności widzę nagle jego. Leży w swojej trumnie prawie uśmiechnięty, z dolną szczęką mocno wysuniętą do przodu. Uśmiech ma trochę kpiący i pogardliwy taki, jakby uśmiechając się myślał: nie cieszcie się, ja wszystko wiem... Wszystko? On leży w tej grobowej ciszy, a ja dotykam brzegu wieka i czuję to znane, ledwo wyczuwalne drżenie. Kobiety poprawiają mu poduszkę i różaniec w dłoniach, z których wciąż się wymyka. On ma na sobie błyszczące lakierki, czarny, z grubego sukna garnitur i krawat w groszki; nos mu się mocno wydłużył, wygląda, jak gdyby mu go ktoś dolepił do twarzy. Choć ma zamknięte oczy, jestem ciągle przekonany, że wszystkich widzi, że najbardziej patrzy na mnie... On o mnie wszystko wie... Nawet o tym, o czym często rozmawiałem z braćmi Koterskimi, moimi szwagrami. Boże, on na mnie patrzy, jak gdyby naprawdę wszystko wiedział! Tymi przymkniętymi oczami wymawia mi ów wieczór na dwa dni przed tym dniem, kiedy to się stało. Wymawia mi właśnie ten najgorszy wieczór, kiedy siedziałem ze szwagrami przy stole z butelką wódki i talerzem ogórków.

— My go i tak kiedyś zabijemy — mówił młodszy Kusterski.

Po tych słowach bierze do ręki widelec i z rozmachem wbija w ogórek, podnosząc go szybko na wysokość naszych oczu. Ogórek ocieka wodą, którą młodszy Kusterski zachlapał sobie koszulę. Połknął ten ogórek z apetytem, bo był już dobrze wstawiony.

— Najpierw, nim go zabijemy, powiemy mu, co myślimy o takim bandycie jak on — wtóruje młodszemu starszy Kusterski, jeszcze bardziej pijany od brata. — Wtedy przestanie się nas czepiać, to jedyny na niego sposób, żeby przestał pisać swoje donosy — dodał jakby nagle trzeźwiejąc.

— Może, jak to bywało dawniej, napiszemy karteczkę z wyrokiem i zostawimy przy nim — zaśmiał się młodszy.

Ja byłem najmnij pijany, więc robiło mi się nieprzyjemnie od tego ich gadania. Ale myślałem, to gadanie w pijanym widzie, nigdy nie powiedzieliby tak na trzeźwo, choć szwagrowie już od dawna byli największymi wrogami we wsi. I jestem Bogu ducha winien, bo przecież nie mogłem wiedzieć, że to ich gadanie nie było na wiatr. Jak człowiek jest pijany, myślałem, to często gada, co mu ślina przyniesie na język. I mógłbym przysiąc, oni sami nie wierzyli wtedy w to swoje gadanie. A jednak wszystko to się stało, o czym mówili tamtego wieczora moi szwagrowie, więc do dziś nie mogę pojąć, jak mogła się stać tak straszna rzecz w naszej wsi. Mówiąc szczerze, to ja także nie lubiłem Połubca, bo on ciągle mi dokuczał i prześladował. Najpierw, kiedy pracował w gminie, i potem, kiedy został sołtysem... Z początku miał mi za złe, że jako korespondent przestaję z majorem, który był podejrzanym politycznie, wciąż powtarzał, że korespondentowi gazety nie wolno trzymać z wrogiem. Słowo w słowo tak właś-

nie mówił. Rzecz jasna, nie powiedziałem mu, jak nie powiedziałem nigdy nikomu, że artykuły i krytyki, które mi drukowali, układał właśnie major. „Jaki on tam podejrzany, ci z miasta to jego kumple” — jakoś tak odpowiadałem. „Kumple nie kumple, a on podejrzany jest jak dwa razy dwa” — mówił Połubiec i przestrzegał, że mnie usadzi, jeśli nie przestanę się z nim zadawać. Na mój rozum, to te artykuły i krytyki, co chwalili w powiecie, a nawet i w województwie, uznaliby Połubiec za wrogie, gdyby wiedział, że to major je układał. Potem często Połubiec wymyślał mi, że podczas procesji noszę księdzu baldachim. Jeszcze tego brakowało, żebym przestał nosić baldachim, przeciwnie z najgorszych we wsi; już i tak ludzie zaczynali na mnie się krzywić, zwłaszcza w początkach, po pierwszym drukowaniu. Niektórzy we wsi mieli mi za złe to pisanie do gazet, choć ksiądz nie miał mi tego nigdy za złe i nawet fukał na ludzi, co się na mnie krzywili. Którejś niedzieli, pamiętam, ksiądz powiedział na ambonie, że jego ojciec służył na folwarku — i ja z tego jednego jego powiedzenia wykalkulowałem, dlaczego on mnie broni przed ludźmi. Potem ludzie we wsi dali mi spokój, i odtąd jeśli mieli coś na wątrobie, przychodzili właśnie do mnie, aby się wyżalić, więc ja niektóre skargi podawałem do gazety. Byłoby już wszystko dobrze, gdyby nie Połubiec, on nigdy nie przestał mieć do mnie pretensji. Pożaliłem się kiedyś na niego majorowi, który był jeszcze w naszej wsi, ale major odpowiedział mi tak dziwnie, że z jego słów zrozumiałem tylko to, iż major jest za mną, a nie za Połubiecem... A major to przecież mądry i uczony człowiek — a że pogniwiali się na niego kumple z miasta... No, różnie w życiu bywa... Teraz sobie przypominam i to, że tamtego wieczora szwagrowie powiedzieli mi, że Połubiec wozi skargi do powiatu nie tylko na nich, ale i na

mnie. Nie przypuszczałem absolutnie, że wydarzy się to, co się stało, więc i ja wsiadłem na Połubca. „A dajcie mu nauczkę, a dobrą dajcie gówniarzowi, niech nie podskakuje, on i mnie, i was chce wpakować do więzienia” — podburzałem szwagrów. Źle zrobiłem mówiąc tak do szwagrów, bo oni i bez mojego gadania go nienawidzili. Tak sobie wykalkulowałem wtedy, że dadzą mu szwagrowie nauczkę, taką bez świadków, więc przestanie się czepiać pocziwych ludzi. Czasami sobie myślałem: ja tak samo jak Połubiec jestem za władzą, nawet krytykuję w gazecie tych, co są przeciwko, dla czego więc stale czepia się mnie i od wrogów wyzywa. Tego nijak nie mogłem pojąć. Bałem się, że Połubiec może mi zaszkodzić i mogą mi zabrać ziemię — choć inni we wsi nie bali się, że Niemcy ją z powrotem odbiorą... Pisałem o tym do swojej gazety (nazwisk nie wymieniałem), i drukowali te moje wyzwiska, jakie ułożyłem na tych, co tak mówili. Najpierw, zanim posłałem krytykę do gazety, powiedziałem o wszystkim księdzu, który zaraz wsiadł na tych, co najgłośniej pyskowali, i rugał ich mówiąc, że ziemia jest ziemią, jest święta, i tylko głupi ludzie jej nie szanują; mówił, że to ziemia polska, którą kiedyś Niemcy przywłaszczyli sobie... Sam ksiądz poradził napisać o tym do gazety i trochę mnie zwymyślał, że nie jestem pewien w stu procentach, jak jest naprawdę... Ziemia jest ziemią, jest święta i tylko głupi ludzie jej nie szanują — tak też mniej więcej ksiądz powiedział z ambony, ale nie wszystkim podobało się to jego kazanie. Tylko major przybiegł zaraz do mnie i pisaliśmy artykuł o tym, co powiedział nasz ksiądz na ambonie, i zwymyślaliśmy tych, co mówili, że czują się tu niepewni...

Kto tak, u licha, szeleści papierem? Odrywam czoło od zimnej szyby, prostuję się, ale nie otwieram jeszcze oczu.

— Szanowny panie, proszę się obudzić, śniadanie...

Szybko otwieram oczy. Przede mną stoi panienska w mundurze. Trzyma tacę, na której widzę szynkę, bułkę, jeden pomidor, kawałek kurczaka i kubek herbaty. Oficer pomaga mi rozłożyć deseczkę, która ma być stolikiem. Panienska w mundurze stawia na nim tacę.

— Smacznego — mówi uśmiechając się do mnie.

Nie wiem dlaczego, ale wstyd mi tak od razu zabrać się do jedzenia. Patrzę na oficera, który je nożem i widelcem i strach mnie oblatuje, bo ja nigdy nie umiałem jeść w taki sposób.

— To wszystko dla mnie? — pytam oficera.

Natychmiast łapię się na tym, że palnąłem głupstwo. Oficer śmieje się głośno i nieprzyjemnie, panienska w mundurze milcząco podsuwa bliżej tacę. Nie patrząc na nikogo zabieram się wreszcie do jedzenia. Jem długo, więc się pocę i duże krople spadają na tacę. Nareszcie kończę to, najlepsze w moim życiu, śniadanie, i nie mam się czym obetrzeć, bo Wanda nie dała mi chusteczki. Panienska w mundurze zabiera tacę z nieotkniętym pomidorem, nie ruszyłem go, bo wiem, że w maju pomidory są bardzo drogie. Oficer zerka na zostawionego pomidora i zaraz zapala papierosa. Ja też wyciągam swoje sporty, bo od dawna już mam ochotę zapalić. Sięgam po gazetę, żeby odchylić się od okienka, bo mnie korci spojrzeć na ziemię. Spoglądam znad gazety i widzę grubego Niemca, który siedzi teraz w koszulce z krótkimi rękawkami. Śmieje się głośno i mówi coś do panienski w mundurze. Matka oficera porusza się i kaszle, pewnie zrobiło się jej niedobrze, bo oficer podaje jej plastikową torebkę. Staruszka stęka, krztusi się i wierci wierzgając nogami. Oficer złości się i klnie po cichu. Odwracam się w bok, bo jestem wrażliwy i czuję, że zaraz może być niedobrze także ze mną...

— Pan jest taki spokojny i odważny, a swój wiek już ma... Pan jest taki spokojniutki... Widzi pan, jak wariuje ta stara? Pan to zupełnie co innego — rozpałała się jakaś baba, pochylając się w moją stronę.

— Nie odwracając się poznaję po zapachu perfum i łaskotaniu lakierowanych włosów, że to głos chudej i długiej panienci. Nie spostrzegłem się, gdy już siedziała obok mnie. Trzymała przede mną swoją malutką główkę na cieniutkiej szyi.

— Ci Grecy, przed którymi siedzę, są nieznosni, oni myślą, że każda Polka zaraz na nich polecie... Mnie tam i w Polsce dobrze... Ci Grecy za mną zachowują się jak chamy... Co pan o tym sądzi?

Złożyła wargi jak kapryśne dziecko, trochę podobnie Wandzia składała usta, gdy przychodziłem podpity.

— Coś tam kiedyś czytałem, że Polki są łatwo przystępne — wyrecytowałem z przekorą.

Nie rozzłościła się, spojrzała na mnie prawie wesoło.

— Ja o tym nie czytałam, ja o tym piszę, bo jestem pisarką... Nazywam się Eleonora Leńska... No, niech pan śmiało powie... To prawda, że pan nie czytał moich książek? — zapytała. — Najnowsza moja powieść to kryminał pod tytułem „Morderstwo o świcie” — dodała wpatrując się we mnie z napięciem.

— Nie! Nie! — krzyknąłem, bo zaczął mi się znowu przypominać Połubiec.

— Nie ma czego żałować — powiedziała, ale na mój rozum, to nie mówiła szczerze. — Pan się nie boi lecieć w tym wieku? — znowu chuda panienska-pisarka od początku. — Pewnie pierwszy raz?

— Nie boję się, pierwszy — mruczę i odwracam się od niej.

Znowu uświadamiam sobie, że jestem na wysokości siedmiu i pół kilometra, jestem więc tak wysoko jak daleko jest polną drogą ze wsi do

powiatu... Muszę natychmiast wyjść, ale nie bardzo wiem, gdzie to jest. Pewnie w tej stronie, w którą prowadzi oficer starą... O czym mogła napisać ta chuda i długa panienka? O czymże ona pisze? Na wsi byłaby już starą panną, której nikt by nie chciał...

Wstaję chwiejąc się jak pijany i robię kilka kroków. Odrobinę, a byłbym się zderzył z panienką w mundurze, która niesie tacę z cukierkami.

— Proszę bardzo — uśmiecha się jak lalka, podsuwając mi cukierki.

— Grzecznie dziękuję — mruczę. — Ja nie w tej sprawie — szepczę głupio, ale ona się wszystkiego domyśla.

— To tu — wskazuje tacą drzwi na lewo.

Wróciłem i przez chwilę zastanawiałem się, czy coś spadnie na te wielkie i piękne miasta pode mną. Mogłoby tak spaść jakiemuś ważnemu ministrowi na głowę albo na welon panny młodej, która akurat idzie do ślubu, albo... Łapię się zaraz na tym, że są to głupie myśli, znowu korci mnie, aby spojrzeć przez szybę. Słońce teraz świeci w okienko, przy którym siedzę, więc pewnie i tak nie zobaczyłbym niczego na ziemi. Dziwię się, że słońce nie jest teraz wcale większe niż wtedy, gdy szedłem za pługiem. Staram się słuchać rozmów w samolocie, ale nic nie rozumiem. Znowu, mimo własnej woli, przyciskam czoło do szybki i patrzę w niebo, a po tym ciepłym słonecznym oślepieniu na ziemię. Pod samolotem widzę ziemię, która wygląda zupełnie tak samo jak na dużych mapach albo planach wojskowych. Wszystko takie same: małe prostokąciki domów, linie dróg i rzek, plamy jezior i lasów. Na ziemi dostrzegam też czarne cienie, które wyglądają trochę tak, jakby rozlano atrament: zrazu nie mogę pojąć, co to jest. Przyglądam się pilniej i widzę, że te plamy przesuwają się do tyłu, więc domyślałam się łatwo w tych

plamach cieni chmur, których strzępy są nisko w dole na prawo od samolotu. Nagle błyska coś z ziemi i oślepia mnie jak lustro, za chwilę także już wiem co to jest. Na pewno jakieś wielkie jezioro. Od tego błysku robi mi się trochę mdło, więc przytrzymuję się ręką zimnej ramki okna. Nagle samolot opadł i uderzam głową o szybkę okienka, nie czuję jednak żadnego bólu, myślę tylko szybko i z zadowoleniem, że nie stłukłem szybki. W czasie tego uderzenia zamykam oczy i jestem pewien, że spadamy. Wciskam się mocno w siedzenie, próbując z góry zahamować spodziewane zderzenie się z ziemią, które niedługo nastąpi. I kiedy myślę, że już, już jesteśmy na ziemi, samolot szarpie się jak koń w zaprzęgu — tym razem jest to wyraźny skok do góry. Znowu samolot stoi w miejscu. Nie mogę wciąż pojąć dlaczego wydaje mi się, że samolot ciągle stoi w tym samym miejscu, że w ogóle nie posuwa się naprzód. Teraz na dobre wpatruję się w ziemię, która wygląda jak wielka wklęsła misa, najgłębsza pod samolotem, wznosząca się stopniowo, aż do chmur na horyzoncie. Widzę coraz więcej chmur zasłaniających ziemię. Znowu samolot opada, ale już łagodniej niż poprzednio. Wpinam się mocniej rękami w poręcze fotela i rozglądam się po kabinie. Wszyscy siedzą spokojnie, niektórzy rozmawiają sobie w najlepsze lub czytają gazety. Na pewno udają, że się nie boją, inaczej być nie może; więc myślę dalej: dobrze umieją udawać, jak na filmie. Stara matka oficera śpi, i jej zazdroszczę najwięcej. Nie widzę też nigdzie spadochronów, być może będą zaraz rozdawać. Panienki w mundurze też nie ma. Gdyby tu była panienka w mundurze, poprosiłbym o wodę, bo mi słabo i duszno i straszne mam pragnienie. Lecimy już ze trzy godziny, nie, tylko godzinę. Patrząc na zegarek dokładnie obliczam: lecimy dopiero godzinę i pięć minut. Gdyby na ziemi czas się

tak dłużył jak w powietrzu, nie chciałbym wcale długo spać... Jestem senny i najchętniej spałbym jak matka oficera, która już się nawet wyrzygała; ja nie ryzygałem, ale nie mogę tu dłużej wytrzymać. Okropnie się męczę; chce mi się spać i boję się zasnąć, bo przecież jestem w samolocie, tak wysoko — jak daleko jest polną drogą ze wsi do miasta powiatowego... Zamykam jednak oczy i próbuję tylko drzemać... Znowu samolot opada, ale nic mi nie jest, bo trzymam się mocno poręczy i jestem przywiązany pasem. Nie, nie otworzę oczu, niech się dzieje, co chce... Nie otworzę oczu, niech wszyscy myślą, że śpię sobie w najlepsze... Niech się dzieje, co chce, i niech wszyscy myślą, że śpię sobie w najlepsze i mam to wszystko gdzieś... Nie otworzę oczu... Ale tu, w tej mojej ciemności widzę nagle znowu Połubca... Czemu akurat znowu Połubca...? Nic nie mogę na to poradzić, widzę właśnie twarz Połubca, poznaję go... Znowu uśmiecha się do mnie, jakby wszystko wiedział... Uśmiecha się, jakby i to wiedział, że tego wieczora, na dwa dni przed tamtym dniem, gdy wróciłem do domu, jakoś od razu było mi nieswojo. Nie chybi, to było przeczucie, bo opowiedziałem Wandzi o tym, że szwagrowie chcą zabić Połubca. Sam w to nie wierzyłem, ale Wandzi powtórzyłem wszystko, zdaje się trochę po to, aby mnie uspokoiła.

— Płyną ci, Stefan, takie myśli do głowy jak gówno do brzegu — odpowiedziała ze złością Wandzia.

— Ja już dobrze wiem, jak moi szwagrowie nienawidzą Połubca. Widziałem, jakie mieli oczy, kiedy dziś o nim mówili, ja wiem, co znaczą takie oczy... Może po trzeźwemu nic mu nie zrobią, ale po pijanemu, niech ręka boska broni — ja znowu swoje.

— Co!! Może bronisz tego łachmyty? On stał ostatni w kolejce, kiedy Pan Bóg dawał rozum, albo i w ogóle go tam nie było, bo przecież on antychryst i do koś-

ciola nie chodzi! — rozzłościła się już na dobre Wandzia.

— Chodzi, czy nie chodzi, jego rzecz. On nie jest taki głupi, tylko nerwowy i w gorącej wodzie kąpany, chce jak najlepiej dla ludzi, tylko nie umie z nimi żyć... Na pewno on życzy ludziom jak najlepiej, może tylko w głupi sposób rozmawia z nimi, może chce ich dobra na swój, trochę durny i dziwaczny sposób — powtórzyłem dokładnie majorowe słowa o Połubcu.

— Czego ty go bronisz, mało to razy na ciebie donosił!...

— Wandziu, może to wszystko nieprawda — mówię, ale już ciszej, bez przekonania.

— Kładź się spać, boś się schlał! — na to Wandzia. — Połubca nie żałuj, bo on by ciebie nie żałował, dosyć już naznęcał się nad moimi braćmi... Zobaczysz, oni kiedyś go porządnie urządują i nigdzie nie znajdzie sprawiedliwości... Mówię ci, Połubca nie żałuj, bo nie ma kogo żałować, chyba żeś taki sam jak on... — kończy Wandzia i gasi światło...

Nic już jej nie odpowiedziałem, ale w nocy, kiedy Wandzia spała sobie w najlepsze, ja długo nie mogłem zasnąć, przewracałem się z boku na bok i sen wciąż się mnie nie imał. Widziałem wszystko w najczarniejszych kolorach, a może właśnie w takich kolorach, jakie były prawdziwe. Dzisiaj jestem pewien, że było to przeczucie, i nikt mnie nie przekona, że mogło być inaczej. Już tamtej, bezsennej nocy nie mogłem sobie darować, że podburzyłem szwagrów przeciw Połubcowi. Miałem swoją zasadę, nigdy nie wtrącać się do cudzych kłótni — tylko tamtego wieczora coś mnie skusiło przemówić przeciw Połubcowi. Wiedziałem dobrze, że ludzie zawsze się kłócą, potem godzą, i jeśli ktoś inny wtrąci się do ich kłótni, zwałają na niego całą winę. Naprawdę, wtedy chyba sam diabeł mnie podkusił...

Stało się to już w dwa dni po tamtym wieczorze, podczas którego byłem u Koterskich. Co ja wtedy robiłem? Tak, już sobie przypominam: ostrzę kosę przed wyjściem na łąkę i naraz widzę, jak ludzie biegną przez wieś i lamentują. Zrazu nie wiedziałem, o co chodzi, pomyślałem sobie, że pali się gdzieś, bo mi tamto, co się stało, nie mogło nawet przejść przez głowę. Wzięłem kosę na ramię i najspokojniej w świecie podchodzę do płotu.

— Połubca zabili! Koterscy zabili Połubca widłami!!

We mnie jakby strzelił piorun z jasnego nieba, kosa spadła z ramienia i przecięła but, ale zobaczyłem ten przecięty but dopiero na drugi dzień. Pobieglem i ja do chałupy Połubca; biegłem i bałem się ludziom spojrzeć w oczy, choć oni nie mogli przecież niczego wiedzieć. Leżał w progu swojej chałupy i jeszcze charczał, a przed nim ścieżka pełna krwi, bo się czołgał aż ze stodoły. Niedługo potem przyjechało pogotowie, ale wcale go nie zabrali, lekarz kazał już tylko okryć go prześcieradłem. Zostałem w chałupie Połubca i siedziałem tam całą noc. Już był umyty, więc leżał sobie spokojnie i wcale nie miał żadnego widocznego śladu uderzenia. Leżał, jakby spał... Patrzył tylko na mnie... Przy-mrużył tak oczy, jak gdyby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że wszystko wie... Miał przymknięte powieki, ale szpareczkami mnie widział, wciąż wydawało mi się, że wie, co mówiłem w tamten wieczór do szwagrów i co o nim zawsze myślałem. Odwracałem się od niego i patrzyłem w okno, nie miałem jednak siły wyjść z chałupy. Szwagrów zabrała milicja, przed którą nawet nie uciekali, bo bardziej bali się ludzi ze wsi, którzy chcieli ich rozszarpać, nawet ci, co nie lubili Połubca. Potem ludzie trochę się uspokoili, a niektórzy, i to wcale nie wrogowie Połubca, mówili cicho to samo co dzieci, które były niedaleko w tamto południe, że Połu-

biec wyszedł ze stodoły z widłami i zastąpił drogę Koterskim. Na mój rozum, dziwne było tylko to, że on żadnego nawet porządnie nie przetrącił, a jego zabili... Jeszcze inni mówili nieśmiało i cicho, że Koterscy długo nie mogli Połubcowi odebrać wideł... Podobno szwagrowie krzyczeli do milicjantów, że cała wieś nie lubiła Połubca, bo nie dawał ludziom żyć, więc co teraz ludzie od nich chcą. Kiedy tak krzyczeli, mieli na pewno na myśli i mnie. Chciałem jechać do więzienia i powiedzieć co myślę o swoich szwagrach, ale teraz to przecież oni też są biedni... No, nie stoję po stronie szwagrów choć Wanda podnosiła często lament, że oni bronili się tylko, że jeżeli Połubiec był chuchro i gruzlik, to po co ich zaczepiał... Znalazłem się w trudnym położeniu, byłem winien i jakbym nie był winien, i nie wiem do dziś, jak jest naprawdę... Szwagrowie nic nie powiedzieli o mnie, bo prokurator wcale o tym wieczorze nie wspominał. Wandzia zakazała mi mówić źle o szwagrach, a kiedy odpowiedziałem jej, że oni przecież zabili człowieka, krzyknęła:

— Umarłego nie wskrzesisz, a chcesz, żeby i ich powiesili?!

Niby miała rację, ale znowu co noc, kiedy ona spokojnie sobie spała, ja widziałem zawsze twarz Połubca... Niby miała rację, ale ta twarz Połubca... I to jego patrzenie szparkami powiek... Nie, nie miała racji, nie miała... Szwagrowie Połubca zabili widłami, i ja ich namawiałem do tego...,

— Czy panu niedobrze? — usłyszałem głos matki oficera, i nie otwierając oczu odgadłem po samym szeleście, że podsuwa mi papierową torebkę. — Mnie już przeszło, dwa palce do ust i po wszystkim.

— Łaskawie dziękuję — powiedziałem otwierając oczy i nie byłem wcale na nią zły, wręcz odwrotnie, uśmiechnąłem się przyjaźnie i z wdzięcznością.

Matka oficera, nie wiedzieć dlaczego, spojrzała na mnie ze złością.

— Też bohater! — powiedziała zgrzytliwym głosem, więc ja znowu zamknąłem oczy, żeby uciec przed tą starą.

Pamiętam, że im dłużej trwało śledztwo, tym głośniej niektórzy we wsi mówili, że Połubiec to wcale nie był taki anioł, że zawsze był nerwowy i nienawidził ludzi... Ci sami mówili dalej jeszcze głośniej, że to Połubiec rzucił się tamtego dnia na szwagrów, którzy pędzili krowy do stawu obok jego stodoły. Zastąpił im drogę i rzucił się na nich z widłami, więc oni odebrali mu widły i uderzyli go kilka razy drewnianym trzonkiem. Połubiec jednak nie miał czegoś w porządku ze zdrowiem i zmarł tego samego dnia, godzinę później, zanim zdążyło przyjechać pogotowie. A jeszcze inni, ci najbardziej zawzięci, mówili, że szwagrowie musieli się bronić, bo mierzył w nich wcale nie drewnianym trzonkiem, a żelaznymi zębami wideł... Słuchałem tego ludzkiego gadania i nie odzywałem się słowem. Moje milczenie zaczęło się nie podobać ludziom. Gniewało ich to, że nie opowiadam się po żadnej ze stron i nawet niechętnie ich słucham, gdy się kłócą na temat szwagrów i Połubca. Ludzie dziwili się, że nie popieram Koterskich, choć to moi szwagrowie... Moje milczenie najbardziej nie podobało się Wandzi, ale ją rozumiem, przecież ona jest rodzoną siostrą Koterskich. Ja jednak nadal uparcie milczałem, bo wiedziałem już wtedy, że sumienie odtąd będzie mnie zawsze szarpać — wiem, że jak się we mnie coś zacznie, to już nigdy nie popuści. Potem często przypominał mi się tamten wieczór u szwagrów, dokładnie pamiętam, co wtedy mówiłem... W tych rozważaniach przypominałem sobie i to, że szwagrowie nigdy mi nie pomagali, choć byli przecież rodziną — a Połubiec choć często

na mnie psioczył, pomagał mi jednak, jak miałem coś pilnego do zrobienia. Wyszło też na jaw, że ten jego donos na mnie, to ludzkie plotki. Najczęściej jednak, tak jak teraz, przypominał mi się tamten wieczór u szwagrów, na dwa dni przed tym zdarzeniem. Ileż ja razy widziałem te głupie ogórki ociekające wodą, ogórki, które szwagrowie nadziewali na widelce, że niby to każdym ogórkiem miał być dla nich Połubiec. Szwagrowie tamtego wieczoru byli mocno pijani, ogórki wymykały się im spod widelców, więc pocili się i kleli, ale nie przestawali je nakłuwac, bo byli zawzięci, jak nigdy...

Jakże tu duszno i gorąco, po co Wandzia kazała mi włożyć ten garnitur z sukna, chociaż skąd ona mogła wiedzieć, że polecę samolotem? Jak jej powiem o tym po powrocie, jeżeli wrócę szczęśliwie, na pewno dostanie ataku serca!... Nie, nic jej nie powiem... Jeszcze nigdy nie byłem w takim ukropie i nie mam się czym wytrzeć, ludzie w samolocie pewnie myślą, że pocę się ze strachu. Cholera, że nie mogę zdjąć marynarki jak ten Niemiec, bo nie wziąłem spinek i mam rękawy koszuli podwinięte. Po co ona kazała wziąć to najlepsze ubranie, chciałem przecież włożyć gorsze, takie cienkie jak u innych. Kiedy się upierałem, żeby wziąć gorsze, Wandzia powiedziała, że głodny może przejść ulicą i nikt o tym nie będzie wiedział, ale jak wyjdzie goły, albo źle ubrany, wszyscy zaraz zobaczą. Niby miała rację, ale niezupełnie... Dla świętego spokoju wziąłem więc to ubranie z grubego sukna i teraz żałuję, że jej posłuchałem... Takie samo czarne, sukienne ubranie miał Połubiec, i leżał w swojej trumnie także spocony, ten pot zaczynał już śmierdzieć, bo była wtedy już połowa maja. Połubcowa cały dzień paliła w pokoju, gdzie leżał, jakby to było potrzebne. Połubcowa chyba akurat wtedy zwariowała, bo krzyczała bez

przerwy, że taki zimny jest jej Felek i nijak nie może go ogrzać. I nie sposób było Połubcowej przekonać, że nie potrzeba go ogrzewać, bo krzyczała jeszcze głośniej, że wszyscy byliśmy jego wrogami i jeszcze teraz źle mu życzymy. Potem, kiedy Połubca pochowano, patrzyła na ludzi i jakby ich nie widziała, ale już do nikogo nie miała żalu. Patrzyła tylko i nic nie mówiła, więc ludzie zaczęli się bać jej patrzenia i schodzili z drogi. Na mnie też tylko patrzyła, choć wiedziała, ile to razy klóciłem się z jej Felkiem, patrzyła tylko na mnie, a mnie się zawsze wydawało, że w jej oczach czai się Połubiec, więc też schodziłem z drogi... Połubcowa była zawsze dobrą kobieciną, choć z Połubcem nie miała spokojnego życia, bo był nerwowy. Po jego śmierci zdała gospodarkę i poszła pięć kilometrów do pegeeru i tam już została; zdaje się, że w zeszłym roku wydała najstarszą córkę za jakiegoś majstra budowlanego...

Podnoszę głowę i znowu widzę przechodzącą panienkę w mundurze. Ta to się niczego nie boi! Ile razy ona leciała? Może już i odwykła od ziemi, jak ja nigdy nie przywykłbym do takiej wysokości. Jak gdyby nigdy nic roznosi cukierki niczym kelnerka w kawiarni. Nieśie teraz komuś tacę z kubkiem, chce mi się pić, ale odwracam głowę, bo jeszcze zobaczy, jaki jestem spocyny i pomyśli sobie, że to tak ze strachu. Przecieram rękawem okienko zasnutę mgiełką pary mego oddechu. Znowu korci mnie spojrzeć na ziemię, ale opieram się tej chęci. Trzymam twarz z rozpląszczonym nosem na szybie i liczę nity na srebrnym skrzydle samolotu — dziwię się, dlaczego skrzydło posztukowane jest tyloma kawałkami, jakby w fabrykach nie mieli większych części blachy. Zerkam do tyłu, ale oprócz rąbka ogona nic nie widzę. Przyciskam mocniej twarz do zimnej szyby i za wszelką cenę chcę wytrzymać, nie patrząc na ziemię.

Zawsze bałem się wysokości, i nie wchodziłem na drabinę wyżej niż kilka szczebli. Kiedy budowałem tę małą stodołę, którą ten smarkacz kierownik już pewnie rozwalił, pokrywałem ją dachówką na ślepo, z zamkniętymi oczami. Wiedziałem, że jeżeli spojrzę w dół, będę musiał zaraz zejść na ziemię. Co to jest, że jeżeli jestem gdzieś wysoko, zawsze mnie ciągnie, aby zrobić krok na dół? Co to u licha jest? Dotychczas nikogo nie pytałem o to, bo się wstydziłem. W tym naszym zakładzie, gdzie stróżuję, nie mogę patrzeć przez okno z piętra, muszę zaraz odchodzić do drzwi, jakby od jakiegoś magnesu. Znowu nagle, jeszcze bardziej niespodziewanie niż przedtem, samolot zadrżał i drży o wiele dłużej niż poprzednio. Może zepsuło się coś w motorze? Samolot jakby zaczyna opadać, więc znowu wpijam się palcami w poręczę siedzenia. Czuję w piersi rozrzedzone powietrze i serce jakby pęczyło, czuję wyraźnie jego bicie głośniejsze od tykania zegarka. Czekam z napięciem wczepiony palcami, w poręczę, ale samolot już więcej nie opada. Zerkam na pas, którym jestem przywiązany, i tak sobie myślę, że lepiej byłoby bez tego pasa, bo w razie czego człowiek zostanie tu jak na łańcuchu...

Otwieram trochę oczy i rozglądam się po kabinie. Wszyscy nadal siedzą spokojnie, dwóch mężczyzn w siatkowych koszulach, których nie zauważyłem w autobusie, gra w szachy, gruby Niemiec znowu rozmawia z panienką w mundurze, chudej i długiej panienki-pisarki nie ma w pobliżu. Spostrzegam nagle, że siedzę zgarbiony i skulony, kurczowo trzymając się rękami poręczy fotela, prostuję się więc szybko, sprawdzając jednocześnie, czy nikt na mnie nie patrzy. Unoszę ręce i widzę swoje stare, pomarszczone, pełne bruzd dłonie, straszliwie czarne paznokcie, i wstydzę się swoich rąk, które nie pasują do tego czyściutkiego pomiesz-

czenia samolotu i zapachu perfum... Ci wszyscy obok mnie lecą w bardzo ważnych sprawach, a ja dla zachcianki, żeby pokazać tym młokosom z redakcji... Szkoda, że nie ma tutaj nikogo znajomego, najlepiej gdyby był ze mną Walenty, ten drugi stróż, to bym sobie z nim pogadał i czas zleciałby szybciej. Patrząc na zegarek i wiem, że lecimy dopiero półtorej godziny. Nagle, zupełnie o tym nie myśląc, zerkam na ziemię. Nic nie widać oprócz chmur, które zasłaniają ziemię, a może już nie ma pod nami ziemi, może lecimy obok ziemi jak obok piłki... Myślę, szybko i niespodziewanie dla samego siebie, jakby ten Niemiec wyglądał za pługiem albo z widłami... Do cholery z tymi widłami, przecież już się uspokoiłem i za pół godziny będę na ziemi... To pole było jednak Połubca, ale innej drogi tamtędy nie ma, żeby krowy przepędzić do stawu, a tamtego popołudnia było bardzo gorąco... Mnie także raz wzywali, abym zeznawał i dużo mówił, a przecież nie miałem nic do powiedzenia...

— Obywatel jest jednym z najmądrzejszych we wsi, pisze nawet do gazet... Czy to prawda? — zapytał prokurator.

Do cholery, co to go obchodzi, że piszę do gazet, po co się czepia, to moja sprawa. Najmądrzejszy? Jak mu odpowiedzieć na kpinę, to przecież władza. Milczę, czekam na sposobniejszą chwilę, choć najchętniej w ogóle nic nie mówiłbym. Wiem jednak dobrze, że wzywali mnie po to, żebym dużo gadał.

— Jacy oni byli, ci wasi szwagrowie, obywatelu? — pyta prokurator.

W dalszym ciągu milczę.

— Może powiecie, że jak wszyscy we wsi? Co?

Jeszcze milczę.

— Podobno nerwowi i wrogowie? No, powiedzcie, jacy oni są?

Prokurator wstał.

— Jak wszyscy — odpowiadam poprzednim pytaniem prokuratora, bo wykalkulowałem, że tak będzie najwygodniej.

— Co to znaczy, obywatelu! Korespondent gazety zdania nie potrafi wykrztusić! Widzicie go, powiada obywatel, że wasi szwagrowie byli tacy sami jak wszyscy!!! To i może do was podobni, to może i do mnie podobni? Co? — zapytał pochylając się.

— Tak — mruknąłem do swoich myśli i dopiero teraz zrozumiałem pytanie prokuratora.

Poczułem jego szybki i kwaśny oddech koło mojej twarzy. Prokurator milczał przez chwilę, jak gdyby odebrało mu naraz mowę. Wrócił za biurko i dopiero teraz roześmiał się głośno — wiedziałem jednak, że nie jest to śmiech szczery.

— A to dobre! — wykrztusił udając wesołego. — Umiecie żartować obywatelu, więc nie jesteście tacy nierozgarnięci — mrugnął do mnie jednym okiem. — A jaki wobec tego był Połubiec? Też jak wszyscy, jak wasi szwagrowie, na przykład? — ostatnie pytanie wykrztusił z trudem.

— Tak — odpowiedziałem teraz głośniejszym głosem.

Prokurator nie patrzył teraz na mnie, wstał i podszedł do drzwi.

— Zdaje się obywatelu, że jesteście przemęczeni, pewnie pracujecie za dużo... Do widzenia, obywatelu... Wyślemy wam wezwanie na kiedy indziej — powiedział i otworzył mi drzwi.

Tak się skończyła ta pierwsza rozmowa z prokuratorem, pierwsza i ostatnia, bo już mnie więcej nie wzywali. Ja wtedy nie byłem ani zmęczony, ani taki głupi, jak ten prokurator sobie myślał. Przecież nie mogłem mówić nic złego ani na szwagrów, ani na Połubca.

A gdybym miał mówić wszystko, musiałbym też powtórzyć rozmowę ze szwagrami z tamtego wieczora i wszystko to, co często mówiłem we wsi o Połubcu. Wandzia miała chyba sporo racji, kiedy przekonywała mnie słowami: „Jego nie wskrzesisz, a tamtych mogą powiesić”. Nie mogłem mówić przeciw szwagrom, bo to rodzina, nie mogłem też przeciw Połubcowi, bo już nie żył i był zawsze za władzą, za którą i ja byłem — a ta dzisiejsza jest najlepsza ze wszystkich, jakie pamiętam, bo dała mi ziemię, chałupę i wszystko co trzeba do gospodarki. Przed wojną pracowałem na pańskim, a teraz znać się coś we wsi. Ludzie już dawno przestali się krzywić, że piszę do gazety, zrozumieli, że im pomagam, i od dawna wszyscy się mnie radzili, a ja im pomagałem jeszcze więcej, bo byli mi wdzięczni i szanowali mnie. Ważne było dla mnie i to, że drukowali moje nazwisko w gazecie i cała Polska czytała to wszystko, co ja napisałem. Wiedziałem dobrze, że zrobił to wszystko ten rząd, za którym byliśmy i ja, i Połubiec... Po tym dniu, kiedy tamto się stało, przypominałem sobie coraz częściej, jak razem z Połubcem użeraliśmy się z ludźmi, że niszczą gospodarki i o nic nie dbają, jakby te gospodarki, które mają, nie były ich własnością. Nie mogłem prokuratorowi mówić przeciw Połubcowi, bo byłbym przeciw sobie, nie mogłem przeciw szwagrom, bo byłbym przeciw Wandzi. Stale też miałem w pamięci to, że podburzałem szwagrów przeciw Połubcowi i wiedziałem, że złość na Połubca dawno mi przeszła. Cieszyłem się więc, że nie wzywają już mnie więcej do prokuratora.

Co się stało? Ten siwy człowiek w zielonej koszuli przede mną spada na mnie ze swoim fotelem, przyciska mnie oparciem i nijak nie mogę wydostać nóg. Pewniem od razu aż jęknął, bo ten z fotela przede mną odwrócił się:

— Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

Kręcę głową, że nie przeszkadza, bo już wydostałem nogi spod oparcia. Mignęła na chwilę przed moimi oczami jego stara, pomarszczona twarz i wydaje mi się znajoma: ...Skąd ja znam tego przede mną? Skąd ja go mogę znać? Pewnie widziałem go gdzieś w Warszawie, bo w naszej okolicy nie było takiego, i on wyglądał na jakiegoś ważniejszego gościa. Zagadnę go, bo mnie pali ciekawość, chyba się nie obrazi. Nie poznał mnie... Jak wysiadziemy, zapytam go o nazwisko albo jeszcze lepiej, od razu powiem mu swoje. Co on robi? Czyta jakąś gazetę? Zdaje się, że niechcący go trąciłem, więc szybko odwracam się do okna. Znowu lecimy nad chmurami. Tylko chmury pod nami i mgła... Mgła rzadziutka jak puchowe pierze... Jeśli są chmury, to musimy być nad ziemią... Tylko nad ziemią są chmury, obok niej ich nie ma, bo nie ma co parować, a chmury są przecież z pary...

Moich szwagrów posadzili na dziesięć lat i odtąd prawie co tydzień przyjeżdżało pogotowie do Wandzi. Pewnego razu doktor nawet powiedział, że już umarła, ale to był bardzo młodziutki doktor, zaraz po szkole. Wandzia nie umarła, na gospodarce jednak nie miał już kto robić... Wandzia chorowała, a Rysiek był już od kilku lat w szkole... W wakacje, co prawda, Rysiek trochę pomagał, ale jak skończył politechnikę, to już na wakacje nie przyjeżdżał do domu... Został inżynierem i zaraz się ożenił... Wandzia krzyczała przez sen, ale jej krzyk nic nie pomógł... Rysiek był już żonaty i na wakacje nie przyjeżdżał nam pomagać. Do roboty na gospodarce zostałem tylko ja sam i sam tyrałem od rana do nocy, więc szło mi coraz gorzej. Powoli zaczynałem być gorszy od tych, co się przedtem do mnie nawet nie umywali — i to mnie bardzo bolało; jak przychodziła niedziela, wstydziłem się pokazać we wsi. To był bardzo

niedobry dla mnie czas, wtedy właśnie i do gazet przestałem pisać, i nawet nie wypadało tego robić, bo nie byłem już dobrym gospodarzem. Wandzia ciągle jęczała, żeby rzucić gospodarkę i wyjechać do miasta; mówiła, że ona będzie bawić miastowe dzieci, a ja zawsze znajdę jakąś robotę, choćby stróżowanie. Niedługo potem Wandzia zaczęła mdleć przy najłżejszej robocie. To było akurat wtedy, gdy trzech dobrych gospodarzy we wsi rzuciło gospodarkę, a wśród nich Rokosz, jeden z najlepszych. Rokoszowi wszyscy się dziwili i odradzali, ale on nikogo nie posłuchał, sprzedał i wyjechał do jakiegoś pegeeru na magazyniera. Kiedy wyjeżdżał Rokosz, moja gospodarka była już jedną z najgorszych... Klnę się na Boga, nie było to z mojej winy, bo sam na gospodarce choćbyś ręce urobił, i tak nie podolasz... Doktorzy zaczęli mówić, że Wandzia nie powinna pracować, i ciągle ją straszili. Wandzia odtąd co dzień krzyczała, że jeśli nie rzucimy gospodarki, umrze któregoś dnia przy robocie i będzie to moja wina. Nie szło ani gospodarować w pojedynkę, ani też rzucać gospodarki, bo gdzie ja tam nadaję się do miasta. Najbardziej jednak żał mi było ziemi, bo ja miałem jej sporo, a mój ojciec i dziad w ogóle nie mieli ani kawałeczka i obaj do śmierci marzyli choćby o dwóch morgach... Nie potrafiłem zrobić ni tak, ni owak i poradzić się teraz już nie było kogo, bo majora nie było we wsi. Wyjechał też nasz fajny ksiądz, a ten nowy nie gadał z nikim po próżnicy i nigdy nie mówił do nas z ambony, że ziemia jest święta i trzeba ją szanować. Ten nowy ksiądz krzyczał wciąż, a nawet kłął, że ludzie grzeszą i Boga nie mają w sercu, na kościół nie dają i w niedzielę zwożą zboże... A kiedy Wandzia przez cały miesiąc nie wstawała z łóżka, napisałem do Ryśka, więc przyjechał i powiedział, że jeżeli chcemy, to przeniesmy się do miasta, on się do niczego nie chce wtrą-

cać, żeby nie było potem na niego, jeżeli w mieście będzie gorzej. Wiedziałem i ja dobrze, że w mieście życie nielekkie i my niezwyčajni miasta, więc jeszcze się broniłem przed wyjazdem... Zacząłem najmować sąsiadów i chłopców ze wsi do roboty, ale to kosztowało i robili bez serca; nie zawsze też można było najać kogoś, bo w czasie pilnych robót nikt nie chciał przyjść. Jakoś na wiosnę koń mnie kopnął i lewa ręka mnie bolała, więc bywało, że nawet gnój wyrzucałem jedną ręką...

Niektórzy we wsi śmieli się ze mnie, że byłem kiedyś gospodarzem całą gębą, z innych kpilem w gazetach, a teraz na dziady zszedłem. Co głupszy mówili, po com syna wyuczył, zostałby na gospodarce i wszystko byłoby dobrze... Ja tam wiedziałem swoje: to, czego mnie ojciec nauczył i o czym matka często mówiła, że największy majątek to to co w głowie. Dlatego chyba, choć byli biedni, zaczęli mnie posyłać do szkoły, ale skończyłem tylko dwie klasy, bo już dalej moi rodzice nie mogli ciągnąć i musiałem stanąć do roboty na folwarku... Najgłupszy ci byli, co mówili, po com Ryśka wyuczył. A co, miał siedzieć całe życie w gnoju jak ja? Niech choć on zazna życia, kiedy jest okazja i rząd chce wszystkich uczyć... Tylko co będzie, jak wszyscy zostaną uczonymi, kto będzie wtedy robić na gospodarce... ale to już nie moja rzecz, niech się tam martwią mądrzejsi od nas... Gdyby żył Andrzej, zostałby na gospodarce, bo on miał chęć do roli, ale jego zabili, jak był w ruskiej partyzantce i wysadzał niemiecki pociąg. Rysiek nie miał nigdy drygu do roli, więc nie przymuszałem... Kiedy zrozumiał, że już ze mną koniec, zacząłem wszystko sprzedawać, robiłem to powoli, bom chciał jeszcze choć trochę we wsi posiedzieć, bojąc się miasta. Wanda się piekliła, że tak się guzdrzę, ale jakoś ścierpiałem jej gadanie i jeszcze do jesieni, nawet prawie do zimy, posiedziałem na wsi. Dopiero kiedy sprzedałem

konie i krówy, nie było już po co na roli siedzieć. Mówiąc szczerze, to jeszcze miesiąc myślałem, że może się coś odmieni i zostaniemy z Wandzią na wsi, ale nic się nie odmieniło... W gminie i w powiecie najpierw nie chcieli przyjąć gospodarki, ale Rysiek zaraz pomógł i zostawiłem wszystko pegeerowi. Na początku listopada przenieśliśmy się z Wandzią do miasta, nie powiem, dali nam od razu duży pokój z kuchnią. Zacząłem chodzić stróżować, tydzień w dzień, tydzień w nocy, na zmianę z Walentym, tym drugim stróżem... Aha, jeszcze to, jak zabierałem ze wsi ostatni grat, to chciało mi się płakać, choć dla ludzkiego oka śmiałem się, bo mi niektórzy zazdrościli, że będę odtąd miastowy i tak się nie narobię. Nie mogłem przecież powiedzieć im w oczy, że są głupi i nie mają mi czego zazdrościć... Muszę przyznać, że jedno zmieniło się na lepsze. Wandzia teraz już zdrowsza. Dla siebie to ja i tu kolegów nie mam, miastowi jacyś inni, inaczej mówią, inaczej myślą. I z tym księdzem w mieście nie gada się tak, jak się gadało z tamtym, co był dawniej na wsi. Nawet apetytu do jedzenia nie mam w mieście i chyba zupełnie skapieję... Rysiek też rzadko zagląda, choć przecież mieszkamy w tym samym mieście, tyle, że na przeciwnych końcach...

Już wiele razy chciałem pojechać na wieś, zobaczyć moją gospodarkę, pogadać z sąsiadami, Lalko jest mi winien jeszcze za owies... Nie pojadę, nie, bo mógłbym się upić i głupstw napleść, wygadać się przed ludźmi, że mi w mieście niedobrze i tęskno za wsią. Po co ludzie mają się cieszyć, że mi w mieście gorzej, niech lepiej zazdroszczą... Nie pojadę nigdy na wieś, wystarczy, że wyjeżdżam często autobusem za miasto przejść się tamtędy, gdzie mieszkają podmiejscy gospodarze. Chciałem już kilka razy, kiedy miałem wolne dni, najać się do

któregoś z tych miejskich, ale zawsze się rozmyśliłem, bo co to z nich za gospodarze. Chętnie rozruszałbym jednak kości, bo przy tym stróżowaniu zupełnie zramoleję, a przecież nie jestem jeszcze taki stary. Latem w czasie stróżowania najczęściej siedzę, ale zimą mróz, więc chodzę ze dwadzieścia kroków tam i z powrotem. Rankiem myślę sobie czasem, że nie widzę tu nawet wschodu słońca, bo zasłaniają domy... Długo nie mogłem się przyzwyczaić do stróżowania i nierobienia niczego — na początku dziwiłem się nawet, za co będą mi jeszcze płacić, ale minął miesiąc i zapłacili. Wiem teraz, że najgorsza to taka praca, przy której siedzi się i nic nie robi, przy takiej pracy to się człowiekowi i żyć odechciewa. Najgorzej było w pierwszych dniach stróżowania, bo nie byłem przyzwyczajony do takiego siedzenia bez roboty. Prawdę mówiąc, to na wsi też stróżowałem, chodziłem na wiosnę pilnować kartofli przed dzikami, ale było to zupełnie inne stróżowanie i nikt mi za to nie płacił, i ja wiedziałem, przed kim mam pilnować kartofli... W czasie tego miejskiego stróżowania poznałem sporo ludzi mieszkających przy tej ulicy. Widzę zawsze, kto najpóźniej wraca do domu, kto najwięcej pije i jakie chłopaki chodzą tu do panienek. Do tej, na przykład, obok bramy już trzeci chodzi w tym miesiącu i ten ostatni wraca najpóźniej; wiem także, że urzędnik w okularach z pierwszego piętra naprzeciwko przychodzi z jakąś babą zaraz po odprowadzeniu żony na stację. Pewnie żona do Warszawy jeździ, bo godzina się zgadza. Tylko żona tego urzędnika i dwóch robotników z Roszarni, z którymi piłem piwo, mówią mi „dzień dobry”, a staruszka z końca ulicy mówi nawet „pochwalony”, ale ona już jest bardzo stara i pewnie też przyjechała ze wsi... A gdybym zaczął teraz pisać do gazety? Nie, teraz nie miałbym o czym pisać... To nie to, co na

wsi, tam pisałem o geesie, o pegeerze, o sąsiadach, co stosowali nawozy i mieli urodzaje, o gospodarzach co wykarmiali tuczniki po dwa i pół metra...

Co oni znowu zapowiadają przez głośnik? Tak... Tak, mówią, że lądowanie za dziesięć minut. Nareszcie... Jeszcze tylko dziesięć minut i po całym strachu. Ziemi jednak nie widać, a pod nami jeszcze chmury... Mówią już o lądowaniu, a samolot w dalszym ciągu jakby stał w miejscu, choć wiadomo, że leci bardzo szybko. Ile? Tak, podobno osiemset czterdzieści kilometrów na godzinę... Ja furmanką jeździłem siedem i pół kilometra ze wsi do powiatu, to znaczy się tak daleko jeździłem przez godzinę jak wysoko teraz jestem... Spadłoby się stąd te siedem i pół kilometra o wiele szybciej...

— Proszę, niech się pan obudzi... Niektórzy denerwowali się, a pan spokojnie, w najlepsze sobie spał — usłyszałem głos panienki-pisarki.

— Ach — mruknąłem obudzony z zamyślenia i odwróciłem się do niej.

Natknąłem się wprost na jej twarz, bo znowu siedziała obok mnie. Może zechce mnie opisać w jakichś swoich książkach, jestem bardzo ciekawy, co też ona napisałaby o mnie. Przyglądałem się jej uparcie i jakby ze zdziwieniem — jakbym ją dopiero teraz zobaczył i chciał jej twarz na zawsze zapamiętać... Naraz mijając moją twarz o milimetry nachyliła się do mego pasa.

— Widzę, że pan już zdążył zapiąć. Kiedy pan to zrobił? — powiedziała z pretensją. — Ja chciałam panu pomóc...

— Widzi pani, że dałem sobie radę sam — odpowiedziałem odsuwając się znowu odurzony jej zapachem.

Chuda panienka-pisarka wzruszyła tylko ramionami i wróciła na swoje miejsce. Zdaje się, że panienka w mundurze i furażerze skrzyczała ją za to, że szwenda

się po całej kabinie przed samym lądowaniem. Tamta jakby dla usprawiedliwienia wskazała mnie ruchem głowy... Panienska w mundurze podeszła do mnie.

— Spał pan tutaj chyba smaczniej niż w domu, a ten gruby Niemiec hysterii dostawał i było z nim nawet sporo kłopotów podczas burzy — mówiła do mnie ze śmiechem.

Może i smaczniej, pewnie, że spokojniej i smaczniej... Co to ją obchodzi... Czemu ona z tym Niemcem zajeżdża? Kiedy była ta burza? Wcale nie pamiętam, kiedy była burza? A może ona żartowała, może nie było żadnej burzy? Pewnie jednak była wtedy, gdy rzuciło kilka razy... Niemiec musiał się na tym poznać, bo pewnie służył w lotnictwie... Co on mnie zresztą obchodzi? Nad wejściem do następnej kabiny czerwony napis: „zapiąć pasy — nie wolno palić”. Jota w jotę to samo, co przy wznoszeniu się w górę... Nagle te czerwone litery biegają jak iskry parowozu. Nie wiem, czemu akurat teraz nie wolno palić. Nie wiem... Czuje, o jak czuje, zaczyna się już opadanie... Znowu w piersiach rozrzedzone powietrze, jak kiedyś na huśtawce... Czemu ten samolot tak pędzi, czemu akurat teraz, mógłby przecież trochę wolniej? Dlaczego akurat teraz tak szybko? Zaraz będziemy w chmurach i pewnie lotnik nic nie zobaczy, zupełnie nic... Jesteśmy już w chmurach... To co wydawało się chmurami, jest tylko przejrzystą, puchową mgiełką... Chwała Bogu... O, jaki teraz długi sus spadania... O Boże! Całe moje ciało w naprężeniu, jakby do jakiegoś skoku, a przecież wokoło mnie ten pas. Czy oni naprawdę nie mają tu spadochronów? Nie dali, bo nic nie grozi. Nie ma już chmur, nie ma już tej delikatnej, rozrzedzonej mgły. W dole wszystko się powiększa i poszerza, coraz większe domy, szersze ulice... Już nawet widać wysokość domów... Samolot wciąż jednak krąży nad jakąś wodą, domy trochę dalej, lotniska w

ogóle nie widać... Teraz lecimy wprost na domy... W tę ulicę, gdzie na zmianę z Walentym stróżuję, raz w nocy, raz w dzień... Boże, czemu on teraz tak pędzi, czemu aż tak... To przecież... Teraz pole, tylko pole, nic więcej, jakaś krowa, jedna, druga... znowu zboże... Zaraz w tym zbożu samolot zaryje się śmigłem. Mógłby trochę zwolnić! Znowu zatoczył koło i znowu nad domami... Zboże... Zaryje się w zbożu niedaleko Połubca... Połubiec leży na cmentarzu obok swego pola, z którego chciał przepędzić moich szwagrów. Szwagrowie wrócą z więzienia i kiedyś ich też pochowają obok Połubca, bo ludzie zapomną o wszystkim. Tylko ja nigdy nie zapomnę, że tamtego wieczoru podburzałem szwagrów przeciwko Połubcowi... I Połubiec i szwagrowie na wieki zostaną już obok siebie i wśród swoich... Tylko ja pozostanę wśród obcych, a może już nic nie pozostanie po mnie? Nie mogę patrzeć...

Powinniśmy już być na ziemi... Jak najprędzej na ziemi... Czemu on wciąż kołuje, ten lotnik chyba zwariował... Panienska w mundurze coś mówi przez głośnik, ale nic nie mogę zrozumieć. Kilka minut opóźnienia, lotnisko zajęte, zachować spokój...

Dobrze jej tak mówić, bo ona lata dzień w dzień... Jestem spokojny, tylko ten pas jak łańcuch. Po co ten pas? Niemiec się śmieje. Czemu on, do licha, teraz się śmieje? Ze mnie?... Wandzia powinna wszystko sprzeżyć i jakoś dożyć do śmierci... Gdybym jednak wrócił szczęśliwie, pojedę któregoś dnia na wieś... Ci dwaj w siatkowych koszulkach grają jeszcze w szachy. Staruszek tłumaczy coś swemu synowi, który jest oficerem. Wszyscy tacy spokojni, bo udają. Na pewno udają. Szkoda, że ja nie umiem udawać... Jeszcze jedno wielkie koło, i zaraz drugie mniejsze. Tylko spokojnie, już przecież bardzo blisko ziemi... Puszczam się poręczy i lecę prosto na Połubca, który śmieje się tak strasznie,

jak nigdy dotychczas się nie śmiał. Ja mu nic nie powiem, nic... Do niczego się nie przyznam... Wszyscy byli przeciwko niemu, i przeciwko mnie, więc my razem... My byliśmy przeciwko sobie, ale razem. Przecież naprawdę byliśmy razem. Biała tafla lotniska, wpieram się w siedzenie... Major jeździł jednak do Indii, ale już dawno wrócił i został nawet przewodniczącym gromadzkiej rady, i znowu jest majorem rezerwy. Dowiedziałem się o tym od znajomego, który powiedział: „Major-pilot jest wójtem naszej gminy i ma na biurku urzędowy »stakan« do poczęstowania. Ten »stakan« podobno jeszcze z frontu”. Tuż, tuż, biała tafla lotniska. Wstrząs i podskok, więc już po zderzeniu się z ziemią. Teraz bardzo głośny warkot motorów, ale już po wszystkim. Dudnienie lotniska jest miłe jak bębny na weselu... Co ja plotę? Wreszcie jest czym oddychać... Stop... Leciutko jak gdyby nigdy nic. Panienska w mundurze i furażerke mówi, że jesteśmy na ziemi... Minęły nareszcie dwie najdłuższe godziny w moim życiu... Dwie godziny przelotu samolotem, czyli połowa upominku jubileuszowego mojej dawnej gazety.

Z samolotu wychodzę jako jeden z pierwszych i nie wiem, dlaczego patrzę ze zdziwieniem na swoje ręce. Siwy człowiek w zielonej marynarce, który mi kogoś przypomina, jest przede mną. Panienska w mundurze i furażerke podaje płaszcz.

— Łaskawie dziękuję — mówię głośno i chciałbym ją z radości całować po rękach.

— Dopiero teraz po głosie pana poznałem — odwraca się do mnie ten siwy człowiek o znajomej twarzy. — Ja Wojtowicz jestem, byłem redaktorem „Niwy”... Pan nazywa się Stefan Sekuła, nieprawdaż? Przysyłał pan do nas swoje korespondencje i czasem nas odwiedzał — mówi do mnie z przyjaznym uśmiechem, ale ja się odwracam od niego.

Wreszcie naprawdę jestem na ziemi. Stoję, szeroko rozstawiwszy nogi i wydaje mi się, że to stanie sprawia mi taką przyjemność, jakiej jeszcze nigdy nie doznałem w życiu. Myślę teraz szybko, że warto było lecieć samolotem, żeby znowu wrócić na ziemię. Odwracam się radośnie do znajomego redaktora.

— Przyjemną mieliśmy podróż — mówi siwy redaktor, wdychając głośno orzeźwiające powietrze.

— Tak, proszę pana redaktora — odpowiadam i chcę do niego krzyczeć radośnie, że jesteśmy nareszcie na ziemi.

— Ja zawsze byłem pewien, że pan daleko zajdzie, ja się na panu poznałem. Trzeba panu wiedzieć, że ja się nie mylę na ludziach — mówi siwy redaktor, nie dając mi dojść do słowa. — Tylko ja pana broniłem, gdy przyszedł do redakcji anonim, że to nie pan pisał te doskonale korespondencje...

Chwilę milczy i widzę na jego twarzy taki grymas, jakby mu się zrobiło bardzo przykro.

— Przepraszam pana, ja wiedziałem od razu, że to są głupie plotki... Pan przyleciał w jakiejś delegacji? Może wojewódzkiej? — szepce mi przymilnie do ucha.

— Ja tak sobie — odpowiadam.

— O?! To pan jeszcze ważniejszy niż myślałem — wykrzykuje redaktor. — Tak sobie? Ho, ho, pewnie dla przyjemności... Ma pan rację, trzeba trochę zwiedzić świat...

— To był upominek jubileuszowy — przerywam mu.

— Co takiego? Nie dosłyszałem?

Nie odpowiadam. Odchodzę szybko i patrzę, do którego wózka wsiądzie redaktor. Wsiada do pierwszego i kiwa na mnie dłonią. Udaję, że nie widzę go i ruszam do drugiego. Zamienię w tym wielkim mieście powrotny bilet lotniczy na kolejowy, chyba da się to zrobić bez większych trudności... Z okna pociągu zobaczę prze-

cież więcej... W ogóle, pociąg to zupełnie co innego niż samolot.

Przed wózkiem, do którego mam wsiąść, obok mnie znowu panienka-pisarka.

— Niech pan opowie co się panu śniło? Pan przecież leciał pierwszy raz. Jakże ja panu zazdrościłam — mówi hałaśliwie. — Na pewno napisałabym coś o panu... Proszę, niech pan opowie, jak pan przeżywał swoją pierwszą podróż samolotem... Bardzo pana proszę... — powtarzała to samo w kółko.

— Z przyjemnością opowiem łaskawej pani — odpowiadam i ruszam pieszko, bo widzę, że nie wszyscy wsiadają do wózków.

Nic jej nie opowiem, niech sobie bzdury układa. Kiedy wyjeżdżałem z redakcji, powiedzieli, że dodatkiem do upominku jest trzydniowe zamieszkanie w tym zagranicznym, wielkim mieście. Przez trzy dni zwiedzę dokładnie to wielkie, piękne miasto i zaraz wrócę stąd pociągiem. Zacznę znowu stróżować, a któregoś dnia pojadę na wieś i tam będę opowiadał o tej największej w moim życiu podróży. Niech się wszyscy dziwią. Wrócę sobie najspokojniej pociągiem... Powrotny bilet lotniczy uda się chyba łatwo zamienić na kolejowy, może jeszcze wydadzą różnicę, bo przecież lotniczy droższy od kolejowego... Kupię jakiś podarunek Wandzi i wrócę pociągiem... Samolot to przecież tylko jedna chwila i jest się tysiące kilometrów dalej, nie można więc nic zobaczyć, nie można nic przeżyć... Pociąg to zupełnie co innego...

PIĄTA PORA ROKU

Albert był starym aktorem. Właściwie już kilka lat temu powinien przejść na emeryturę. Wszyscy jednak wiedzieli, że on nie chce nawet o tym słyszeć. Kiedyś zdarzyło się, że jeden z kolegów Alberta zapytał, dlaczego on nie chce iść na emeryturę; zrobił to w dobrej wierze, bez złośliwości, bowiem sam szczerze od dawna marzył o emeryturze, był jednak na to jeszcze „za młody”. Albert udał na początku, że nie usłyszał, wtedy tamten powtórzył pytanie, a kiedy wciąż nie otrzymywał odpowiedzi pochylił się w stronę Alberta i jak mógł najgłośniejsz powtórzył pytanie po raz trzeci. Ani pytający, ani nikt inny nie spodziewał się reakcji Alberta. Ku zdziwieniu niektórych Albert wyzwał tego aktora od najgorszych i najpaskudniejszych spośród ludzi, jakich znał w całym swoim życiu. Inni, którzy byli świadkami tej sceny, zdaje się zrozumieli, trochę Alberta, więc wyrażając jakby cichą z nim solidarność odsunęli się dyskretnie od autora niefortunnego pytania.

Od tego dnia Albert chodził osowiały i smutny. „Czy rzeczywiście jestem już taki stary i do niczego nieprzydatny? Czy muszę już teraz iść na emeryturę, która równa się przecież śmierci, a nawet jest jeszcze gorsza od niej?” — zadawał sobie bez przerwy te pytania. Albert całe życie był niezłym aktorem, czasami nawet

bardzo dobrym. Często mówiono pochlebnie o jego rolach, o poszczególnych kreacjach. Powtarzano przy tym, że jest aktorem niezawodnym. Na tym się jednak wszystko kończyło. Mówiono o doskonałych kreacjach Alberta, nie mówiono o nim jednak jako o wybitnym aktorze. On sam od pewnego czasu zaczął sobie tłumaczyć, że oznacza to, iż jest aktorem przeciętnym, poprawnym. A więc jest aktorem, który ma dobrze opanowany warsztat, zagra każdą rolę, nawet najtrudniejszą, zagra bezbłędnie w myśl koncepcji reżysera. Ale jednocześnie taki aktor nie stworzy nic doskonałego, nie stworzy własnej, oryginalnej i niepowtarzalnej postaci scenicznej. Albert wiedział, że tak o nim wszyscy myślą, tak go oceniają i w ostatnich latach z tym stanem rzeczy próbował się pogodzić. Bywały jednak okresy, kiedy dziwił się takiej o sobie opinii. Grywał przecież główne role, spotykał się z pochlebną oceną krytyki teatralnej, stawiano go wiele razy za wzór młodemu adeptom sztuki aktorskiej, szczególnie jako przykład pracowitości i sumienności artysty. „Cóż to znaczy sumienność artysty” — myślał teraz zirytowany. Publiczność znała go i ceniła. Nawet kiedy zdarzało się, że grał role epizodyczne, spotykały go po kwestiach rzęsiście brawa. Do niedawna nie bardzo rozumiał, dlaczego nie został uznany wybitnym aktorem. W swoim czasie miał również wewnętrzne przekonanie, że niewielu jest aktorów, którzy tak mocno przeżywają swoje role i przeżywając wcielają się w sposób doskonały w postaciach scenicznych, które odtwarzają. „Czy nikt tego wszystkiego nie widzi?” — pytał często sam siebie Albert. „Nie mogę przecież przesadnie grać postaci scenicznych, bo je przerysuję, przejawiam, zamiast pełnokrwistych ludzi stworzę karykatury o wylbrzymionych cechach. Jeśli — mówił sobie dalej — będę te postacie interpretował przesadnie, staną się fałszywe, dalekie od życia,

od prawdy". Oto, jak Albert usprawiedliwiał siebie. Powtarzał często przed samym sobą, że prawdę tę rzuci kiedyś wszystkim w twarz, a szczególnie krytykom teatralnym. Lata jednak płynęły, a wszystko pozostawało bez zmian. Albert wciąż, sezon po sezonie, był jednakowo cenionym aktorem, chętnie przyjmowanym przez wszystkie teatry w kraju. Wciąż jednak należał do dobrych, wciąż nie był zaliczany do najlepszych, do wybitnych. A przecież zostaje się aktorem (podobnie zresztą dzieje się we wszystkich zawodach artystycznych), aby osiągnąć doskonałość.

Odżyło więc akurat teraz w nim marzenie całego jego życia. Niedługo po tym incydencie, który wywołało pytanie jednego z aktorów na temat emerytury, Albert pomyślał, że jednak rozumie swego kolegę, że w zasadzie niepotrzebnie się uniósł i był w stosunku do niego niesprawiedliwy. „Był czas, kiedy ja sam nie mogłem doczekać się emerytury — przypomniał teraz samemu sobie. — Ale i on się zmieni, kiedy osiągnie mój wiek, i tak jak ja nie dopnie jeszcze wszystkiego". Czy można jednak osiągnąć wszystko? Gdzie kończą się możliwości ludzkie aktora? Przecież szczytem aktorstwa jest absolutna naturalność i on, Albert, do niczego innego przez całe swoje życie nie dążył. I zdaje się, iż w tamtym czasie, kiedy spotkała go ta przykrość, którą spowodowało niefortunne pytanie jego kolegi dotyczące emerytury, zaświtało coś w głowie Alberta.

Odtąd zaczął się na dobre niepokoić, teraz dopiero zaczął się śpieszyć. Jak nigdy dotąd, począł zdawać sobie z tego sprawę, że już od kilku lat jest w wieku emerytalnym, że niewiele czasu ma przed sobą. Mógł także przyjść nowy dyrektor teatru i natychmiast wysłać Alberta na emeryturę. Mógł również obecny dyrektor, który dotąd przejawiał tyle przychylności w stosunku do Alberta, zwolnić go pod presją innych aktorów, czę-

sto mających pretensje o to, iż zabiera im rolę. „Muszę coś zrobić, muszę koniecznie coś zrobić...” — męczył się Albert i wciąż nie wiedział, co powinien zrobić.

Odtąd każdy wieczór w teatrze był istną katorgą dla Alberta. Wciąż bał się, że każde przedstawienie będzie już ostatnim występem. Albo po prostu umrze, albo zostanie zwolniony przez dyrektora teatru. Za każdym więc razem z coraz większym przestachem i biciem serca wchodził na scenę. I nagle zrozmiał, czego chce. Wyraźnie zobaczył swój cel, jasny i bez jakichkolwiek niedomówień i zawiłości. Oto, przed odejściem na emeryturę musi za wszelką cenę, nawet za cenę życia, które i tak się skończy lada chwila, stworzyć tę genialną kreację, choćby sprowadzała się ona do malutkiej scenki, błahej kwestii. Postanowił więc Albert za wszelką cenę rzucić na kolana fałszywą publiczność, zmusić ją do szczerego, niekłamane go przeżycia. Albert nie chce odtąd oklasków, nie chce uwielbienia — domaga się od publiczności, wręcz żąda, żeby się go bała. Chciał wreszcie zagrać choćby epizodzik, ale tak zagrać, aby publiczność oniemiała, żeby zaparło jej dech i nigdy potem nie wyobrażała sobie kogoś innego w tej samej roli, gdy Alberta już nie będzie wśród żywych. Żeby publiczność, widząc kiedyś ten sam epizod na scenie, natychmiast przywiodła na pamięć Alberta i natychmiast zobaczyła go na scenie. Żeby każdy człowiek, który widział go w teatrze, również w życiu podobne zdarzenia, słowa i gesty kojarzył sobie właśnie z epizodem scenicznym Alberta. Aby wreszcie — marzył Albert rozgoryczkowany wielkością myśli — nastąpiło raz na zawsze, jedyne i niepowtarzalne połączenie się życia i sztuki. Aby odtąd ktokolwiek, kto poznał Alberta, łączył swoje własne przeżycia z przeżyciem Alberta, aby sposób przeżywania był narzucony mu przez Alberta i żeby taki człowiek, dopóki żyje, nie mógł wyzwolić się z tej

Albertowej niewoli. Wtedy, po takim dokonaniu, spokojnie, z mściwą satysfakcją odejdzie na emeryturę. Wtedy przecież nie on, Albert, straci, ale straci publiczność. I jak to bywa w życiu, które na ogół nie nadąża za marzeniami, Albert wciąż nie otrzymywał odpowiedniej roli, a dokładniej mówiąc, wciąż nie trafiał na odpowiedni epizod.

Czekając na tę przeczuwaną a jeszcze niewiadomą kwestię sceniczną, już teraz postanowił przygotowywać się do niej. Rozpoczął więc wewnętrzne treningi psychiki, co łączyło się praktycznie z próbą możliwie najwszechstronniejszego opanowania publiczności. Odtąd Albert nienawidził śmiechu na widowni, jako reakcji na jego grę, i nienawidził także oklasków. Wiedział przecież, że w chwilach najdoskonalszego dziania się na scenie, na widowni panuje absolutna cisza i właśnie ona jest miarą gry aktorów. Teraz Albert, odtwarzając swoje epizody, bał się obsesyjnie śmiechu i oklasków. Ta walka, którą oto rozpoczął, ze śmiechem i oklaskami, była niesłychanie ciężka, tym cięższa, że Albert wciąż dostawał epizody charakterystyczne; jakże więc odzwyczaić publiczność od śmiechu, jeśli śmiech w takich momentach jest naturalnym jej odruchem? Jak przyzwyczaić publiczność do innej, głębszej reakcji w takich chwilach, jeśli śmiech „na takie okazje” był jej przekazywany z pokolenia na pokolenie, jeśli śmiech na takie okazje ma ona we krwi.

Teraz, kiedy Albert był przekonany, że stoi nad grobem i każde następne jego wejście na scenę może być wejściem ostatnim, coraz bardziej rozumiał i odczuwał, że najdrobniejszy ludzki gest, także każde najniklejsze słowo jest wielkie, wręcz ogromne, wszechpotężne w stosunku do śmierci, do nieistnienia. Ma wymowę boską, niepowtarzalną, doskonałą. I to trzeba pokazać publiczności, to trzeba uświadomić ludziom. Ten najmniej

znaczący gest ludzki, najdrobniejsze słowo postanowił Albert pokazać ludziom w zestawieniu, w kontekście śmierci, nicości. Widocznie daleko mu było do osiągnięcia swego zamierzenia, bo ludzie wciąż się śmiali i bili brawa po każdym jego scenicznym geście i był przekonany, że widzi uśmiechy po każdym swoim słowie. „Niech przyjmują i tak, ale niech...” — denerwował się. Zaczął nienawidzić tych kukielek oglądanych przez mgłę, umocowanych w regularnych rzędach i jak kukielki reagujących sztywno na to, co dzieje się na scenie. Albert czuł że podjął śmiertelną walkę z publicznością dla jej własnego dobra. Był gotów, nawet za cenę życia, osiągnąć swój cel, zagrać doskonale i jednocześnie tak naturalnie, żeby rzucić na kolana te sztywne, bezmyślne, tradycyjnie na wszystko reagujące kukiełki. Nienawidził w takich chwilach publiczności, a jednocześnie wiedział, że ją kocha, że nie może się bez niej obyć, że to dla niej żyje, a nie dla jakiejś tam abstrakcyjnie pojętej sztuki. Jednocześnie wiedział, że żyje pełnią pragnienia, bo ma właśnie przed sobą jasny, wielki cel, i wiedział jednocześnie, że umrze natychmiast po osiągnięciu celu. Bał się więc tylko jednego — własnej śmierci przed pokazaniem na scenie wielkości i doskonałości najblahszego gestu w zestawieniu ze śmiercią.

Wreszcie, któregoś dnia Albert spostrzegł, że w walce z publicznością udało mu się odnieść pewien sukces. Oto widownia już nie śmiała się tak gromko i żywiołowo po jego charakterystycznych epizodach. „A więc jestem — pomyślał ucieszony — na właściwej drodze. Dziś publiczność już nie reaguje tak gromkim śmiechem, a jutro przestanie bić brawa. Aż wreszcie kiedyś zrozumie ona o co mi chodzi, zrozumie moją sztukę, razem ze mną przeżyje jedność życia i sztuki, życia w każdej sekundzie w zestawieniu ze śmiercią” — cieszył się jak dziecko Albert. „A może zawsze bardziej klaskali

z przyzwyczajenia i zagłuszali właściwe rozumienie mnie, bo byłem ich ulubieńcem — myślał dalej Albert. — A więc, żaden aktor nigdy nie powinien być ulubieńcem publiczności, bo wtedy najważniejsza dla niej staje się osoba aktora, a nie to co gra, i w rezultacie nigdy publiczność już nie zrozumie sztuki. Im ktoś jest większym ulubieńcem, tym bardziej ma zaprzepaszczone możliwości rzucenia publiczności na kolana”.

Podniecony tą nową sytuacją, którą uznał za swój sukces, Albert postanowił być coraz doskonalszy. Wkładał całą swoją duszę, całe swoje jestestwo w każdy najdrobniejszy gest na scenie, w każde słowo, jakie wypowiadał. W momencie wykonywania gestu — zamieniał się w ten gest, w chwili wypowiedzania słowa — stawał się całym słowem. Był w geście i słowie tuż przed momentem, który kończy wszystko, a więc musiał gestem i słowem oddać upływ czasu, oddać to, w każdej chwili stające się wciąż od nowa, zderzenie życia i śmierci. Jednocześnie za wszelką cenę chciał być naturalny w tych prostych epizodach i słowach, jednocześnie chciał im wciąż nadawać metaforę życia i śmierci. Albert postanowił nie ustawać w walce z publicznością, nie ustawał też w pracy nad nią. Dawno już przestał być słyszeć śmiech, ale wciąż jeszcze, ku swojemu utrapieniu, słyszał oklaski. „Czy mi się tylko tak wydaje, czy też oklaski naprawdę są teraz trochę krótsze” — powtarzał w myślach. „Ale — myślał dalej z przestraszonym — teraz wybuchają one o wiele szybciej, a nawet w momentach, kiedy jeszcze nie zdążyłem wypowiedzieć kwestii”. Co więcej, oklaski przeszkadzały mu teraz w dokończeniu kwestii. Wreszcie jakoś sobie z tym poradził. Oto doszedł do wniosku, że nie powinien w ogóle tych oklasków słyszeć. Publiczność przecież wyraża nimi wcale nie to, co powinna wyrażać. Oklaski publiczności rodzą się z pychy, która powstaje z jej przeświadcze-

nia, że doskonale rozumie to, co dzieje się na scenie. „A więc publiczność kłamie, bijąc mi oklaski, bo przecież mnie nie rozumie, jeszcze nie ma pojęcia, o co mi chodzi” — mówił do siebie Albert. I postanowił, nie słysząc oklasków, grać siebie, przede wszystkim siebie, bowiem był przekonany, że to jest jedyna droga do narzucenia ludziom stale, w każdej sekundzie, dokonującego się zderzenia życia i śmierci. Z każdym dniem doskonale realizując swoje koncepcje, Albert jednocześnie coraz pełniej zatapiał się w sobie, w czasie. Chciał poprzez najpełniejsze wyrażenie siebie, jak najdoskonalej wyrazić innych. Wciąż jednak ludzie bili oklaski i wciąż on je słyszał. Oklaski były przecież dla Alberta miarą niedoskonałości jego sztuki, im więcej słyszał oklasków, tym bardziej się czuł pokonany przez publiczność, tym większym był jej niewolnikiem. A więc wciąż daleko jeszcze do ideału, do tej wymarzonej ciszy, która byłaby najwyższą miarą jego artyzmu, jego zwycięstwa człowieczeństwa w innych. Dokonanie tego pozwoliłoby mu spokojnie zejść ze sceny i tę największą chwilę zabrać ze sobą do grobu. Albert wiedział, że bez tej idealnej ciszy nie może być poza teatrem, żyć wśród ludzi. „A jednak oni mnie z każdym wieczorem coraz bardziej rozumieją” — pocieszał się.

Z uporem „milimetr po milimetrze”, z wciąż nie słabnącym zapałem realizował swój plan. Chwile ciszy podczas kolejnych przedstawień niechybnie zapowiadały tę wielką i ostateczną, która stała się teraz dla Alberta jedynym marzeniem. Te chwile ciszy, które zapowiadały tę największą i ostateczną, zwiększały się o ułamki sekundy, ale zwiększały się wyraźnie. Musiał teraz walczyć, był w ciągłym napięciu i koncentracji, wiedział, że nie może ani na chwilę popuścić, bo będzie musiał rozpoczynać wszystko od początku. Uświadamiając to sobie zmuszał się do maksymalnego wysiłku. „A prze-

cież to takie proste, że wszystko, co robimy, dzieje się w kontekście życia i śmierci! Każdy mój najdrobniejszy gest, kiedy, na przykład, podchodzę do Króla i kiedy mówię te słowa, w których nie ma nic o śmierci, można właściwie odczytać tylko w zderzeniu ze śmiercią, bowiem inaczej są one nieprawdziwe. Czemu nikt tego nie rozumie? To przecież takie „proste”. Nikt jednak na sali nie rozumiał tego, a więc daleko jeszcze było, o tym Albert dobrze wiedział, do tej upragnionej, idealnej ciszy. Wszystko jednak wskazywało, podpowiadało, że Albert jest na dobrej drodze.

Po jakimś czasie zaczął nabierać przekonania, że cisza, jaką wywalczył, jaką bezlitośnie wyciskał z publiczności jest wyraźna i niezaprzeczalna. Czuł więc Albert już teraz przedsmak absolutnego połączenia się ze wszystkimi ludźmi w teatrze, każdego z każdym, każdego z nim, z Albertem. A ta chwila, która będzie tą ciszą, tym absolutnym zjednoczeniem się wszystkich ludzi na świecie, to sprawa niewielu dni.

Tego wieczoru, kiedy ogarnęło Alberta największe podniecenie tą idealną chwilą, gdy schodził szczęśliwy ze sceny, zatrzymał się, aby spojrzeć na widownię. Prerażony stwierdził, że jego oczy zaszły mgłą i nic nie widzi spoza tej mgły. Poszedł szybko za kulisy, może nawet szybciej, niż przewidywał to scenopis. „To nic, to tylko zdenerwowanie. W chwili, kiedy będę doskonały, kiedy osiągnę swój cel, zobacze ich wszystkich jak na dłoni, będą mi posłuszni jak medium. Będziemy wtedy jednym ciałem...” — mówił do siebie w gorączkowym podnieceniu, siedząc za kulisami na jakimś starym, do góry nogami przewróconym krześle.

I długo jeszcze siedział tak po przedstawieniu. Mijali go przechodzący koledzy, a on wciąż trwał szczęśliwy, zatopiony w sobie. „Dziś cisza była najdłuższa... Ta cisza to jak... Jak... Piąta pora roku...” Znowu zaczął

się bać i jednocześnie drzeć z radosnego podniecenia. Kiedy Albert tak siedział, zatopiony w sobie, podszedł do niego dyrektor teatru.

— Panie Albercie, chciałbym z panem porozmawiać, czy mogę pana poprosić do gabinetu? — przemówił uprzejmie.

— Do gabinetu? — zdziwił się Albert, jakby dopiero w tej chwili zbudził się ze snu. — Porozmawiać? A proszę bardzo — uśmiechnął się przyjaźnie, ale siedział nadal nieporuszony.

Dyrektor teatru bez słowa usiadł obok Alberta, na drugim przewróconym krześle.

— Panie Albercie — zaczął uroczyście. — Ja pana bardzo szanuję, ale widzi pan — zająknął się. — Moim obowiązkiem jest zwrócić uprzejmie panu uwagę... To tak dla naszego wspólnego dobra... Szczególnie chodzi tu o pana, panie Albercie — wił się dyrektor, bo powiedzenie wprost wszystkiego, co zamierzał, sprawiało mu nie lada kłopot. — Publiczność, szczególnie teraz, właśnie teraz, powinna pana zapamiętać, powinien pan u niej pozostawić jak najlepsze wrażenie. Przecież pan — mówiąc to dyrektor wpatrywał się w profil pochylonego i pogrążonego w myślach Alberta — pan, który w zasadzie powinien być teraz na emeryturze, pan na tę zasłużoną emeryturę niebawem odejdzie...

Albert wyraźnie ożywił się i spojrzał uważnie w oczy dyrektora. Ich twarze dzieliła teraz odległość zaledwie kilkunastu centymetrów, a Albert z tej odległości próbował wymierzyć swoje spojrzenie dokładnie w źrenice człowieka obok siebie.

— Pan dobrze wie, że nie chcę iść na żadną emeryturę.

— No, nie od razu. Oczywiście, jeśli postara się pan wrócić do dawnej normy...

— Do jakiej normy?

— Musi się pan starać, mimo dolegliwości wieku, grać tak, jak poprzednio... W przeciwnym wypadku będę zmuszony, przepraszam, będę prosił pana...

Dopiero teraz Albert wszystko rozumiał. „Przygotowano na mnie spisek, nie chcą dopuścić do chwili, w której osiągnąłbym swój cel, zrealizowałbym największe marzenie każdego aktora i życia każdego człowieka”.

Albert znowu spojrzał na dyrektora, który wydawał mu się teraz mały, szary, niepozorny, śmieszny i bezgranicznie głupi głupotą dzieci nic nie rozumiejących, a więc wzbudzający współczucie i uczucie ciepła, a więc tym samym stawał się on człowiekiem rozbijającym. Nie, Albert już nie złościł się na dyrektora, z całego serca zaczynał mu współczuć.

— Jeszcze tylko kilka przedstawień, a osiągnę swój cel! — powiedział dumnie, z absolutną pewnością siebie.

— O co panu chodzi? — teraz zdziwienie dyrektora nie miało granic.

— No, to proste — zaczął Albert i nagle zamilkł.

Gorączkowo szukał słów, żeby wypowiedzieć, o co mu chodzi, co chce osiągnąć. Ten cel, szczególnie teraz, tuż przed jego osiągnięciem, wydawał mu się taki wielki, tak ogromny, że naprawdę nie mógł znaleźć słów, aby go wyrazić. Zresztą, nawet gdyby potrafił to zrobić słowami, czy ten człowiek obok niego cokolwiek z tego zrozumiałby?

— O cóż, do diabła, panu chodzi? Czemu pan milczy? — denerwował się dyrektor.

— O ciszę! — nagle i bez zastanowienia wypalił Albert.

— O jaką znowu ciszę? Czy pan zwariował, czy też drwi sobie ze mnie?! — zatrząsł się jak w febrze człowiek obok Alberta.

— Chodzi mi o ciszę ogromną, o ciszę tak wielką, ja-

kiej jeszcze nie było na ziemi, jakiej jeszcze nikt nie osiągnął. Chodzi mi o ciszę, która na chwilę połączy wszystkich ludzi, absolutnie wszystkich. Chodzi mi o chwilę, która będzie tą ciszą, w której w idealny, najdoskonalszy sposób będą współistnieć ze sobą dobro i zło, śmierć i życie, ciemność i światło... — mówił jak w gorączce Albert.

A kiedy skończył, nie spojrzał nawet na człowieka obok siebie.

— Miał pan dzisiaj tę swoją piekielną ciszę! Czy pan naprawdę zwariował, czy też kpi sobie ze mnie — wiał się w złości dyrektor. — Już dzisiaj osiągnął pan swój cel i to właśnie miałem panu powiedzieć, choć przez delikatność odwlekąłem... Litowałem się nad panem, ale teraz powiem, bo zrozumiałem, że pan to wszystko robił świadomie... A więc muszę panu pogratulować, bowiem osiągnął pan swój cel, tę wielką ciszę. Ludzie zaczęli po prostu zasypiać, kiedy pan przedłużał w nieskończoność tę krótką, bez znaczenia kwestię... A oklaski to już dawno przestali panu bić...! — skończył mściwie dyrektor.

Albert milczał. Powoli, dźwięk po dźwięku, obracało się w jego głowie każde słowo dyrektora. Z trudem wyławiał okrutny sens tych słów. W głowie Alberta pociemniało i nagle zaczęły pojawiać się ogromne jasne koła i wydawało mu się przez chwilę, że jakaś siła niemilosierdzie i boleśnie przesuwa go po tych kołach jak na torturach. Po chwili wszystko w nim ustało. Albert zrozumiał.

— A więc jestem na emeryturze? — zapytał niezwykle spokojnie, można by powiedzieć, że zwyczajnie.

— Zgadł pan! — syknął człowiek obok; nagle wstał i mrucząc coś niewyraźnie, odszedł.

Albert również wstał. „A tak niewiele brakowało. Tylko kilka wieczorów”. Ani przez sekundę nie trakto-

wał słów dyrektora serio. Ani przez chwilę nie pomyślał o jego racji. Przyjął jednakże jego słowa z godnością, z podniesionym czołem. Korytarzami teatru i hallem przechodził jednak jak w malignie, z szumem w głowie, w chaosie myśli, z których usiłował wyłoić jakiś sens. To co się stało, wydawało mu się tak okrutne, a jednocześnie tak bezsensowne, jak nagły koniec świata. Znalazł się teraz, tuż po rozmowie z dyrektorem, akurat na przeciwnym biegunie niż ten, jaki chciał za wszelką cenę osiągnąć. Uświadomił to sobie całym swoim życiem, pracą, tęsknotą, marzeniem całego swego życia i swego aktorstwa.

Kiedy Albert znalazł się już w swoim pokoju, zrozumiał z całą przejrzystością, że oto zaczął się w jego życiu okres, którego bał się najbardziej, chwilami bardziej, niż ludzie boją się śmierci. Przeszłość stanowiła teraz dla niego krótki wstęp do najważniejszego, do czegoś, co będzie syntezą, symbolem jego samego. Teraz dopiero było przed nim całe życie, życie w pełni uświadomione. Nagle, stojąc tak pośrodku swego pokoju, poczuł się człowiekiem całkowicie wolnym. Uczucie to było przeciwne temu, jakiego mógł się w takiej sytuacji spodziewać. „Oto jestem wreszcie absolutnie wolny” — szepnęła jak zwycięzca i poczuł się ogromnie lekki. I zaraz zrozumiał, że znalazł się jednocześnie także w wielkiej pustce, którą trzeba będzie za wszelką cenę wypełnić. Po chwili objęło Alberta ogromne zmęczenie. Myśli powoli zanikały w jego mózgu, a wszystkie zakątki ciała wypełniała senność. Łagodnie, jak pod podmuchem przyjemnego wiatru, pochylił się w stronę łóżka i zasnął. Ciało natychmiast przybrało ulubioną pozę. Broda oparta na piersiach, kolana podciągnięte pod brzuch. Albert, który był starym człowiekiem, leżał teraz w pozycji embriona.

Obudził się nazajutrz około południa. Mówiąc do-

kładnie, obudziła go gospodyni domu, u której wynajmował pokój. Zaniepokojona ciszą w pokoju Alberta, delikatnie otworzyła drzwi i jak kot na palcach podeszła do łóżka. Przerażona, chciała krzyczeć, ale w tejże chwili usłyszała zdrowe, męskie chrapanie. Wyciągnęła rękę i leciutko, opuszkami palców dotknęła ramienia śpiącego.

— Panie Albercie, kochany panie Albercie — powtórzyła kilkakrotnie i w jej głosie była zarówno serdeczność, jak i przywiązanie do starego aktora.

Albert, pod wpływem dotyku gospodyni, a może i dzięki powtarzaniu przez nią jego imienia, poruszył się zmieniając pozycję ciała. Kobieta zdecydowanym ruchem ujęła mocno jego ramię i szarpnęła energicznie. Wreszcie Albert odwrócił się na wznak i otworzył oczy. Chwilę patrzył błogo w sufit, potem równie łagodnie spojrzał na kobietę, która przy nim stała. Obudził się w cudownym, prawie uroczystym nastroju. Czuł wagę nowego dnia, całkowicie nowego okresu swego życia, jakiejś nowej epoki, którą oto zaczął. Teraz każdy dzień, każda sekunda będzie niezmiernie ważna, będzie posiadać wymowę symbolu. Przypomniawszy sobie wczorajszą rozmowę i rozstanie z dyrektorem i zdziwił się, że nie czuje do niego urazy, co więcej, nie ma nawet niechęci. „To, że będę człowiekiem absolutnie wolnym, stało się mimowolną jego zasługą” — pomyślał Albert.

Uśmiechając się do gospodyni, wciąż milczał, zajęty swoimi myślami. Jego uśmiech był szeroki, rozlewny, uśmiechał się bowiem całą twarzą, niemal całym sobą, całym swoim ciałem. Kobieta patrzyła zdziwiona na starego aktora, uśmiechającego się tym nie spotykanym już uśmiechem, mającym wiele cech uśmiechu niemowlęcia. W oczach kobiety z każdym ułamkiem sekundy natężał się odblask niepokoju, choć uśmiech

Alberta odczuwała jak łagodne pulsowanie światła na swojej twarzy.

— Panie Albercie — wykrztusiła. — Panie Albercie, co panu jest? — pytała, nie usiłując już ukrywać niepokoju.

W blasku jego łagodnych oczu, jak w lustrze wody podczas ciszy, zaigrał promień szczerzego zdziwienia.

— Pani jest przestraszona? — cicho wyszeptał. — Oj, miła pani Brygidko, czy pani nie widzi, jaki ja jestem szczęśliwy... Wreszcie jestem absolutnie wolny... Wolny, absolutnie wolny — powtórzył kilka razy. — Czy pani kiedyś myślała, co odczuwa człowiek absolutnie wolny?

Albert wyciągnął powoli rękę i chciał uspokajająco pogłodzić jej dłoń. Kobieta spojrzała na leżącego w ubraniu na łóżku Alberta i cofnęła się kilka kroków. Zdziwienie zmieszane z przestachem wykrzywiło jej twarz, deformując łagodne rysy.

— Pan się wczoraj upił, pan jeszcze jest pijany — powtarzała maniacko. — Pan pierwszy raz się upił od chwili, jak u mnie zamieszkał... I to w tym wieku... — zwyciężyło w niej wreszcie współczucie nad potępieniem.

— Tak, pierwszy raz upilem się szczęściem... Pierwszy raz poczułem się na siłach, że dorównam samemu sobie, wszystkim moim marzeniom — tłumaczył cierpliwie Albert. — Czy pani, pani Brygidko, nigdy nie chciała poczuć się absolutnie sama sobą, absolutnie tą którą jest, będąc jednocześnie wszystkimi innymi ludźmi...?

— Ja zawołam, zaraz zawołam lekarza? — ... Panu coś naprawdę jest! — mruzczała wielce zafrasowana, cofając się do kuchni.

Albert wstał z łóżka energicznie, z werwą dwudziestolatka. Czuł się wyspany, rześki i lekki. „Czemu ona

nie wierzy, że jestem naprawdę szczęśliwy. A ja myślałem, niemądry, że tę ciszę, tę jedność z innymi ludźmi można zrealizować tylko w teatrze. A to właśnie można osiągnąć tylko wśród zwykłych ludzi, którzy nie dzielą siebie na życie i sztukę. Oto moja piąta pora roku, która będzie wyjawieniem tajemnicy wszystkich ludzkich pór roku” — powtarzał w duchu.

Albert nuąc jakąś liryczną melodię, wyszedł do miasta. Szedł ulicą, a z każdym krokiem wzrastała w nim fala radości, poczucie absolutnej swobody i wolności. Był oto człowiekiem, który mógł zrobić wszystko, na co miałby ochotę, szedł po prostu wraz z ludźmi, niesiony falą głównej ulicy tego miasta. I myślał z zadowoleniem, iż w którąkolwiek stronę skierowałby się, zawsze szedłby z ludźmi, zawsze byłby niesiony łagodną falą innych. Czuł jedność, wspólność z tymi anonimowymi, przechodzącymi obok niego ludźmi. „Właśnie tak jest najlepiej, kiedy ludzie są anonimowi, kiedy nie wchodzimy z nimi w żadne związki zależności. Wtedy możemy osiągnąć tę wspólną chwilę jedności wszystkich ludzi, poczucie jakiejś nieokreślonej ale odczuwalnej wspólnoty wszystkich ze wszystkimi. Być może, jest to atawizm, pochodzący jeszcze z czasów stada, ale piękny atawizm” — mówił do siebie w myślach. Szedł dalej, doznając coraz większej radości, wynikającej z tego idealnego stanu własnej duszy, jaki zapanaował w nim od chwili przebudzenia się. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, spostrzegł znajomą twarz swego kolegi z teatru. „Pewnie idzie na próbę” — pomyślał Albert. I to spotkanie go zaniepokoiło. „A gdzie ja idę” — zapytał siebie. Przyspieszył kroku i najkrótszą drogą wrócił do domu. Nie czuł już żadnego niepokoju. Dzięki własnej przebiegłości szybko zapomniał o spotkaniu ze znajomym aktorem, który biegł na próbę do teatru.

Albert kilka dni trwał w nirwanie, w nastroju łagodnym, w poczuciu pięknej, prawie rozkosznej wolności i swobody. Niestety, po kilku dniach, co było zresztą do przewidzenia, zaczął opanowywać go niepokój. Z godziny na godzinę chwile stawały się już niepodobne do siebie. Wkradała się nerwowość, brak opanowania w myślach. Uleciało bezpowrotnie uczucie, że cokolwiek zrobi, to będzie właśnie to, co powinien zrobić. Zaczął wbrew samemu sobie zastanawiać się, iż w przeciwieństwie do innych ludzi nie ma wyraźnego celu, bo cel ten stracił, zyskując wolność. Każdy przecież z przechodniów gdzieś szedł, w jakieś określone miejsce, miał jakiś plan. Albert, osiągnąwszy doskonałą wolność, nie miał już oto planów, nie miał konkretnych celów. Niemożność zrealizowania w teatrze symbolicznego „ideału ciszy” chciał zrekompensować absolutną wolnością, którą w swoim mniemaniu mógł teraz bez trudu osiągnąć. Zaczął zdawać sobie sprawę i z tego, że absolutną wolnością nie może się zjednoczyć z innymi ludźmi, jeśli ci inni ludzie nie są wolni, mają jakieś cele, podporządkowują się realizacji swoich planów. „A więc co to jest absolutna wolność? Być może, jest to najokrutniejsza niewola, bo niewola czasu, który przestaje upływać” — myślał teraz Albert. „Nie tędy więc droga”. I były teraz znowu chwile, kiedy Albert chciał wrócić do teatru, ale wiedział, że jest to niemożliwe. Na to między innymi nie pozwoliłaby mu ambicja. Teraz, mając po uszy swobody i wolności, zaczął naprawdę tęsknić do ludzi. Bezczynność, która przecież jest ogromnym procentem wolności, tak dała mu się we znaki, iż zastanawiał się, czy największym złem człowieka nie byłaby jego absolutna wolność.

Zaczął więc Albert chodzić do tych miejsc, w których mógł spotkać się z ludźmi. Oczywiście unikał spotkań ze swymi niedawnymi kolegami. Chodził częs-

to do sklepu, częściej niż miał ku temu potrzebę, stawał co dzień przy dwóch najbliższych kioskach „Ruchu” na pogawędkę ze sprzedawcami. Były to także te dni dla Alberta, podczas których wiele czytał, miał więc sposobność częstego odwiedzania biblioteki. Gdyby tak naprawdę został przyciśnięty do muru, na pewno przyznałby się, iż nie przede wszystkim chęć czytania zmusza go do chodzenia do biblioteki, ale odwrotnie. To chęć chodzenia do biblioteki i spotkania się z ludźmi w bibliotece zmusza go do czytania. Chodziłby więc tam jeszcze częściej, ale nie nadążył tak szybko czytać. Wiedział przecież, że nieczytanych książek nie może zwracać. Często przecież zagadują go młode bibliotekarki na temat zwracanych książek. I oto znowu nastały dni, podczas których Albert odzyskał wiarę, że uda mu się zrealizować wśród tych ludzi to, czego nie pozwolono mu dokonać w teatrze. Znowu więc siedział całymi godzinami w swoim pokoju, bardziej przejęty marzeniem niż czytaniem książek.

— Panie Albercie, widzę, że wrócił pan do normy? — powiedziała pytającą gospodyni, kiedy wszedł któregoś dnia do kuchni.

Albert przystanął zdziwiony. Pamiętał przecież, jak się nim zmartwiła i posadziła go o chorobę wtedy, kiedy był bardzo zadowolony, gdy był szczęśliwy. Wtedy uważała, że coś z nim jest nie w porządku, teraz natomiast uważa, że wrócił do normy.

— A po czymże pani tak sądzi? — zapytał Albert szczerze zdziwiony, nic nie rozumiejąc.

— Jak to po czym? — odpowiedziała pytaniem nie mniej od niego zdziwiona. — To pan o tym powinien najlepiej wiedzieć.

— Ale nie wiem; naprawdę nie wiem, pani Brygidko.

Kobieta popatrzyła na niego uważnie.

— Jakże można tego nie wiedzieć po takim czymś.

— Po jakim „czymś”? Co pani ma na myśli?

Kobieta wpatrywała się uważnie w Alberta, ale widząc jego poważną, zatroskaną twarz, udobruchała się.

— No, po tej wielkiej radości, po takim zadowoleniu... Człowiek normalny...

— Co człowiek normalny? — naciskał Albert.

— Człowiek normalny ma zawsze jakieś zmartwienie. Zawsze czymś się martwi. Tak jak teraz pan po wyzdrowieniu, po powrocie do normy...

Albert nic nie odpowiedział. Zrozumiał. Głośno się śmiejąc, poszedł do swego pokoju. „A więc absolutne zadowolenie i absolutne szczęście nie ma sensu, bo przestaje się wtedy być normalnym. A więc człowiek nigdy nie osiągnie absolutnego zadowolenia i szczęścia — myślał Albert. — Ale jaki, na przykład, stan winien być moim ideałem zjednoczenia się z innymi ludźmi. Ludzie przecież idealnej wspólnoty nie osiągają ani w chwili urodzenia, ani w życiu, ale dopadają ją dopiero w momencie śmierci. To musi być śmierć wielka. Coś, co można by w symbolu określić właśnie piątą porą roku. Umieranie w doskonałej harmonii ze śmiercią, a więc idealne jej przewyciężenie — myślał Albert. — I właśnie to chciałem osiągnąć w teatrze, a teraz chcę osiągnąć wśród ludzi”.

Dnie mijały wolno i spokojnie. Albert czytał coraz więcej, bowiem częściej chciał bywać w bibliotece. Regularnie chodził do sklepów, wstępował do klubu prasy pograć w szachy z równie starymi, jak on, ludźmi. Wydawało się, że teraz dopiero on, Albert, stał się normalny, a więc szczęśliwy. Rozmowy z ludźmi, których spotykał, nie były już dla niego ciężarem, nie niosły niebezpieczeństwa. Nie potrzebował się bać, iż komuś się narazi, nie potrzebował pilnować siebie w rozmowie, aby w oczach rozmówcy nie wypaść zbyt blado,

nisko intelektualnie, nieciekawie. W spotkaniach ze swoimi dawnymi widzami nie potrzebował już za wszelką cenę ukazywać tak zwanej własnej głębi, nie potrzebował tryskać złotymi myślami. Kiedyś, kiedy grał, w zetknięciu z widzami poza teatrem usiłował robić wrażenie, że oprócz powtarzania pięknych słów, wygłaszania cudzych poglądów, wygłasza własne poglądy i własne głębokie myśli, a piękne słowa są do pewnego stopnia również jego własnymi słowami. Teraz o to wszystko Albert nie musiał dbać. Ponadto nie potrzebował pilnować się, że straci pracę i bać się, że z powodu jego sposobu życia spotkają go przykrości ze strony przełożonych. I pomyślał Albert, iż osiągnął to wszystko na starość, dopiero u schyłku życia, kiedy wolności nie może już w pełni wykorzystać.

Byłby Albert umarł w tym mieście szczęśliwy, w tym mieście, w którym zawsze był dobrym aktorem, ale nigdy świetnym; w mieście, w którym jako aktor chciał osiągnąć swój ideał sceniczny; w mieście, w którym był już bliski osiągnięcia tego ideału wśród ludzi... Stało się jednak inaczej. Oto Albert, dzięki pewnemu wydarzeniu, został cofnięty do zera, do początku swojej drogi; znalazł się niejako w punkcie wyjścia, jakby w chwili, w której na zawsze opuszczał teatr i jednocześnie w chwili, w której po raz pierwszy wchodził na scenę.

A wydarzenie, które tego wszystkiego dokonało, było z pozoru błahe i niewinne.

Ktoregoś dnia stał Albert przed biblioteczną półką z książkami i wybierał dla siebie nową porcję książek do czytania. I wtedy zupełnie przypadkowo usłyszał rozmowę dochodzącą przez półotwarte drzwi z sąsiedniego pokoju biblioteki.

— To nie do wiary jak często odwiedza nas ten stary aktor — powiedział jakiś mężczyzna.

— No cóż, ma dużo czasu, jest przecież na emeryturze — odpowiedział głos kobiety. — I przyszło mu spędzić te ostatnie lata w naszym mieście, w takiej dziurze. To musi być straszne dla aktora, który zawsze chciał być sławnym i wielkim, podziwianym.

— Taki to już ich los. Na tysiąc jednemu udaje się zostać wybitnym.

— Współczuję mu — to znowu miękki głos kobiety. — Teraz pozostało mu już tylko czytanie.

— E, gdzie on tam czyta, tylko udaje, i w ten sposób gra. Oszukuje, podobnie jak to robił całe życie na scenie. Niech go pani kiedyś zaobserwuje, jak on chodzi albo jak stoi i kartkuje książki, jak podnosi rękę... To wszystko, moja pani, gra, tylko gra, w nim już nie pozostało nic naturalnego... Niech pani przysłucha się, na przykład, jego głosowi.

— A ja go nawet lubiłam, na scenie był zawsze taki śmieszny... — broni Alberta kobieta.

Chwilę trwa cisza, podczas której Albert cały onieemiały, stężony w sobie, trzymając w trzęsących się rękach książkę. Litery skaczą rozbiegane jak ogromne czarne ptaszyska; nagły szum w głowie. Jednocześnie wściekłość i rozpacz, złość i ogromny żal. Gorąco i zimno na przemian. Albert ostatnim wysiłkiem woli z hałasem kładzie książkę na półce i w ten sposób głuży następne słowa mężczyzny za drzwiami.

— Nigdy nie zamkną drzwi, a tu takie przeciągi... Jeszcze się pan przeziebi, przecież już późna jesień — mówi bibliotekarka Halinka ciepłym głosem i prze-frunawszy kilka kroków przez pokój zamyka drzwi i raz na zawsze, ostatecznie głuży tamte nieprzyjemne Albertowi słowa.

— ...W sam raz. Tak, tak, powiadam pani, o tej książce już dawno myślałam — Albert podaje pierwszą lepszą książkę bibliotekarce.

„Na pewno usłyszała i dlatego właśnie zamknęła drzwi, udając, że chodzi o przeciąg. Ona po prostu lituje się nade mną” — myśli Albert i unika wzroku dziewczyny. Bibliotekarka siada za biurkiem, otwiera podaną książkę i zdziwiona patrzy na Alberta.

— Ależ to książka dla przedszkolaków — dziwi się.

— Ja właśnie, no, ja chciałem powiedzieć... jaka się Albert.

— Ach rozumiem, dla wnuczka, to pan chciał powiedzieć — pomaga dobrotliwie panna Halinka.

Albert nie odpowiada. Chwyta, jak na swój wiek zbyt energicznie palto i kapelusz i rusza do drzwi.

Bibliotekarka Halina coś jeszcze mówiła, ale tego Albert już nie słyszał. Biegł, a blask świetlistych kręgów wciągał go w swoje promienie-tryby. Biegł więc z tym światłem i z tymi kołami i ich szumem w głowie i chciał za wszelką cenę nic nie myśleć. Zupełnie nic. A jednak poprzez ten szum i to światło w głowie, poprzez szelest żółtych liści pod nogami i poprzez jesienny zimny wiatr atakował go sens słów wypowiedzianych przez nieznanego mężczyznę i kobietę. „A więc to że poszedłem na emeryturę i zostałem w tym mieście, uważają za moją klęskę, a przecież absolutna większość mieszkańców tego miasta także tu umrze. Współczuli mi, inni też pewnie litują się nade mną, choć być może, nie rozmawiają na ten temat. A przecież ja naprawdę nie chciałem nigdy być wielkim i sławnym, chodziło mi o coś zupełnie innego. Chodziło mi zawsze o ludzi, o wszystkich ludzi i całe moje życie było życiem dla nich” — mówił do siebie Albert. Usiłował tłumić cisnące się do głowy myśli. Poprzez kłujący ból w głowie znowu wracał sens tamtego anonimowego dialogu. „A więc dla nich, dla wszystkich, gram, kiedy teraz idę, kiedy stoję, kiedy rozmawiam z ludźmi, a więc wszystko jest we mnie fałszywe. Na scenie było

to sztuką, gorszą czy lepszą, ale tutaj, w życiu, poza sceną jest fałszem, cały więc jestem kłamstwem, kłamstwem i fałszem...” Albert widzi przed sobą znajomy kiosk z gazetami. „Jak to ona powiedziała, ta kobieta, która litowała się nade mną. Powiedziała, że zawsze byłem taki śmieszny. A ja przecież nigdy nie chciałem być śmiesznym. Nie chciałem nigdy być śmiesznym, ja przecież zawsze pragnąłem czegoś więcej, naprawdę więcej... Ale nikt mnie nie rozumiał, ani reżyser, ani dyrektor, ani ludzie dla których... Nikt mnie nie zrozumiał...”

Albert dopada zdyszany kiosku z gazetami.

— Dzień dobry, panie Józefie — krztusi się ze zmęczenia.

Kioskarz patrzy ze zdziwieniem wylupiastymi oczami.

— Pan?... Zawsze taki spokojny?

— Ja nigdy nie byłem spokojny — złości się ciężko dysząc Albert. — Nigdy! Nigdy! — krzyczy.

Przestrach na twarzy kioskarza jest tak wielki, że Albert widząc to, zaczyna się trochę uspokajać.

— Panie Józefie, czy ja kiedykolwiek grałem przed panem?

Kioskarz milczy, nie rozumiejąc.

— Niechże pan powie, na miłość boską! — nalega Albert. — Pytam, czy uważa pan, że cokolwiek mówię do pana, jest to tylko grą?

— Panie Albercie, pan jest dobrym aktorem.

— Nie, ja nie jestem już aktorem, ja nim byłem na scenie — złości się zrozpaczony Albert. — Niech pan powie, panie Józefie, że byłem aktorem.

— No, był pan — z trudem przyznaje kioskarz.

— Ja chcę być normalnym człowiekiem. Nie chcę być aktorem, chcę być normalnym jak pan, jak ten woźnica, który przejeżdża, jak... każdy...

Albert błagalnie patrzy na kioskarka.

— Pan jest skromny, pan zawsze był skromny — mruczy kioskarka. — Mam jeszcze jeden „Express”, zostawiłem specjalnie dla pana — mówi przymilnie, z szacunkiem.

Albert powolnymi ruchami rąk bierze gazetę, płaci nie patrząc na sprzedawcę i rusza w stronę domu.

Nauczony doświadczeniem idzie teraz powoli, nie śpieszy się na spotkanie z ludźmi. „Muszę się wreszcie opanować” — nakazuje sobie. Usiłuje jednocześnie uporządkować myśli, odpowiednio je posegregować. Myśli w nim muszą się ostać, wyklarować, jak powoli z fermentującego zaczynu oddziela się alkohol, czysty i przejrzysty, jednoznaczny. Albert podobnie chce wydzielić czysty sens z chaosu, z natłoku myśli. „A przecież nic takiego się nie stało. Jestem przewrażliwiony, odkąd znalazłem się na emeryturze” — powtarza jak refren, ale to nic nie pomaga. W głowie nadal panuje męczący chaos.

Albert, tuż przed domem, wchodzi mimochodem do sklepu. Kupuje bułki i herbatę. W sklepie jest kilkanaście osób. Z tymi wszystkimi ludźmi Albert spotykał się prawie codziennie, z wieloma rozmawiał, wielu z nich darzyło go sympatią. „To właśnie będą moi najlepsi świadkowie!” — wykrzyknął do siebie w duchu. Stał przed nimi na szeroko rozstawionych nogach, podniósł dumnie głowę jak car przed bojarami. „Czy ja kiedykolwiek w obcowaniu, w rozmowie z wami, z którymkolwiek lub którąkolwiek z was grałem, byłem fałszywy? Czy kiedykolwiek uśmiechałem się fałszywie, na przykład do pani, pani mecenasowo?” — przygotowywał Albert w myślach przemówienie, wpatrując się w żonę znanego adwokata. Już miał otworzyć usta, aby wypowiedzieć te słowa, gdy nagle zobaczył siebie w lustrze. A więc w tej chwili był znowu

aktorem! Spojrzał na twarze zdziwionych, uśmiechających się ludzi. Chwila zderzenia Alberta z tymi twarzami trwała tylko sekundy. Nagle, błyskawicznie uświadamia sobie, że tutaj przegra, bo każdy, bo wszyscy natychmiast zobaczą w nim aktora. Zgrywającego się poza sceną aktora, który nigdy nie miał szans na wielkość. Słowem, uznają w nim oszalałego kabotyna. W nagłym zwrocie do drzwi pociąga za sobą wszystkie twarze.

— Panie Albercie! Panie Albercie! — słyszy za sobą wołanie.

„Znany jestem, och, jak znany jestem” — złości się, zatraskując drzwi sklepu.

W domu Albert z niepokojem i niecierpliwością szukał gospodyni.

— Pani Brygidko, mówiła pani niedawno, że jestem już normalnym człowiekiem — powiada w podnieceniu Albert.

— Tak, mówiłam — zgadza się z nim kobieta.

— Czy pani mogłaby i dziś powtórzyć, że jestem normalny?

Kobieta nerwowo podniosła wzrok znad robótki, spojrzała nieufnie na Alberta, poprawiając przy tym okulary w drucianej oprawie.

— Nie! — syknęła krótko i nieprzyjemnie.

— Dlaczego?

Kobieta wraca do przerwanej robótki i chwilę milczy. Cisza, jaka teraz panuje, ma właściwości fizyczne, boleśnie rani uszy, całe ciało Alberta. Ta cisza nie ma nic wspólnego z tą, o jakiej marzył, jest przeciwieństwem tamtej, jaką chciał osiągnąć na scenie.

— Bo gdyby pan był normalny, to nie pytałby o to — powoli wyskandowała kobieta.

— Ja nie jestem już aktorem. Z tym się przecież pani zgadza? Nie jestem!

Albert uciął swój krzyk równie nagle, jak rozpoczął, bo znowu zrozumiał, że ten krzyk, te jego gesty, to właśnie aktorstwo. I pomyślał na pocieszenie, że wszyscy bywają aktorami, i to nie tylko w stanach emocji, podniecenia, na przykład, politycy. Nikt im jednak nie wymawia ich cynicznego aktorstwa. „Tylko mnie już nikt nie uzna za „normalnego”, bo byłem aktorem, bo wszyscy znali mnie jako aktora”.

Gospodyni spojrzała znowu na Alberta zaniepokojona, tym razem w jej wzroku była również nuta troskliwości.

— Niech się pan położy, drogi Albercie, a ja zrobię panu zimny okład na głowę.

Nagle w jednej chwili mija emocja i Albert obojętnieje. Głowa opada mu na piersi i wydaje się, że runie jak długi. A jednak okrzyk przestachu pani Brygidki ocuca go. Albert daje się jak dziecko zaprowadzić do swego pokoju, potulnie pozwala zrobić sobie zimny okład na głowę i grzecznie wypija jakąś miksturę.

Od tego dnia Albert czuł się coraz gorzej w tym mieście, w którym spędził kilka sezonów jako aktor i w którym doszedł do emerytury, postanawiając tu właśnie dokonać resztki swoich dni. Wydawało mu się, co więcej, był przekonany, że wszyscy w tym mieście, którzy go znają, uważają za aktora, a więc za tego, kto nie jest naturalny, a bez przerwy gra. A więc tym samym oddala się od innych, buduje przepaść między sobą a resztą ludzi. A przecież takie właśnie ludzkie wyobrażenie aktora było dla Alberta najstraszniejsze. On, kiedy jeszcze był w teatrze i kiedy marzył o tej ciszy, z powodu której musiał wbrew swojej woli odejść na emeryturę, był przeciwny wszelkiemu fałszowi, wszelkiej grze. Ta cisza, o której marzył, miała być właśnie absolutną naturalnością Alberta. Nie udało mu

się tego dokonać w teatrze, chciał więc w jeszcze bardziej naturalny sposób dokonać tego w życiu, wśród żywych, ruchliwych ludzi, a nie przed siedzącymi sztywno rzędami marionetek. W życiu także się to Albertowi nie udało. Teraz oto, kiedy szedł ulicą, wydawało mu się, że znajomi patrzą na niego z politowaniem, śmiejąc się w duchu z każdego jego ruchu i gestu, w jego wzroku widzą fałsz, który ma ich oszukać, ale oni to odkrywają i na nic Albertowi wszelkie sprytne sztuczki. Unika więc nadal swoich znajomych, z którymi już nie potrafi naturalnie rozmawiać, bo wydaje mu się, że oni znając go ze sceny, każde jego słowo uważają za grę, za fałsz. Słowa Alberta dla innych już nie znaczą tego, co winny znaczyć. Jakaś się w rozmowie ze znajomymi, peszył się i żenował, czasami rumienił jak małe dziecko i wiedział jednocześnie, że teraz wygląda komicznie. Wciąż denerwował się i pieklił, kiedy znajomi patrzyli na każdy jego gest, każdy ruch ręką czy skrzywienie ust, jak się patrzy na aktora na scenie, i to w chwili trzymającej widza w napięciu. Unikał więc Albert szczególnie swoich znajomych i powtarzał coraz częściej do siebie: „Muszę uciec z tego miasta, gdzie wszyscy zmuszają mnie również poza teatrem do gry, do fałszu w sytuacji, kiedy ja nawet na scenie nie chciałem już tego robić. I nawet gdybym nie wiem jak wszystkim tłumaczył, że już nie gram, że nie ma we mnie fałszu, to nic nie pomoże, lecz przeciwnie, upewni jeszcze bardziej wszystkich o tym, że mają rację. Rzeczy i zjawiska nie takie bowiem są naprawdę, jakie obiektywnie istnieją, ale takie, jakimi chcą je widzieć ludzie”. Szczególnie nie mógł Albert zapobiec spotkaniom z ludźmi, którzy widzieli go na scenie, bowiem ich nie znał. Często więc wydawało się Albertowi, kiedy przechodził ulicą, że ten i ów uśmiecha się do niego porozumiewawczo. I takich właśnie przechod-

niów pojawiało się z każdym dniem, z każdym jego wyjściem do miasta coraz więcej. Teraz Albert dobrze wiedział, co oznacza ich wzrok i co znaczą ich uśmiechy. „To pewnie tak samo jak z człowiekiem, który popelnia fałsz w swoim życiu i zostaje na nim publicznie przyłapany. Wszyscy potem widzą fałsz w najbar dziej czystych czynach czy gestach tego człowieka”.

Albert znowu przesiadywał całymi godzinami w swoim pokoju i znowu gospodyni patrzyła na niego nieufnie i kręciła z niezadowoleniem głową.

— Czy jeśli jestem smutny, to także ze mną jest coś nie w porządku? — zapytał Albert, zdobywając się na uśmiech poprzez swój smutek czarny jak smoła.

— Oczywiście, że nie w porządku. Człowiek nie może być ciągiem ani wesoły, ani smutny. Taka jest jego natura, a naturze sprzeciwiają się tylko straceńcy — odpowiedziała pani Brygidka. — Pan, Albercie, powinien częściej wychodzić do miasta, a może i kobietę sobie jaką uczciwą wziąć — radziła.

Ale i ta ostatnia uwaga-rada nie rozbawiła Alberta. „Nic mnie nie jest już w stanie ożywić, przywrócić życia” — mówił w tych dniach do siebie i już ugruntował się w swoim postanowieniu. „Nie mam tu nikogo, z nikim nie jestem związany, mogę więc zrobić co zechcę” — powiedział któregoś dnia i opuścił swój pokój, który zamieszkiwał od lat.

I tak właśnie zaczął się, w tym krótkim czasie od momentu przejścia na emeryturę, kolejny okres w życiu Alberta.

W nowym mieście czuł się o wiele swobodniej, ale i tutaj nie było mu łatwo. To, że nie znał nikogo, okazało się, że oprócz dobrych stron ma również złe. A złą stroną były teraz uciążliwe, rytualne czynności towarzyszące poznawaniu nowych ludzi. Co innego jednak stało się najważniejsze dla Alberta. Oto nawet samo

poznawanie ludzi w nowym mieście zaczęło mu przypominać przedstawienia teatralne. Tak, przedstawienia teatralne! Albert bowiem tutaj, jak przedtem w teatrze podczas spektakli, musiał świadomie ukształtować w oczach i wyobraźni nowych ludzi obraz siebie. Dawniej narzucał widzom postać sceniczną, teraz wiedział, że trzeba od początku kształtować w oczach i wyobraźni mieszkańców nowego miasta obraz, tym razem jako normalnego, niczym spośród nich nie wyróżniającego się człowieka. I już od pierwszych dni pobytu w nowym mieście zaczął Alberta niepokoić fakt, że przedstawiając się innym, usiłuje podać siebie w takiej, a nie innej wersji, że, o zgrozo, jest w ten sposób nadal aktorem, choć ludzie teraz o tym nie wiedzą. A więc jest nieuczciwy, ponieważ nie powiadamia ludzi, jak to się dzieje w teatrze, o konwencji gry. I ten fałsz bardziej go męczył, niż na przykład kłamstwo, iż na pytania, jaki był jego zawód, odpowiadał, że pracował na poczcie. Nie mógł Albert oprzeć się myśli, że oto znowu brnie coraz bardziej w fałszu, a mówiąc delikatnie, że oto znowu gra, przedstawiając ludziom tylko takiego siebie, jakiego wyreżyserował do pokazania. Już w tych pierwszych dniach przeczuwał, że wcześniej czy później znajdzie się jakaś luka, przez którą wślizną się inni ludzie, i odkryją jego kolejne tandetne aktorstwo, a wtedy również dowiedzą się o jego wszystkich poprzednich. „Czy nie lepiej więc od razu poddać się” — pytał siebie Albert. „A jednak każdy normalny człowiek w jakimś tam procencie także jest aktorem” — pocieszał się chwilami. „I w jaki sposób amatorstwo, reżyseria swoich własnych czynów, kształtuje człowieka? Gdzie więc zaczyna się aktorstwo, które można by nazwać chwilowym, nieprawdziwym stanem człowieka, a gdzie zaczyna się jego naturalność?” — zastanawiał się dalej. Albert zapragnął przekonać się, czy

rzeczywiście jego nowi współmieszkańcy niczego nie podejrzewają. Sprawa ta do tego stopnia zaczęła go niepokoić, iż pytał ludzi wprost, czy ich zdaniem ktoś, kto był kiedyś aktorem, potem z przyzwyczajenia gra przez całe życie przed ludźmi, nawet jeśli nie ma już żadnych, ale to żadnych powodów do gry. I Albert wpadł we własne sidła. Teraz dopiero jego nowi współmieszkańcy otworzyli szeroko oczy, patrzyli na niego, jakby nagle, w jednej chwili, wszystko zrozumieli i jakby jednocześnie dziwili się bardzo, iż dotąd nie odkryli sami tak prostych rzeczy.

I chociaż wprost zaprzeczali, wiadomo było, że od-tąd właśnie nie wierzą ani jednemu Albertowemu słowu. A więc został i tu rozszyfrowany, więc zaczął unikać ludzi, bo teraz już zupełnie nie wiedział, jak się w stosunku do nich ma zachowywać. Był, jak wiele razy w tym krótkim okresie od chwili zerwania z teatrem, i tym razem bezradny.

I zupełnie niespodziewanie dla samego siebie Albert zapragnął wrócić do teatru. Zapragnął zagrać na scenie. Jeden, jedyny raz, ale zagrać. Wszystko jedno jaką rolę, sam nawet nie wiedział, o jakiej roli najbardziej marzy, jakiej pragnie. Nie miał też pojęcia, jak teraz grałby. Wiedział jedno, że gdyby miał jeszcze możliwość tego „jednego razu zagrania”, podołałby każdej roli. I znowu, zaczęła mu w głowie świtać nowa koncepcja realizacji ciszy w teatrze i nowa koncepcja osiągnięcia tej ciszy wśród ludzi. Było to coś przeczuwalnego dla Alberta, choć niesłychanie trudnego do nazwania. Przeczuwał, że konkretność i nazwa tego pragnienia staną się oczywiste, kiedy jeszcze jeden, jedyny raz znajdzie się na scenie. Po prostu tym razem zagra siebie. „Będę grał siebie w taki sposób, jakbym grał wszystkich ludzi naraz” — myślał Albert i przejmował go strach na myśl tego marzenia. Zapragnął

nagle wrócić do miasta, z którego uciekł i w którym rozstał się z teatrem. Do tego stopnia ta nagła myśl wyzwoliła jego niecierpliwość, iż spakował szybko walizkę i wyszedł na roгатki miasta. Zabrała go ciężarówka załadowana ogromnymi balami drzewa. W szoferce, gdzie siedział obok kierowcy, pachniało benzyną i smarami, a zapach ten przyprawiał go o zawrót głowy. I z takim właśnie zapachem Albert obudził się w domu dróznika, w połowie drogi do miasta, do którego jechał; miasta, w którym poszedł na emeryturę, z którego uciekł, aby teraz tam wracać.

Odzyskawszy przytomność, długo Albert wodzi wzrokiem po pokoju, w którym się znalazł. Odgarnia ciężkie okrycie, pod którym dusi się i parzy. Przez chwilę nie wie, jak się tu dostał. Zaraz jednak przypomina sobie ciężarówkę załadowaną ogromnymi balami, zapach benzyny i smarów, który towarzyszy mu do tej chwili. Do pokoju, w którym leży, przychodzi sucha kobieta o ziemistej twarzy.

— A więc będę jeszcze na scenie! — Albert krzyczy radośnie i usiłuje podnieść się na łokciach.

Zdziwiona kobieta podbiega do łóżka.

— Bo widzi pani, trzeba stworzyć taką ciszę, żeby ludzie natychmiast w nią uwierzyli. Co więcej, żeby ją już na długo przedtem przeczuwali — teraz Albert mówi powoli. — Widzi pani, w najważniejszych sprawach nie można mówić słowami, o tym trzeba powiedzieć ciszą i ja tego jeszcze dokażę, ja to zrobię...

— Na pewno pan to zrobi, ale teraz proszę spokojnie leżeć. Niedługo przyjadą zabrać pana do szpitala.

— Pani mnie chyba poznaje, bo ja i dla pani przez całe życie chciałem... — mówi z wysiłkiem i milknie.

Kobieta, chwiejąc się, cofa się w stronę drzwi.

— Przywieziono pana całego pokiereszowanego i to

cud boski, że pan żyje. Mąż mówi, że ledwo wydostali pana spod stosu wielkich belek.

Albert zamyka oczy i widzi teraz przesuwające się tłumy ludzi.

— Tak, już wiem... Na pewno pani mnie rozpozna w chwili, kiedy będę wszystkimi ludźmi naraz... Rozumie pani?

— Proszę, niech pan leży spokojnie, bo może odnowić się krwotok... To i tak cud...

— Tak, proszę pani, móc umrzeć, wiedzieć, że mogło się umrzeć i żyć to cud... I ja to pokażę w jednej chwili, kiedy będę częścią natury, wszystkimi ludźmi naraz...

I znowu wraca do Alberta pewność siebie. Patrzy na kobietę wzrokiem pełnym ciepła i szczęścia. Dopiero teraz jest całkowicie przekonany, że dokona swego, że osiągnie cel. Leży nieruchomo z obolałym ciałem, ale dopiero teraz on, Albert, który otarł się o wielką ciszę, jest pewien swego. Jest teraz zjednoczony duchem z innymi ludźmi, jak katolicy mają być zjednoczeni z Bogiem, gdy przyjmują sakrament.

Po wyjściu kobiety Albert zasypia i śpi spokojnym, bez snów, snem człowieka wolnego również w swojej podświadomości.

Po całkowitym wyzdrowieniu Albert wrócił do miasta, w którym przeszedł na emeryturę i z którego chciał uciec na zawsze. Pani Brygidka, jego gospodyni, przywitała go bez zdziwienia.

— Wiedziałam, że pan Albert wróci do nas — powiedziała krótko.

„A więc mówi: do nas” — ucieszył się w myślach Albert.

— Ano, wróciłem, pani Brygidko, bom się stęsknił — odpowiedział i już zupełnie nie dbał o to, że styl tego zdania brzmi nieco aktorsko.

— Nikogo nie przyjmowałam do tego pokoju, bo wiedziałam, że pan wróci — mówiła kobieta, w dalszym ciągu ukrywając swoją radość.

Albert usiadł w starym fotelu, obszernym i ledwo trzymającym się ze starości. Znowu zapragnął z całej duszy znaleźć się w teatrze na scenie, choćby na chwilę, choćby przez sekundę siedząc tak w fotelu na podium. „To by mi zupełnie wystarczyło, bo wiem teraz wszystko o granicy życia i śmierci. A ja i z tych kilku minut nieruchomego siedzenia zrobiłbym wszystko” — mówi do siebie.

— Aha, byłabym na śmierć zapomniała — odezwała się panna Brygidka. — Byli tu pańscy koledzy z teatru. Aż trzech ich było i Gorawa był, ten, co z nich najślawniejszy. Powiedzieli, właściwie, to pan Gorawa powiedział, że jak pan wróci, to proszą serdecznie, tak właśnie powiedział pan Gorawa, żeby natychmiast pan do nich przyszedł...

Albert oparł głowę o fotel, ciężko oddychając.

„A więc nie zapomnieli o mnie. To dobrze. A więc nie zapomnieli. Ten, co z nich najślawniejszy, powiedziała panna Brygidka”. Gorawa — to aktor charakterystyczny. Taki aktor zawsze podoba się ludziom, nawet bardzo, ale prawdziwej sławy nigdy nie osiąga, bo ma coś z clowna, coś żalosego. I tym właśnie przypomina pewne ludzkie cechy. A ludzie w końcu odkrywają to i dlatego taki aktor nie ma szans na wielkość. „Powinienem zapytać pannę Brygidkę, dlaczego właśnie Gorawę nazwała najślawniejszym”. Nie, nie zapyta, bo i po co. To wszystko teraz przecież nieważne.

Nazajutrz Albert, już raniutko, był w teatrze. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie wprost do dyrektora. Rozumował bowiem, że jeśli koledzy przyszedli aż w trójkę, była to niejako oficjalna delegacja, czyli przyjsście do niego urzędowe, a więc i on powinien wejść do tea-

tru tak samo urzędowo. Byłoby nawet niezręcznością i nietaktem nie zacząć właśnie od dyrektora. Dyrektor powitał go wylewnie, jak starego, serdecznego przyjaciela. Zaraz posadził przy stoliku dla gości w swoim gabinecie i sam usiadł z wielkim uśmiechem naprzeciwko. Nalał po kieliszku złocistego koniaku.

— Drogi panie Albercie — zaczął i zrobił chwilę przerwy jak w początkowych kwestiach uroczystego przemówienia. — Jest pan nam bardzo potrzebny — wypalił jednym tchem, nie patrząc na Alberta. — Chcielibyśmy też jakoś godnie zaznaczyć pańskie odejście na emeryturę.

Wreszcie dyrektor podniósł głowę. W jego oczach Albert zobaczył niepokój i niezdecydowanie, i jakby lekko zażenowanie.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, drogi panie Albercie — mówił dalej i jakby słowa sprawiały mu ból. — Chcemy powierzyć panu rolę, którą pan kilkadziesiąt lat temu zaczynał pracę w teatrze, słowem, debiutował na scenie. Byłaby to taka symboliczna klamra spinająca pańską twórczość artystyczną. Wygrzebałem w pańskim bogatym i ciekawym życiorysie fakt, iż debiutował pan właśnie w sztuce, którą obecnie gramy. I właśnie pan będzie naszym wybawcą, bo nie mamy akurat aktora do tej roli...

Wreszcie dyrektor wymienił tytuł sztuki i Albert natychmiast wiedział o jaką rolę chodzi, pamiętał przecież, mimo upływu lat, swój debiut sceniczny. Tak, rzeczywiście, wszystko się zgadza. Kilkadziesiąt lat temu debiutował w tej sztuce w roli umierającego człowieka. Teraz przypominał sobie nawet kłopoty z charakteryzacją przed przedstawieniem, bądź co bądź, miał wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Była to rola umierającego starego człowieka, który wypowiada za ledwie kilka słów. „Dlatego też — pomyślał Albert i to

go rozśmieszyło — dyrektor był taki delikatny w stosunku do mnie. Nie chciał, abym przypadkiem w jego propozycji dopatrył się aluzji do mego wieku i do moich możliwości artystycznych...”

— Tym razem nie będę potrzebował charakteryzować się — powiedział swobodnie Albert, chcąc jednocześnie wybawić dyrektora z zakłopotania, jakie wykwitło na jego twarzy.

— A więc zgadza się pan, Albercie — odezwał się ucieszony dyrektor.

— Ale, oczywiście, godzę się — szczerze podchwycił Albert.

— Wprawdzie to rola prawie bez słów...

— Nie szkodzi, ja coś tam wiem na ten temat... Takie role bywają najciekawsze...

Dyrektor nie posiadał się z radości, co też objawiał swoim kordialnym zachowaniem się i gdyby tylko mu wypadało, na pewno uściskałby i wycałował Alberta. Był jednakże, ponad wszystkie emocje, przede wszystkim dyrektorem i niestety, musiał się stosownie do tego stanowiska zachowywać.

— Tak, będzie to swego rodzaju klamra zamykająca całe moje życie — powiedział Albert powtarzając słowa dyrektora sprzed chwili.

— I twórczości artystycznej — dodał uprzejmie dyrektor.

I tak właśnie doszło do tego, że od następnego dnia Albert co wieczór umierał na scenie. Teraz, w przeciwieństwie do debiutu w tej roli, grał przede wszystkim twarzą, nie przeszkadzała mu już charakteryzacja. Nie bał się, jak kilkadziesiąt lat temu, że zostanie rozszyfrowana jego młodość. Teraz grał po prostu samego siebie. To była wymarzona przez niego rola. Zrozumiał już pierwszego wieczoru, że ta właśnie przypadkowa rola daje mu najwięcej możliwości zrealizowania sce-

nicznego ideału ciszy, o czym przecież tak marzył. Teraz nie było już oklasków. Kiedy umierając pokazywał ludziom swoją twarz, zalegała ogromna, ciężka cisza, ale Albert był oszczędny i tylko przez niewielką chwilę pozwalał ludziom patrzeć na swoją twarz. Reszty miała dokonać podniecona do ostateczności ludzka wyobraźnia. W czasie debiutu w tej roli Albert, zgodnie z tekstem sztuki, wygłaszał kilka zdań. Teraz uzgodnił z reżyserem, że nie powie na scenie ani słowa, że zagra samą twarzą, samą postacią. I zagrał już pierwszego wieczoru sugestywnie jak tylko mógł, i żył od tej chwili oczekiwaniem na wieczór, który będzie osiągnięciem jego ideału ciszy. „Przestałem, teraz dopiero przestałem wreszcie być aktorem. Wreszcie przestałem nim być. Teraz naprawdę gram siebie” — powtarzał Albert w myślach ucieszony, jak nigdy dotąd w swoim życiu. I po kilku przedstawieniach Albert nie utrzymywał już siebie w ryzach i zaczął rozkoszować się przedłużaniem ciszy.

Odezwało się i zapanowało w nim uczucie sadyzmu w stosunku do widzów, do tych samych, którzy teraz się nim zachwycają i boją, a kiedyś go nie rozumieli; których przedtem nigdy nie mógł pokonać. A więc, z każdym przedstawieniem Albert coraz dłużej pokazywał swoją twarz ludziom, był bezwzględny i okrutny w swojej krwiożerczej pasji, w maltretowaniu tych, którzy go nigdy dotąd nie chcieli zrozumieć. Z każdym następnym przedstawieniem przedłużała się cisza, którą Albert tworzył swoim umieraniem. Napięcie ciągle wzrastało i każdego wieczoru ludzie coraz bardziej wstrząśnięci wychodzili z teatru. Po każdym następnym przedstawieniu coraz więcej koszy z kwiatami stawiano przed nim, a w momencie wręczania mu wiązanek kwiatów rozlegały się huraganowe brawa. I wszyscy dobrze wiedzieli, że te oklaski są tylko dla

niego, bowiem w czasie, kiedy Albert umierał nigdy nie klaskano. Długo po jego umieraniu nikt nie miał odwagi poruszyć się, nie śmiał oddychać. Wszyscy aktorzy, łącznie z tymi, którzy grali główne role, byli bez znaczenia, nie liczyli się. Główną rolę grał Albert tym milczeniem, które wytwarzało w czasie przedstawienia tę jedyną, niepowtarzalną wysepkę ciszy. Ale Albertowi było wciąż za mało. Konsekwentnie więc każdego wieczoru natężał grozę i przedłużał swoje umieranie. A ludzie, zdaje się, zaczęli być już wściekli na niego, ale wciąż po przedstawieniu bili mu brawa i posyłali kwiaty. „Zadowoleni są, że to nie oni, ale ja co wieczór umieram i to ich pociesza, to ich podnosi na duchu. Czekajcie, ja wam jeszcze pokażę!” — odgrażał się w myślach Albert. I mścił się na nich każdego wieczoru za swoje całe życie, którego przedtem nie mogli nigdy zrozumieć.

I tak minęło ponad dwadzieścia przedstawień. Ludzie zaczęli przychodzić na przedstawienia już tylko ze względu na Alberta, dla jego doskonałego umierania. Krytyk teatralny w miejscowej prasie napisał dwa ogromne peany na cześć Alberta. Niektórzy przychodzili kilka razy na przedstawienie. I powtarzano bez przerwy, że Albert jest coraz lepszy, coraz doskonalszy, że jego śmierć, która, jak pisał krytyk, nabrawszy już w pierwszym przedstawieniu rumieńców, była teraz rozpalonym do białości żelazem.

I nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie wydarzyło się coś zupełnie nieprzewidzianego.

Któregoś dnia koledzy pomagali Albertowi zanieść ogromne kosze kwiatów, których tego wieczoru było wyjątkowo dużo. Albert zmęczony położył się na łóżko, a przed nim stały te ogromne, różnokolorowe kwiaty. I powtórzył Albert dla kolegów z teatru tę swoją scenę umierania doskonałego. Wszyscy patrzyli jak urze-

czeni, bo teraz naprawdę Albert przechodził samego siebie, przeszedł własną doskonałość, jaką był już osiągnął na scenie. I pożałowali jego koledzy aktorzy, że teraz nie widzi Alberta publiczność i nie byli wcale zawistni, bo wobec oczywistej doskonałości nie można być zawistnym. A był wśród aktorów również ów aktor charakterystyczny nazwiskiem Gorawa, który przyszedł do teatru akurat wtedy, kiedy Albert odchodził, i który zastąpił Alberta w teatrze. Teraz ów aktor charakterystyczny patrząc na Alberta wykrzyknął szczerze, a głos jego był pełen zachwytu:

— Albercie, jesteś wspaniały, ja przez całe życie marzyłem o czymś takim. Marzyłem o takiej doskonałości...

Albert słyszał te słowa aktora Gorawy i wiedział, że oto osiągnął swój cel ostateczny. „Oto zagrałem naprawdę doskonale, do ostatnich granic, już dalej sztuka staje się niemożliwa. Oto połączyłem w doskonałej, nierozzerwalnej więzi sztukę z życiem, uczyniłem fałsz i prawdę jednym i tym samym, a wszystko to z własną świadomością tychże faktów... A więc osiągnąłem to, czego nikomu nie udało się osiągnąć. Oni wszyscy myśleli, że teraz ja tylko gram i w tym moja doskonałość i w tym niemożliwość już powtórzenia tej sceny jak niemożliwym jest powtórzenie czegoś doskonałego. Jak niemożliwe, żeby doskonały Bóg powtórzył samego siebie, nie przestając w tej pierwszej swojej formie być równie doskonałym” — myślał radośnie Albert z namaszczeniem zamykając marmurowe, zimne i ciężkie powieki. I równie powoli i majestatycznie wchodził Albert w wielką jasność, która była tylko jego, którą on tylko widział. Stawał się promieniem tej jasności, która odtąd będzie krążyć wśród kwiatów. A jasność, w którą wchodził, była właśnie piątą porą roku, ale o tym nie wiedzieli stojący nad nim aktorzy, nawet

ów aktor charakterystyczny o nazwisku Gorawa, który go zastąpił w teatrze i powinien wiedzieć najwięcej.

— Dosyć już, Albercie — powiedział ten aktor charakterystyczny, bo już jego nerwy nie wytrzymały. — Dosyć już, wiemy przecież, widzimy, że jesteś doskonały. Ulituj się i nie męcz nas dłużej. Żaden z nas choćby umierał, nigdy ci przecież nie dorówna...

Ale Albert już tego nie słyszał. Aktorzy długo stali nad nim oniemiałi, nie mający odwagi poruszyć się, ani otworzyć ust. I była to cisza, którą wreszcie Albert osiągnął w stopniu doskonałym, bo oto zmusił do milczenia nie zwykłą, tkliwą i sentymentalną publiczność, ale ludzi wyrafinowanych we wszelkiej sztuce i grze.

— Dosyć, Albercie... Błagamy cię, przestań już... — powtórzył ten sam aktor Gorawa i nagle zrozumiał, że Albert już go nie słyszy; powtórzył jednak jeszcze raz prośbę, bo był aktorem i chciał, żeby sztuka trwała nadal, wiedział bowiem, że jest to chwila wspólna dla wszystkich ludzi, kiedy życie i teatr to jedno.

PRÓBA ŚWIATŁA

KTO SIĘ BOI FRYZZJERA

Trzymam akurat brzytwę na gardle faceta w fotelu i patrzę na jego śnieżnobiałą twarz. Lekko przesuwam ostrzem do podgardla, a on ani drgnie, oddycha tylko nosem, usta ma zaciśnięte i nieruchome, trochę wykrzywione. Manson, który ma tyle morderstw i tym razem wywinie się od fotela elektrycznego, słyszę słowa na sali. Zerkam na tego, który powiedział o Mansonie i widzę w całej okazałości gruby kark. Mówi teraz drugi, o wychudłej twarzy i oczach zmęczonych piwem. Wiadomo, że w Ameryce nie ma żadnej sprawiedliwości, nawet wtedy nie skazano nikogo na śmierć gdy zabito prezydenta Kennedy'ego i jego brata Roberta. Jeżeli w Ameryce sprzedaje się broń każdemu i ile kto chce, to nie dziwota, że dzieją się tam takie rzeczy. Żeby mordować nie trzeba zaraz broni, wystarczy byle co. Czytał pan w „Ekspresie” o wampirze, który wcale nie miał broni, a zabił kilka kobiet. E, ale u nas nie to, co w Ameryce, wzdycha ten pierwszy pod oknem z prawej. Słyszeli panowie o tym, że w jednej wsi naszego powiatu niedawno chłop poderżnął sąsiadowi gardło nożem, wykrzykuje trzeci. Zaraz odkłada gazetę, widzę to w lustrze, wpatruje się najwyraźniej w moją brzytwę, którą teraz uniosłem akurat nad głową faceta w fotelu. Bez niejkiej potrzeby dezynfekuję

szybko brzytwę maczając ją w szklance. Tamci dwaj pod oknem z prawej coś do siebie szepczą cicho chichocząc. I znowu bez potrzeby, bo brzytwa ostra jak sam czort, ostrzę ją na pasie. Ostrzę zawzięcie, jakbym ostrzył kosę, w najpilniejszy czas żniw, kiedy byłem parobkiem na wsi. Znowu dobieram się do gardła. Rzadko spotyka się tłustych facetów z taką dużą grdyką. Teraz wchodzi kolejny, już czwarty klient. Przychodzą jak gdyby nigdy nic, siadają na fotelu i nie wiedzą, nawet im przez myśl nie przejdzie jak bierze mnie na nich cholera. Ten pierwszy pod oknem dorobił się na oranżadzie milionów, a ja całe życie muszę harować jak wół i ledwo koniec z końcem mogę związać. Wszystko załatwił kombinacjami i machlojkami, zgnoił kilku przyjaciół zanim doszedł do majątku. On będzie chyba trzeci w kolejce, nie licząc już siedzącego na fotelu.

Teraz od rąbka kołnierzyka ciągnę brzytwą do samej brody, robię to szybko, zdenerwowałem się na wspomnienie milionów, aż sam się przestraszyłem. Mój facet w fotelu jednak ani drgnie. Ach, jakże on wierzy w człowieka, to przecież znany doktor psychiatra; o takich jak on mówili niedawno w telewizji, że znają najtajniejsze zakamarki duszy ludzkiej. Co on może jednak wiedzieć o ludziach, co na przykład może wiedzieć o mnie. On na pewno podziwiał milionera od oranżady, a mnie uważa za półgłówka, traktuje jak powietrze, tylko dlatego, że jestem zwykłym fryzjerem. A przecież jedno moje pociągnięcie, jedno na milion moich pociągnięć, może zakończyć jego piękny i szlachetny żywot, jego wspaniałą karierę, którą zrobił dzięki ludziom nieszczęśliwym, którym i tak nie mógłby pomóc, nawet gdyby chciał. Co by wtedy było, mój drogi panie? Pisano by i o mnie i o panu w gazetach, tyle tylko, że pan miałby dodatkowo pochwalne nekro-

logi mówiące o prawości. W „Ekspresie” grubymi literami wydrukowałiby pana nazwisko, a o mnie napisaliby Zygmunt P., jakby to tylko imię człowieka który popełnił zbrodnię, było najważniejsze. A wie pan, mówi milioner pod oknem, nie żyje ten stary, co przyjmował ubrania w szpitalu. Facet obok milczy. Była z niego dobra cholera, wyciągał zawsze rękę po forse, bo ciągle potrzebował na wódkę. On miał lekki garb, nagle przypomniał sobie facet z lewej. Z garbem czy bez, kochankę też potrafił mieć, dogadzał jej jak mógł, wreszcie doprowadziła go do tego, że się powiesił. Co oni do diabła ciągle o śmierci i zabijaniu, jakby już niczego innego nie było na świecie.

Cholera, zaciąłem go aż podskoczył, ledwo zdążyłem oderwać brzytwę od grdyki; gdybym się spóźnił o ułamek sekundy byłaby chryja. Szeroko otworzył oczy i ponuro, z pogardliwym wyrzutem popatrzył na mnie w lustrze. Ech, ty, gdybym nie zdążył oderwać brzytwy od twego gardła, nie popatrzyłbyś na mnie z taką wyższością. Wtedy uszanowałbyś mnie po ludzku i byłbym dla ciebie prawdziwym człowiekiem z krwi i kości, wtedy w ułamku sekundy dostrzegłbyś i moją duszę, a potem — gdybyś wyżył — zastanawiał się, co myślałem, co przeżywałem usiłując poderznąć ci gardło. O, wtedy bałbyś się mnie po ludzku i już przez to uznałbyś mnie za równego sobie. Spokojnie, panoczku, sam pan wiesz, co znaczy ta kropla po zadrażnieniu w stosunku do krwi, jaka leje się teraz na świecie. Słyszysz, o czym rozmawiają ci pod oknem. Znowu Amerykanie zbombardowali szpital w Wietnamie. Pewnie rano, jeszcze w bamboszach, popijając kawę, przeczytałeś o tym i nawet nie drgnęła ci powieka, a teraz po głupim zadrażnieniu przestraszyłeś się śmiertelnie. Co ciebie mogą obchodzić ludzie normalni, którzy mordują setki tysięcy, ty zajmujesz się tą częstką nienor-

malnych, którzy dopiero mogliby kogoś zabić — w przeciwieństwie do normalnych — tylko w napadzie szału swego nieszczęsnego wariactwa. Ale i tak nie jesteś bogatszy od wszawego milionera pod oknem, który w zestawieniu z tobą wygląda jak łachmyta, bo jemu zależy tylko na pieniądzach, a tobie na sławie i elegancji. Pochylże tę mądrą głowę, przynajmniej sam przed sobą, przecież widzę jak przyglądasz się sobie z uwielbieniem w lustrze. No, już dobrze, nie tak nisko, wystarczy. Jesteś jednak pokorny jak baranek, zawsze taki byłeś! Panie Zygmuncie, mówi do mnie ten czwarty, w którym poznaję swego sąsiada, słyszał pan, ta puszczańska z czwartego piętra truła się wczoraj w nocy. Patrzą na niego i milczą, a on swoje, ale ją odratowano, mówi z żalem, takiej zdziiry diabli nie wezmą. Skąd u was ludzie tyle śmierci i nienawiści, myślę, ale nic mu nie odpowiadam, bo muszę dla niego być ludzki, to mój sąsiad. Powinienem za wszelką cenę zachować się normalnie, przecież na fotelu siedzi psychiatra, który zaraz pomyślałby... Do niej chodził nawet jakiś major, znowu mój sąsiad.

W lustrze zdziwiona i nielicho zła twarz sąsiada. Są jeszcze o wiele gorsi ludzie od niej, odpowiadam możliwie najłagodniej, nie chcę go za bardzo rozgniewać, trzeba przecież z ludźmi żyć w zgodzie. Widzę w lustrze: doktor psychiatra otwiera oczy i patrzy na mnie z zaciekawieniem. Ho, ho, to co powiedziałem musiało dla niego zabrzmieć mądrze. Powiedziałem jak jaki filozof. Co ty naprawdę możesz o mnie wiedzieć? Jakbyś tu sam stanął z brzytwą nad czyimś gardłem, to może dowiedziałbyś się czegoś o człowieku. A ja właśnie tak stałem wczoraj wieczorem, jak ty nigdy nie będziesz stać. Nie zdążyłem nawet o tym pomyśleć, a już jakaś mgła naszła mi na oczy, więc przecieram ręką, niby sięgając po ręcznik, wacham malutką flaszeczk-

kę i już mi trochę lepiej. Znowu pod oknem o czymś gadają, pilnie przysłuchuje się im mój sąsiad z trzeciego piętra. Podobno ma zdrożeć, ale nie słyszałem co.

Przyszedł tuż przed zamknięciem i może dlatego, że był tutaj wczoraj, teraz kiedy stoję z brzytwą nad tobą dółtorku, nie mogę inaczej myśleć. Tak, wszedł tuż przed zamknięciem, na dobrą sprawę to kilka minut po godzinach. Już tylko ja zostałem, aby sprzątnąć, jak zwykle od roku, i tym razem mnie nie poznał, ale ja go poznałem, więc od razu zamknąłem drzwi, żeby już nikt więcej nie wszedł. I tak zostaliśmy sam na sam. Już przy pierwszym pociągnięciu pędzlem zadrżała mi ręka, bo od dwudziestu lat dopiero teraz pierwszy raz byłem z nim sam na sam. To przecież nie kto inny, tylko on w swojej ważnej osobie. Chyba z pięć razy go namydliłem, jego ust i oczu spod mydlin prawie nie było widać. Zupełnie znikły te dobrze mi znane chytrenkie, maleńkie oczka, ale i bez nich wszędzie bym go poznał, nawet w piekle. Tylko on o mnie na amen zapomniał, widać, że od bardzo dawna o mnie nie pamięta, jeśli teraz nie przypomniał mnie sobie. Wiadomo, po co miałby taki ważny człowiek pamiętać o takim marnym jak ja facecie. A kiedy już położyłem pędzel i wziąłem do ręki brzytwę, wtedy pewne zdarzenia z mego życia sprzed dwudziestu lat stanęły przed moimi oczami, jakby to wszystko działo się nie dalej jak wczoraj, albo nawet przed godziną. Ale nie, nie byłem już zdenerwowany. Szybko wrócił do mnie spokój, jak gdyby to był zwyczajny klient, choć zwyczajnym on nie mógł być. Zacząłem obliczać jakby układając jakąś zabawę — i ta chęć dziwnej zabawy której pragnąłem, poniosła mnie. Pierwsze dotknięcie brzytwą będzie za pierwsze świństwo, kiedy on mnie podrobił chamsko jak pracowałem w Miejskiej Radzie. A było to świństwo podwójne, bo ja przedtem przyjąłem go do pracy,

a on mnie stamtąd potem wyrzucił, zwałił na mnie swoje własne machlojki i uwierzyli jemu, a nie mnie. I pomyśleć, że on, od wielu lat taka ważna figura, podobnie jak i ja, także kiedyś był fryzjerem. Drugie cięcie powinno być dla niego najgorsze, bo kosztowało mnie cztery lata siedzenia. Przekupił podstawionych świadków i już nie mogłem się obronić, jak teraz on nie powinien się obronić. O, już zaczął się niecierpliwie grubą warstwą mydlin wciskających się do ust i oczu. Gruby doktorek na fotelu, trochę do niego podobny, tyle tylko, że tamten sprytniejszy i nigdy jak doktorek psychiatra nie udawał przed kimkolwiek, że jest miękki i dobry, więc doktorkowi należy się współczucie. Ponownie długo ostrzę brzytwę; znowu zdenerwował się aż mu piana weszła do ust. Przecież już ostrzyłem, warknął, a ja mu na to, że nieładnie byłoby do twarzy tak ważnej osobistości, jakby poszedł pozacinany; nie odpowiedział, wyrzucił nieznacznie językiem pianę mydlaną, która wciąż cisnęła się do jego ust.

Dotknąłem brzytwą i goliłem jego policzek dobrych dziesięć minut, wciąż namydłając od nowa. Co pan robi, do jasnej cholery, znowu syknął, aż mydliny spieniły się na jego ustach. O, ja jestem solidna firma, odpowiedziałem, i nie mogę nie ogolić porządnie tak szanowanego pana, mówiłem jak służący, a on, co był zawsze łasy na kadzenie, gładko połknął haczyk. Dokładnie to samo zacząłem robić z drugim policzkiem, tak samiutko długo, to on znowu do mnie, bo mu smak tamtego połechtania przy pierwszym policzku już minął, a co ja sobie myślę do diabła, on się spóźni na ważny interes. E, o tej porze, mówię do niego znowu spokojnie, nie ma ważnych interesów, a taki człowiek jak on musi być zawsze elegancki, zresztą to ten, kto z nim coś załatwia, ma ważny interes, a nie szanowny

pan. Jakby się nieznacznie i z przymusem uśmiechnął.

No i wreszcie skończyłem policzki, bo jakże tak przedłużać w nieskończoność. Najpierw wygolę pod nosem, na gardle zostawię sobie na samiutki koniec, na deser. Teraz już swobodny od mydlin, patrzył w lustro swoimi ślepiami i jakby nad czymś przemyślał, może o jakimś nowym świństwie. A, tak, z przyjemnością, zrobimy i strzyżenie, odpowiadam; raptem odezwał się psychiatra, żebym go również ostrzygł, i to mnie oderwało na chwilę myślą od tamtego, wczorajszego. Mój sąsiad powiedział do innych, że jest właśnie moim sąsiadem i nigdy w życiu nie znał tak dobrego fryzjera jak ja. Każdy fach jest dobry, jak się jest w tym fachu najlepszym, powiedział milioner pod oknem. Trzeba kochać swój zawód, trzeba wykonywać go z zamiłowaniem, odezwał się doktorek, a odbicia w lustrze po prawej i za mną potaknęły głowami z wyrazem zadowolenia na twarzach, odezwane się do nich doktorka przyjęła jako zaszczyt. Ja bym ci pokazał, jak dobrym trzeba być w swoim fachu, ale ja przecież nic do ciebie nie mam, ty mi nigdy nie przeszkadzałeś żyć; dlaczego jednak kłamiesz mówiąc, że człowiek najbardziej sam sobie przeszkadza żyć. Dlaczego nie przestajesz ludzi oszukiwać, po co ci to potrzebne...

Kiedy skończyłem nożyczkami, włączyłem maszynkę i znowu zobaczyłem tamtego na fotelu z mydlinami na gardle. Pod nosem wygalałem mu prawie aż do zdjęcia naskórka, jakbym chciał każdy włoszek wygrzebać razem z cebulką; syknął ze skrzywioną z bólesci twarzą, jednocześnie z trudem zerkając na zegarek: poskarży się prezesowi spółdzielni, a ten mnie urządzi, że popamiętam na całe życie. Jednak nie mógł się wydzierać zbyt głośno, bo co innego w swoim urzędzie, a co innego w fotelu u fryzjera. Jak on do mnie z groźbą, to ja niby niechcący zatrzymuję brzytwę tuż przed jego

nosem. Powiedziałem, jesteście sam na sam i teraz nie znajdzie pan na mnie żadnego świadka, w dodatku nikt nie uwierzy, że gołem po godzinach... W jednej chwili pojawiły się duże krople potu na jego czole. Zażartowałem, szanowny pan jest u mnie bezpieczny i włos mu z głowy nie spadnie. Znowu jakby gorzko się uśmiechnął, czy usiłował się uśmiechnąć; ja naprawdę mam dzisiaj ważne spotkanie, prosił. E, co dzisiaj znaczą pieniądze, one szczęścia człowiekowi nie dają, Mam ważne spotkanie z kimś bardzo ważnym, on znowu. Ależ szanowny pan jest tak ważnym gościem, że nie powinien liczyć się z innymi; czy jest ktoś w mieście ważniejszy od pana. Popatrzył na mnie, dostrzegłem to w lustrze; przestał się wiercić, bezwładnie opadł na fotel, już całkiem rozpreżony, jednocześnie jakby zrezygnowany. Czy panowie wiecie, że prezes Adamiak siedzi za łapówki, choć przez dwadzieścia lat tak go wszyscy wychwalali, dawali order, mówiono nawet o nim, że jest najofiarniejszym działaczem w mieście, usłyszałem za plecami. Na szczęście, wcześniej czy później, hylów nie mija kara, mówi facet obok milionera, to tak samo, jak nikt wcześniej czy później nie może uniknąć śmierci, dodał. Słowa te najwidoczniej zrobiły wrażenie na doktorku, natychmiast spowaźniał, jakby zapisując coś w pamięci. Włączam do kontaktu maszynkę i jej szum prawie całkowicie zagłusza rozmowy czekających, zresztą mówią o jakichś pierdołach, domyślam się tego po urywanych, głośniejszych, słowach, które łapię uchem. Oni po prostu opłotkowują kogo się tylko da. Jak cholernie głośno warczy ta maszynka; panie Zygmunco, niech pan tylko nie skraca mi za bardzo włosów, mówi psychiatra. Manson też był cholernie owłosiony, nie wiedzieć dlaczego odzywam się do doktora, który jest lekarzem chorych dusz, jak o nim piszą w gazetach. Teraz panuje nawet moda na

połatane dzinsy, dodają to chyba dlatego, aby zatuszować poprzednie słowa. Tamtemu wczoraj na fotelu w pewnej chwili spadło trochę mydlin z podgardla; zaraz popatrzył na swoje spodnie i skrzywił się. To plamka bielutka, czyściutka, znam ludzi, którzy mają plamy cholernie czarne — mówię — i wcale się tym nie przejmują. Facet zaczyna mi się uważnie przyglądać. Tyle lat nosiłem go w pamięci, to przecież przez niego zwichnąłem sobie życie.

Znowu zabieram się do jego gardła. Zaraz po tym, jak mnie wpakował do ciupy, dostał wysokie stanowisko i już nigdy, jak słyszałem, nie przyznawał się, że był kiedyś fryzjerem. Został postrachem całej okolicy, jak dzisiaj jest postrachem w tym mieście. Na początku w rozmowie z ludźmi mówiłem o nim to i owo, ale każdy mnie przestrzegał, abym był ostrożniejszy, jestem tu krótko i nie zdaję sobie sprawy z tego z kim mam do czynienia. Długo czekałem aż przyjdzie i wreszcie wczoraj stało się. Już i przedtem przychodził kilka razy, ale nigdy nie byliśmy sam na sam. Zawsze pościłem się przy nim okropnie, a kiedy dotykałem go, to jakbym dotykał zimnego ciała żaby albo padalca. Pozostało już tylko gardło, mówię. Gol pan, do cholery, znowu krzyczy ochryple. O, szanowny panie, co nagle to po diable, przecież nie mogę pana skaleczyć, szkoda byłoby takiego gardła, słyszałem jak pan pięknie przemawiał. Dotykam brzytwą tuż, tuż, przy samym rąbku bieluteńskiego kołnierzyka. Podobno zbudował willę w górach, wszyscy mówią, że za kradzione, ale nie ma nikogo, kto mógłby mu to udowodnić, co więcej, nie ma takiego odważnego, który mógłby o tym publicznie powiedzieć. Po moim wyjściu z więzienia znowu jego łapy mnie dosięgły; ledwo się wtedy wywinąłem, więc zaraz zmieniłem nazwisko. Czy szanowny pan pamięta Zdziśka Taryłę, pytam go niby

mimochodem, ale uprzejmie. Spojrzał na mnie zdziwiony, widzę to w lustrze, ale teraz oprócz zdziwienia niczego, nijakiego strachu, nawet żadnej najmniejszej ciekawości nie było w jego twarzy. O co panu chodzi, nie przyszedłem tutaj na pogaduszki, on znowu tonem poważnym i urzędowym, karcąco niczym w swoim urzędzie. Niech się szanowny pan nie denerwuje, ja spokojnie; och, co za czasy, już nawet nie można sobie pogawędzić, po ludzku porozmawiać, zwłaszcza sam na sam, bez świadków. Weiskam mu leciutko w gardło brzytwę, ale na płasko, żeby go nie zranić. Proszę, niech szanowny pan siedzi spokojnie, o wypadek nie-trudno. Niechże pan wreszcie skończy, wykrztusza, bo gorzko pożałuje. Proszę milczeć, jestem teraz na gardle. Cichnie, a ja przyglądam się uważnie jego twarzy w lustrze. I on wpatruje się we mnie swoimi ślipkami, w których już widać, jak mówili w jednej sztuce w telewizji, płomyczki strachu. A więc poznał mnie, to dobrze. To był fajny chłop, ten Zdzisiek Taryło, może trochę mazgaj, za bardzo ludziom wierzący, ale chłop serdeczny, mówię. Zaczyna drżeć, to dobrze; skąd u mnie tyle mściwości. Przestaje golić, nie mogę, mam pod górę, a pan ciągle drży. Wstrzymuje oddech, drżenie słabnie, srebrne krople na jego czole powiększają się, kilka nawet spadło mu na spodnie. Piekielnie tu duszno, budują teraz bez głowy, to znaczy się bez odpowiedniej wentylacji. Nagle pociągnięcie, błyskawiczne, aż do samej brody. Udało się, prawie wykrzykuje. Długo wycieram brzytwę z mydlin przed jego oczyma. Zdzisiek Taryło przyjął kiedyś do pracy swego znajomego, też fryzjera. Mój facet sinieje na twarzy, posiniało nawet to wygolone pasemko, od kołnierzyka do brody. Chyba nie usiedzi już dłużej, nie może już myśleć, że to pomyłka. Rzeczywiście, chce wstać. I tak się pan już spóźnił, więc mamy teraz dużo czasu, drzwi

zamknięte, nikt nam nie będzie przeszkadzał. Znowu opadł na fotel, skulił się, choć jest tłusty jak wieprzak, nawet brzuch wciągnął. Panie Zygmuncie, mówi doktorek, proszę nie certolić się z moimi włosami, wie pan ile ich jest, i tak nie da pan rady wszystkich wyrównać. Chwileczkę, jeszcze jedną chwileczkę, już tylko kilka minut, uspokajam psychiatrę. Co on o mnie może wiedzieć. Prawie całe życie jestem fryzjerem i nie zastanawiałem się, ile jest włosów na głowie, mówię śmiejąc się. Doktorek też się zaśmiał. Ciekawy z pana człowiek, mówi. Szkoda, że na przykład pisarze nigdy nie robią głównymi bohaterami swoich książek zwykłych fryzjerów. A rzeczywiście, to niesprawiedliwe, odpowiadam. Naszej rozmowie przysłuchują się oczekujący. Nigdy nie czytałem powieści o fryzjerze, są o krawcach i szewcach... Pewnie dlatego, że samo to słowo brzmi niezamierzenie humorystycznie, mówi psychiatra. Pochyliam się i patrzę w jego twarz. Bardzo przepraszam, nie chciałem pana urazić. Nie szkodzi, nie ma za co, wcale mnie pan nie uraził. Zatrzymałem przed nim brzytwę. Nawet z brzytwą przy szyi klienta fryzjer nie wygląda groźnie, żartuję udając powagę. Doktor aż zatrzęsł się od śmiechu, oczekujący głośno mu zawtórowali. Najkrzykliwiej śmiał się mój sąsiad, pewnie dumny z mojej mądrości. Że też ci faceci nie mają wyobraźni to nie dziwota, ale on, znawca dusz ludzkich, jak mówiono o nim niedawno w telewizji, znawca życia... Tylko ten wczorajszy miał wyobraźnię; kiedy zabierałem się do resztek mydlin na jego gardle drżał już jak galareta...

Wreszcie skończyłem to wczorajsze, najdłuższe w swoim życiu golenie; spryskałem wodą kolońską, trochę za bardzo w oczy, żeby go zapiekło porządnie i zaćmiło widzenie. Wytarłem dokładnie, prawie pieszczotliwie, zdjąłem serwetkę. Bardzo proszę, szanow-

nego pana, pięknie dziękuję, powiedziałem z ukłonem, a wciąż z brzytwą w rękę. W pierwszej chwili nie poruszył się odrętwiały, nieruchomy jak kamień. Dziękuję szanownemu panu, powtórzyłem słodziutko. Ja nie zrobiłem żadnej krzywdy Zdziśkowi Taryle, powiedział udając, że mnie jednak nie poznał, ale przecież już to samo odezwanie się zdradziło go. On sam sobie był winien, ja go wiele razy broniłem o czym mógł nawet nie wiedzieć. W porządku, szanowny panie, przyjdę przy najbliższej okazji posłuchać pańskiego przemówienia. Uśmiechnął się kwaśno, z wysiłkiem, jak poprzez doznaną przykrość. Wreszcie wstał skulony, z pochyloną głową, długo grzebał w kieszeniach, wyciągnął do mnie rękę z papierkiem pięćdziesięciotowym. Nie trzeba reszty, wykrztusił. Odrąciłem jego rękę, to przecież była zwykła, ludzka pogawędka, bardzo przepraszam, że golenie trwało tak długo i przeze mnie pan się spóźnił, ale dzisiaj, nie wiedzieć dlaczego, byłem piekielnie zmęczony. Położył pieniądze na blacie przed lustrem. Ruszyłem w ukłonach i otworzyłem drzwi, tuż przed progiem zawahał się i spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Proszę, proszę uprzejmie, do widzenia szanownemu panu, jeszcze raz dziękuję za miłą pogawędkę, polecam się w przyszłości, nie z każdym dzisiaj można tak ciekawie porozmawiać w czasie pracy. Zamknąłem oszklone drzwi i nawet nie spojrzałem za nim. Całkowicie wystarczyło mi to, że widziałem jego strach, jego śmiertelne przerażenie; sprawiło mi to ogromną przyjemność, jakbym zrzucił z siebie jakiś kamień ciężący mi od tylu lat. Wróciłem przed lustro i pierwszy raz w życiu, myśląc o tym facecie, uśmiechnąłem się sam do siebie. O, naiwny, ja przecież tutaj nie mógłbym mu zrobić żadnej krzywdy. Nie, nie bałem się jego zemsty. Nie jesteśmy przecież równi sobie, co więc on może mi zrobić, mnie,

zwykłemu fryzjerowi, on, taka ważna osobistość, na tak wysokim stanowisku... Dzisiaj już nawet nie mógł się przyznać do znajomości ze mną.

Skończyłem strzyć psychiatrę, podstawilem mu lus-terko, żeby obejrzał fryzurę z tyłu. Czy naprawdę wczoraj po godzinach goliłem tamtego faceta, nagle nie byłem tego całkowicie pewien. Jest pan w doskonałej sytuacji, kiedy tak stoi nad swoją ofiarą, zadowolcypkował doktorek, ma pan każdego w ręku. Nie każdego, odpowiedziałem ze śmiertelną powagą. A jednak bałbym się mieć cokolwiek na sumieniu z powodu pana. Tak się tylko panu wydaje, zaprzeczyłem — fryzjer nie ma przecież wyobraźni, to tylko klienci czasami mają wyobraźnię aż nazbyt bujną, i dlatego tym gorzej dla nich. Teraz już naprawdę nie byłem niczego pewien, jeśli chodzi o wczorajszego faceta. Doktor psychiatra wstał, wyczyściłem jego marynarkę z włosów. Proszę, który z panów następny, powiedziałem uprzejmie. Usiadł milioner spod okna. Ty parszywy złodzieju, syknąłem w duchu. Ale jego strzygłem i goliłem najnormalniej w świecie, zwyczajnie.

WŁADZA

Już od wielu miesięcy zostawiają mnie samego w pokoju. I tak prawdę mówiąc, ich kontakt ze mną ograniczył się tylko do podawania mi codziennie trzech posiłków i wymianie rytualnych pozdrowień. Rano, w południe i wieczorem. Nigdy nie odzywają się do mnie, jeśli nie muszą. Wreszcie mam wymarzony spokój. Nie jestem też dla nich wcale uciążliwy. Mogę się poruszać. Swobodnie oczywiście, w moim wymiarze swobodnie, więc mogę przejść z łazienki do kuchni, gdy zechce mi się pić. Nie jestem też ich pasożytem. Ta renta, którą mi przyznano, wystarcza na utrzymanie domu. Zresztą Ewa pracuje — i jej pensja przeznaczona jest na inne wydatki, prócz wyżywienia trzech osób. Kupujemy wspólnie, Ewa zawsze radzi się mnie, co kupić. Oczywiście, najczęściej przytakuje i zgadzam się na wszystko, bo Ewa jest rozsądna, oszczędna i ma gust. Kiedyś, owszem, mieliśmy często odmienne zdania, ale teraz, na stare lata, we wszystkim się zgadzamy. I dopiero teraz wiem, że dawniej nie miałem racji przeciwstawiając się Ewie. Te rozbieżne zdania najczęściej dotyczyły Janusza, sposobu jego wychowania, zresztą, kto wie, może w tym przejawiała się nasza rywalizacja o serce syna. Swoją drogą, muszę przyznać, że śliczny będzie kiedyś mężczyzna z naszego Ja-

nusza. Na pewno ułoży sobie życie o wiele lepiej, niż ja je ułożyłem. Już w tej chwili jest prawie dorosły, nie, nie wiekiem, ale rozumem... Od dziecka był samodzielny i pewnie tę samodzielność odziedziczył po mnie... Ja wychowywałem się jednak w o wiele trudniejszych warunkach. Nie pamiętam nawet swojego ojca. Będąc dzieckiem, któregoś dnia zrozumiałem, że musiałem mieć ojca, bo inaczej nie byłoby mnie na świecie! To dziecinne odkrycie w pierwszej chwili bardzo mnie ucieszyło, ale niestety nie na długo. Było to jednak jedno z największych, triumfalnych moich odkryć w dzieciństwie. Świadomość, że miałem ojca. Tego Janusz nie mógłby zrozumieć. Gdybym mu kiedyś o tym opowiedział, a wiele razy już chciałem to zrobić — na pewno roześmiałby się cynicznie i nieszczerze, bo cynizm to taka dzisiejsza moda. Nie, Janusz nie jest znowu aż tak złym chłopcem; przecież nigdy nie zrobił nic przeciw mnie, a swoje zdanie wolno mu już mieć. Z moim zdaniem liczono się już wcześniej, gdy byłem młodszy od Janusza. Tyle już razy próbowałem z Januszem porozmawiać, wszystkie te próby kończyły się fiaskiem, Janusz był nieufny w stosunku do mnie, a ja nie chciałem wdzierać się gwałtem do jego duszy... A przecież teraz... A przecież ojciec i syn... Co ojciec i syn? No, rozumie się. Wpływ ojca na syna, potem szacunek. Nie, zawsze szacunek. No, jakoś tak. Dlaczego nie pomagała mi Ewa zdobyć przyjaźni Janusza? Przecież powinna to robić, jest jego matką i moją żoną. Może dzisiaj stosunki między ojcem i synem winny układać się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy kolegowałem się z chłopcami, którzy mieli ojców. Ewa, tak Ewa...

Dlaczego ostatnio tyle myślę o Januszu i Ewie, szczególnie o Januszu? O sobie? Nie, nie jestem jeszcze stary i nie taki znowu chory. Lekarze mówią, że za rok będzie wszystko w porządku. Koniecznie wrócę do pra-

cy, rentę mogą zabrać, zarobię przecież trzy razy tyle. To nawet dobrze, że przez rok odpocznę od ludzi. Nawet od Ewy i Janusza, którzy od kilku miesięcy szanują mój spokój, nie dokuczają mi, przechodzą obok mnie na palcach. Mogliby do mnie jednak częściej i więcej mówić, ale ja ich rozumiem. Chcą abym wypoczął, abym naprawdę wypoczął, są delikatni. Nawet Janusz. To Ewa tłumaczy mu wszystko, przekonała go, że jest mi potrzebny spokój... Teraz, od tych kilku miesięcy, widzę wiele rzeczy zupełnie inaczej, więc potem, kiedy wszystko wróci do normy, będę doskonale wiedział, jak postępować. Doświadczenie, to jest coś. Muszę to wszystko obmyśleć w ciągu tego roku, uporządkować przed samym sobą... Mój umysł wcale nie jest jeszcze zmęczony i ta choroba też go nie wycieńczyła...

Jednak Janusz mógłby przychodzić do mnie z lekcjami, nigdy przecież nie uczył się najlepiej. Oni jednak myślą, że to by mnie męczyło. Mówilem o tym Ewie, ale ona powiedziała, że muszę wypocząć, mieć idealny spokój; nie uwierzyła, że byłoby mi przyjemnie i to by mnie wcale nie męczyło, gdyby Janusz do mnie przychodził. Ewa nie uwierzyła w moją szczerość, więc wszystko pozostało jak dawniej. Janusz nie przychodzi do mnie z lekcjami, choć w ostatnim czasie znowu źle się uczę. Dowiedziałem się o tym słysząc przypadkowo ich rozmowę. Moglibyśmy właśnie teraz zacząć te lekcje, siedzę przecież beczynn timer. Jeśli człowiek nie robi nic konkretnego, wtedy bez przerwy przychodzą mu do głowy różne myśli — szczególnie za dużo myśli o sobie. Zanudzę się na śmierć samym sobą. Ciągłe sobą. Czasem, jak w tej chwili, myślę także o nich. Tak, szczególnie o Januszu... Mógłby jednak od jutra przychodzić do mnie z lekcjami... Sam mu to powiem, jak wróci z kina... Poszedł razem z Ewą. To dobrze, że Ewa nie będzie wracać sama. Dzisiaj jest ciepły wie-

czór, trochę jednak za bardzo duszny jak na tak wczesną wiosnę... Okno otworzę później, jak się zupełnie ściemni, lubię w nim stać podczas zapadania zmroku. Nigdy nie zapalam światła aż do kolacji. Zawsze, kiedy akurat zamknę okno, przynoszą kolację; najczęściej Ewa, o wiele rzadziej Janusz. Nie mogę żądać, żeby Janusz przynosił częściej kolację, on musi się przecież uczyć. Chyba już teraz otworzę okno. Idę zupełnie dobrze i wcale mnie to nie męczy. Po tej drugiej kontuzji na wojnie — w szpitalu chodziłem o wiele gorzej, ledwo powłóczyłem nogami, a teraz chodzę sobie jak gdyby nigdy nic. Ot, idę tak prosto jak wszyscy ludzie i nie przywiązuję do tego żadnej wagi. Idę, jak chodzą tysiące ludzi nie myśląc o tym, że właśnie chodzą. Ciepły, cichy wieczór, słyszę wyraźnie kroki pod oknem. Ludzie wciąż przechodzą chodnikami wzdłuż naszego domu. Od dawna poznaję kroki Janusza i Ewy. Czasem jednak przegapiam, ale dziś nie mogę ich przegapić. Wracam cichutko na swoje stałe miejsce. Chodnikiem przetacza się jakiś grubas, jego kroki rozlegają się jak uderzenia w ogromny bęben. Teraz podłotek, więc pałeczki przebiegają po skórze werbla. Spojrzę raz jeszcze w okno, przecież chodzę swobodnie i mogę robić to, na co mam ochotę. Przede mną domy popstrzone mdłymi, matowoczerwonymi światełkami. Miasteczko, w którym się urodziłem, które znam jak ten pokój, wyjeżdżałem przecież stąd tylko na wojnę. Tam światełko hoteliku, dalej na prawo kawiarnia, widzę oświetlony szyld tego Żyda, co się powiesił w drzwiach przed przyjściem żandarmów, teraz jego synowie prowadzą stolarnię. Ta ciemnoszarawa plama za stawem to park... Dlaczego oni nie wracają, już dawno powinna być kolacja; nie jestem głodny, ale o tej porze zawsze kładę się już spać. Najczęściej zasypiam z twarzą w kartkach książki. W nocy, chyba zawsze o tej

samej godzinie, budziłem się i odkładałem książkę, potem czekałem na pierwsze pianie kogutów gospodarza, który mieszka za nami — i znowu zasypiałem. Lekarz zabronił mi wieczorami czytać, Ewa jednak nie wiedziała o tym, bo nigdy nie chciałem jej niczym martwić...

Która to godzina? O Boże, jak już późno! Przecież Ewa i Janusz z pewnością są już w domu. Nie widzieli światła w moim pokoju, więc pomyśleli, że śpię. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że Janusz przynosił mi dzisiaj kolację, długo ze mną rozmawiał o swoich chłopięcych, śmiesznych kłopotach, a ja odpowiadałem mu poważnie, rzeczowo radziłem. Teraz oni spokojnie śpią; i ja o tej porze zawsze już zasypiam. Jeśli nawet nie przychodził dziś Janusz z kolacją, to miał rację, bo wcale nie chcę teraz jeść. Nie wiem czemu, ale cieśzy mnie czasami krzyk Janusza przez sen w sąsiednim pokoju — może dlatego, że w takich chwilach najbardziej czułem ich obok siebie: łagodnie pytający głos Ewy i przeciągły krzyk Janusza...

Zawsze miałem nad nimi władzę, zawsze kierowałem ich losem, cieszyłem się, że jestem za kogoś odpowiedzialny... We wszystkim byli mi posłuszni, zawsze podzielali moje zdanie, bo przecież ja wśród nich byłem najmądrzejszy. Ewa kobieta, Janusz dziecko, więc choćby z tej racji. Teraz Janusz chce żebym go traktował jak dorosłego. No, na pewno... Nie, chyba... Dlaczego ich jeszcze nie ma, może dawno śpią, a ja, głupi, wciąż czekam. To niemożliwe, nie zapomnieliby przecież o mnie. Nigdy nie zapominali. Mogę przecież swobodnie chodzić, więc pójdę do kuchni, napiję się wody... Raz, dwa, trzy... Oto stoję sobie w najlepsze. Gdzie tylko zechcę, tam pójdę... Wspaniale... Zrobiłem trzy pełne, normalne kroki! Jeszcze tylko kilka miesięcy... Już niedaleko do drzwi. Zaraz zawołam Ewę albo Janusza, zawsze byli mi przecież posłuszni, czasem na-

wet zgadywali moje życzenia, w lot chwyтали moje myśli. Nie wiem czy tak duszno jest w pokoju, czy to ja spociłem się z emocji. Tę klamkę zawsze trzeba było mocno naciskać... Słyszę ciche szepty, z których niczego nie mogę jeszcze zrozumieć... Nie usłyszałem nawet, kiedy przyszli, jakże mogłem usłyszeć, jeśli bez przerwy myślałem o sobie. Całe życie nikt o mnie nie myślał, więc przyzwyczałem się do myślenia o sobie samym. Wreszcie puściły te piekielne drzwi... To nic, one zawsze otwierały się tak ciężko... Przyszli późno, więc myśleli, że już śpię, nie chcieli mnie budzić. Jeszcze kilka kroków i będę przy drzwiach sypialni... Słyszę kroki, to Janusz wraca z łazienki. Rozmawiają, głośno rozmawiają, a może kłócą się... Tak, chyba kłócą się. Janusz często zachowywał się niegrzecznie w stosunku do matki, musiałem go nawet za to karać. Tylko ja miałem u niego autorytet, wielki autorytet... Ewa bardzo często prosiła o skarcenie Janusza, ale za chwilę stawała w jego obronie, więc cała nienawiść Janusza skupiała się na mnie. Jeszcze jeden krok, już tylko jeden. Aż dziwne, że moje ciche kroki zagłuszają ich głośne słowa. Tak, będę ich podsłuchiwał, pierwszy raz w życiu będę ich podsłuchiwał. Dotychczas nigdy nie obchodziło mnie, o czym oni rozmawiają... Dlaczego Janusz krzyczy?... Cholera, poruszyłem się za głośno... Gdyby mnie nakryli pod tymi drzwiami, byłaby to ostateczna i nieodwracalna moja klęska... Już słyszę ich wyraźniej, ale tylko urywane pojedyncze słowa. Znowu cisza. Teraz Ewa nerwowo zapala papierosa. Szelesty... To Janusz rozbiera się i idzie do łóżka. Skrzyp sprężyn przez chwilę głośny słowa... położył się...

— Nie możesz tak o nim mówić, to przecież twój ojciec... Może nie był najlepszy, ale nie wolno ci o nim tak mówić...

— Jakaś ty strasznie fałszywa! Ty go nie kochasz i nigdy nie kochałaś...

— Jesteś jeszcze bardzo młody...

— I głupi, powiesz... No, nie? Twoja mądrość, to fałsz!

Teraz chwila ciszy.

— Janusz, śpij już... Jutro porozmawiamy... Ty naprawdę nie masz racji — słyszę błagalny głos Ewy.

Zamierający głos Ewy przechodzi w szloch, albo tak mi się tylko wydaje. Skrzyp sprężyn łóżka, to Janusz poruszył się albo na nim usiadł.

— Dla ciebie także nie był najlepszy, nie zaprzeczaj. On zawsze myślał tylko o sobie. Dopóki był zdrowy, miał nad nami władzę, był pewien, że go nigdy nie opuścimy... Teraz też jest pewien...

— Janusz, błagam cię, przestań... To okropne, co mówisz... Czy zaniósłeś mu dzisiaj kolację?

— Tak, tak, tak! — krzyk Janusza.

I po tym krzyku cisza, długa cisza. Zamilkli. Wreszcie ktoś się poruszył, jakieś kroki w sypialni, w stronę drzwi. Nie, nie przywidziało mi się to wszystko. Chaos i przerażający szum w głowie. Gęsta mętność, z której nie można wyprowadzić żadnej myśli... Czy rozumiem, uświadamiam sobie, co mówi mój jedyny syn Janusz? Tak, tak. Ależ tak, ja o tym wszystkim wiedziałem. Już nie mogę go obronić przed samym sobą, więc to koniec. Nie ma już nikogo i nie ma już nic... Choroba wszystko przyśpieszyła, a raczej pozwoliła zrozumieć. Czy ja miałem nad nimi kiedykolwiek władzę? Władza i strach, teraz choroba... Co? Co mi jest? Nigdy nie czułem się tak okropnie... Głowa spada z klamki... Grzmot w głowie i piekący ból. Jakże mi duszno i ciężko, osuwam się jak worek cementu... I widzę stąd, z podłogi, jak zapalają się nagle szpary w drzwiach... Trzask otwieranych drzwi i głowa oparta

o drzwi przepływa przez próg, osuwa się na miękki dywan. Nade mną stoi Janusz. Z dołu, kącikami oka, widzę jego twarz. Nie ma w niej teraz nic prócz zdziwienia. Ewa poruszyła się w łóżku i ten szelest słyszę jak zapowiedź odsieczy. Nagle Janusz wiotczeje jak cień, kuli się, jakby chciał się zwinąć w kłębek... Więc boi się mnie jeszcze, boi się z przyzwyczajenia! Mam jeszcze nad nim władzę... Na pewno mam... Muszę natychmiast coś do niego powiedzieć... Muszę, inaczej... Dlaczego Ewa tak powoli wstaje z łóżka? Ostatnia sekunda, muszę coś powiedzieć...

— Dlaczego się gapisz! Idź spać, gówniarzu! Natychmiast!...

Unoszę głowę wpinając ręce w miękki dywan. Wreszcie podbiega Ewa, ale nie jest mi już potrzebna... Pomaga mi się podnieść... Opieram się o ścianę... Teraz Ewa popycha w moją stronę Janusza. Jedną ręką przyciąga chłopca, drugą kładzie na mojej głowie.

— Idziesz ty wreszcie spać! — krzyczę do Ewy. — Kładź się, smarkaczu! — popycham potulnie stojącego Janusza.

Odchodzą. Gaszą światło. Mam władzę. Jak mogę najszybciej dopełzam do swego pokoju i zwalam się na łóżko... Jutrzejszy dzień będzie znowu mój... Przecież ja naprawdę mam nad nimi władzę... Mam... Naprawdę mam...

PRÓBA ŚWIATŁA

Od śmierci męża z niepokojem obserwowała córkę; w jej zachowaniu było coś nieodgadniętego, czego nie mogła pojąć. Nie, nie może powiedzieć, Ewa przeżyła śmierć ojca; kilkakrotnie złapała ją przecież, jak ci-chaczem popłakiwała w przekonaniu, że nikt jej nie widzi. Coś jej jednak mówiło, że nie-był to tylko zwykły żal i rozpacz po stracie ojca; zachowanie się córki nasuwało podejrzenie, że oprócz bólu targa nią coś w rodzaju złości; i dalej, podejrzewała, że nie jest to bunt przeciw tragedii, samej śmierci, że kryje się w tym coś jeszcze, czego naprawdę nie może pojąć, choć bezskutecznie chce tego dociec. W ostatnim okresie przed tą nagłą śmiercią spostrzegła, że Ewa w stosunku do ojca stawiała się coraz chłodniejsza, usiłowała go wręcz unikać, choć nigdy tego nie robiła demonstracyjnie; i tej zmiany w swojej córce nie mogła pojąć, uzasadnić, znaleźć jej racjonalne przyczyny. Przed śmiercią męża stosunek Ewy do ojca uważała za modny przejaw buntu młodych przeciwko starym; po prostu Ewa chce być solidarna ze swoimi rówieśnikami — tak naprawdę myślała. Zaniepokojona próbowała wszystko zrobić, aby ojciec i córka częściej przebywali ze sobą, rozmawiali; nie było to jednak łatwe, bowiem mąż niewiele miał czasu dla domu, wciąż był zajęty pracą

związaną ze swoim stanowiskiem. Z drugiej strony Ewa z konsekwentnym uporem unikała kontaktów z ojcem, nawet jeśli od czasu do czasu nadarzyła się taka okazja. Najbardziej jednak nie mogła tego pojąć, że córka nie zmieniła swego stosunku do ojca nawet po jego śmierci. Te spostrzeżenia od pewnego czasu zaczęły ją obsesyjnie męczyć, chwilami myślała o tym wszystkim z przerażeniem; jednocześnie dziwiła się, jak mogła się córka tak nagle zmienić, jeśli dotąd, przez tyle lat nie zauważyła w niej nic nieprawidłowego, nic, co mogłoby ją zaniepokoić jako matkę. Stąd też, nawet wbrew samej sobie, coraz częściej zagadywała ją na temat nieżyjącego męża... Dotąd Ewa robiła wszystko, żeby nie dać się wciągnąć w takie rozmowy, wczoraj jednak nie wytrzymała i wybuchnęła: zaczęła krzyczeć niczym w furii, że dość ma ciągłego gadania o ojcu, że minął rok i wciąż od matki słyszy tylko o nim, jakby już nie było nic ważniejszego, jakby na ojcu skończył się cały świat. Słuchała tego nie dowierzając, słuchała z przerażeniem, choć wiedziała, że to jej wina, że od dawna chciała do tego sprowokować córkę. Ze złością rzuciła jej w oczy, że nigdy nie lubiła ojca chociaż on ją kochał; jej złość jakby trochę ostudziła Ewę, która odpowiedziała spokojniej: pewne rzeczy w nim lubiła a pewnych nienawidziła, zresztą on nie interesował się nigdy nimi, nigdy go nie obchodziły. W miarę spokojnie zaczęła córce tłumaczyć, że życie jej ojca nie należało tylko do niego samego czy tylko do nich, on pracował dla wszystkich, dla dobra wszystkich — i kto jak kto, ale jego najbliżsi powinni wiedzieć, że nie miał lekkiego życia.

— Ty nigdy go nie szanowałaś! — podniosła głos w pewnej chwili w przekonaniu, że już na tym zakończy się ich rozmowa; jakże jednak myliła się, to był dopiero początek rozmowy. Ewa tym razem nie uciekła

ani do swego pokoju, ani nie wyszła z domu, spokojnie zamknęła książkę, która przed nią leżała.

— Przynajmniej nie byłam w stosunku do niego fałszywa jak jego najbliżsi współpracownicy i wszelkiej maści dyrektorzy, którzy mu nadskakiwali i kadzili aż rzygać się chciało od ich lizusowskich, fałszywych słówek.

— Wszyscy go cenili, bo był ludzki — przerwała córce, natychmiast jednak umilkła uświadamiając sobie, że zabrzmiało to blado, nieprzekonywająco.

Ewa słysząc te słowa aż podskoczyła na krześle, w sekundzie jednak opanowała się.

— Mamo — zaczęła jakby w przypływie bezradności — przestań powtarzać wyświechtane slogany. Co to znaczy ludzki? Człowiek po ludzku postępując jest dobry i zły — Ewa tłumaczyła cierpliwie, wyraźnie pokonując wzrastającą w niej irytację — Czy słowo „ludzki” oznacza doskonałość, raczej przeciwnie...

— Ty go nigdy nie rozumiałaś i byłaś dla niego zawsze niesprawiedliwa, szczególnie w ostatnim okresie przed śmiercią... Czy tak postępuje kochająca córka?

— Niektórzy mówili, że miał swoje ciemne sprawy — usłyszała głos podobny do głosu automatu.

Zdziwiła się sama sobie, że te słowa córki nie wyzwołyły w niej oburzenia; po chwili z przerażeniem odczuła jakby ulgę, a więc w podświadomości musiała na takie słowa czekać od dawna; tak, to lepiej, że Ewa wyrzuca z siebie to wszystko, gorzej, gdyby tłumiała w sobie gorycz. No i wreszcie dowie się o co jej chodzi. Jakie on miał ciemne sprawy? Zmusiła się do spokoju, odpowiedziała, że nie jest w stanie zrozumieć jak rodzona córka może powtarzać takie obrzydliwe oszczerstwa o nieżyjącym ojcu, jak może rodzone dziecko nawet teraz nie uszanować pamięci...

— Wystarczy, że szanują jego pamięć najważniejsi obywatele tego miasta, którzy kiedyś podgryzali go jak mogli — natychmiast odparła Ewa. — To oni mu zafundowali tablicę pamiątkową, do której odsłonięcia, jak na ironię, wybrano właśnie ciebie — ciągnęła dalej beznamiętnie, patrząc tępo w stół, jakby dyktowała tekst do magnetofonu. — To dla nich potrzebna ta tablica, bo chcą mieć mit, który raz dwa wykorzystają dla własnych korzyści, dla kariery. I dlatego największy wczorajszy wróg ojca jest dzisiaj jego najżarliwszym wielbicielem, bo przecież ojciec jest już niegroźny... A teraz, kiedy został już nieżyjącym bohaterem, można na nim ubić swój własny interes...

— Może nie wszyscy byli jego prawdziwymi przyjaciółmi, ale gdyby żył... — odpowiedziała usiłując podnieść głos.

— Gdyby ojciec jeszcze żył, nie byłby już tym, kim był!

— A to dlaczego?

— Niektórzy od dawna czaili się, aby zająć jego miejsce, podobno już zbierali zarzuty przeciwko niemu — usłyszała spokojnym tonem wypowiedzaną informację, suchą i beznamiętną.

— Skąd ty to wszystko wiesz...? — zaczęła i zamilkła, bo takie odezwanie się mogłoby oznaczać, iż przyjmuje atakującą postawę córki za rzecz normalną, że akceptuje taki sposób rozmowy — Gdyby tak było nie robiliby tablicy! — szybko dodała ze złością, ale znówu od razu uświadomiła sobie, że i ten argument można z łatwością podważyć.

— Jeśli chcesz dowiedzieć się całej prawdy, zapytaj dyrektora Karpińskiego... Jak go przyciśniesz, wszystko wyśpiewa...

— O czym ty mówisz, Ewo? O co chodzi? — teraz zapytała z niekłamanyim zdziwieniem.

— Całe życie byłaś ślepa, nigdy nic nie widziałaś poza jego doskonałością, a ludzie...

Córka nie skończyła myśli milknąc, a ona przeczuwając niebezpieczeństwo powiedziała: — Był surowy dla złodziei i karierowiczów a inni nie lubili go, bo nie znosił dwulicowości.

Ewa wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, był to jednak śmiech sztuczny, na siłę, dla efektu.

— Właśnie, dobrze powiedziane, dwulicowość... — córka udawała, że wciąż hamuje śmiech — Najwyższy jednak czas, abyś poznała prawdę! — Przestała się śmiać, w jej głosie brzmiała wręcz groźba.

— Jaką prawdę?

Ewa wpatrywała się w matkę z ironią.

— Przez ostatnie pięć lat ojciec miał kochankę — rzuciła jednym tchem.

Chciała podbiec do córki, wykrzyknąć jej w twarz kłamstwo, ale głos uwiązł w gardle, a nogi odmówiły posłuszeństwa.

— Coś ty powiedziała? — W pytaniu było więcej skargi niż oburzenia — Wypluj to...!!! — udało się jej wykrzyknąć.

Ewa wstała i zrobiła ruch jakby zamierzała pójść do swego pokoju.

— Nie słyszałaś co mówiłam? Powtarzam, zapytaj Karpińskiego, to on najgorliwiej wszystko tuszował, tylko powiedz mu od razu, że o wszystkim wiesz.

Nie, nie miała teraz siły cokolwiek córce odpowiedzieć, jej myśli objął paraliż, tak dosłowny i fizyczny, jak dzieje się to w przypadku, gdy atakuje on bez reszty jakąś część naszego ciała. Po chwili zorientowała się, że córki nie ma już w pokoju.

Do kuchni przeszła niczym lunatyk. Odkręciła oba krany nad zlewem i z pasją zaczęła zmywać naczynia. Chciała za wszelką cenę uspokoić się, zagłuszyć natłok

sprzecznych myśli. W uszach słyszała natrętny ton współczucia w głosie spotykanych znajomych kobiet; powracały do niej słowa przyjaciółek i sąsiadek wyrażające w podtekście uznanie dla jej zdolności do poświęceń, wręcz bohaterstwa. A więc brała to za dobrą monetę, brała to za zrozumienie przez innych sytuacji żony działacza, człowieka na stanowisku, który bywa gościem w domu i dlatego cały dom jest na głowie żony. Nie, to niemożliwe. Nie może uwierzyć głupim plotkom, których nasłuchiwała się Ewa, a które na pewno zawsze rozpuszczali wrogowie Andrzeja.

Poszła do swego pokoju i nie rozbierając się położyła się na łóżku; w myślach wszystko rozpatrywała w najmniejszych szczegółach, najdrobniejsze zdarzenia odtwarzała w pamięci; na przemian, co jakiś czas, wydawało się jej, była przekonana, że przypomina sobie wiele faktów, które potwierdzałyby słowa Ewy. Potem zaraz przytaczała dziesiątki przykładów, które zaprzeczały każdemu słowu córki. I w taki sposób upłynęła jej prawie cała bezsenna noc.

Szła na spotkanie z Karpińskim nie mając żadnego planu rozmowy, ani tym bardziej taktyki tej rozmowy. Była opanowana tylko jedną myślą: jeśli prawdę mówiła Ewa, kim jest ta kobieta, czy ją zna? Mimo iż córka nie wspomniała o miejscu jej zamieszkania, była przekonana, że to ktoś z ich miasteczka. Przyszła do kawiarni punktualnie; o tej porze było tu dużo wolnych miejsc, więc wybrała stolik w kącie. Zamówiła kawę i nagle zdała sobie sprawę z tego, że wraca do niej spokój; przez chwilę nawet pomyślała czy to spotkanie jest potrzebne, czy ma sens; akurat w tym samym momencie natknęła się na znajomą sąsiadkę siedzącą w drugim końcu kawiarni, odkloniła się jej z niechęcią. Znowu w niej zawrzało, w ukłonie sąsiadki jakby dostrzegła kpinę i politowanie. Spokój prysł; tak, naprawdę jest przeczulona.

Siedziała automatycznym ruchem mieszając kawę, z każdą minutą coraz bardziej wściekła, że Karpińskiego jeszcze nie ma; wreszcie z ulgą dostrzegła jak wchodzi. Bardzo przeproszał za spóźnienie, ten cholerny okres sprawozdawczy, konferencja za konferencją, zebranie za zebraniem. Po chwili zaczął ubolewać: oni wciąż nie mogą dojść do siebie po tej tragedii, po tej niepowetowanej stracie; wszyscy szanowali Andrzeja i nie mogą go teraz odżałować. Wciąż powtarzał, bardzo się cieszy, że wreszcie chciała się z nim spotkać; nagle przypomniał sobie, że przecież ostatni raz widzieli się na pogrzebie Andrzeja, pamięta jak bardzo była przybita, jak wszyscy się o nią bali. Odpowiedziała, że to ładnie z ich strony, co poczytał za ironię znowu zapewniając, że podobnie jak szanowali Andrzeja, z nie mniejszym szacunkiem odnosili się i odnoszą również do niej. Rozumie, jego śmierć była dla niej wielkim szokiem, ale trzeba się z tego otrząsnąć, życie przecież toczy się dalej, zresztą Andrzej nie pochwaliby takiej postawy, on nie uznawał rozklejania się; kto jak kto, ale ona знаła go przecież najlepiej. I w tym momencie nie wytrzymała, a może zrozumiała, że to najlepsza chwila, aby zacząć rozmowę na właściwy temat.

— Jednak okazuje się, że to ja go najmniej znałam i najmniej o nim wiedziałam — powiedziała tonem obojętnym, popijając kawę; dyskretnie usiłowała go obserwować, nie zauważyła w nim jednak żadnej zmiany. Albo udaje, albo naprawdę nie uchwycił aluzji.

— Myślę, że nie miał przed tobą żadnych tajemnic — odpowiedział spokojnie.

— A jednak... — zaczęła i zawahała się.

Karpiński nadal nie objawiał zaniepokojenia. Zawołał kelnerkę i zapytał co jej jeszcze zamówić, podziękowała, on również zamówił sobie kawę.

— Nie domyślasz się dlaczego chciałam się z tobą spotkać? — zapytała wprost.

— Najwyższy czas, abyś przestała stronić od ludzi — usłyszała odpowiedź.

Zaczęła się niecierpliwić, wręcz złościć; musi zapytać go wprost, powiedzieć z czym przyszła... Jeśli to jednak najzwyczajniejsze plotki, wtedy będzie jej głupio, zwłaszcza że Andrzej już nie żyje. Nie miała jednak wyboru, musiała rzecz zacząć ciągnąć dalej.

— Powiedz szczerze, czy Andrzej był bez skazy? — zapytała szybko wpatrując się w jego twarz, aby zmusić go do natychmiastowej odpowiedzi.

— Nie ma ludzi doskonałych, jak każdy z nas, on także był człowiekiem — odpowiedział Karpiński. — Był jednak człowiekiem, który myślał przede wszystkim o pracy, o innych — dodał zdecydowanym tonem.

— Czy uważałeś Andrzeja za człowieka pod każdym względem w porządku?

— Znałaś go o wiele dłużej niż ja.

— Znałaś! Znałaś! — wykrzyknęła nie panując nad sobą. — Nie udawaj przede mną głupiego, nie jesteś na zebraniu, gdzie nikt niczego nie wie prócz treści referatu. Pytam, czy Andrzej miał swoje grzeszki?

— Nie rozumiem o co ci chodzi? — Karpiński spokojnie odpowiedział pytaniem.

— A więc miał swoje świństwa i wy wszyscy o tym wiedzieliście.

Usłyszała, że życie nie jest takie proste, a tym bardziej życie człowieka na odpowiedzialnym stanowisku. Podniosła głos mówiąc, że traktuje ją jak głupią gęś.

— Co chcesz wiedzieć?

Zrozumiała, że Karpiński zmienia taktykę, a więc teraz go zaatakuję, jedyna okazja.

— Wczoraj Ewa powiedziała, że Andrzej od pięciu lat miał kochankę.

— To przecież teraz nieważne.

Te słowa były dla niej całkowitym zaskoczeniem. On nawet nie zamierzał niczego ukrywać! Zaniepokoił się widząc jej zmienioną twarz.

— Chyba nie zrobisz głupstwa — szepnęła łagodnie, z prośbą.

— Na pewno całe miasto o tym wiedziało! Czy myślisz, że jak się czegoś nie powie z trybuny, to nikt o tym nie wie? — Chwilę odczekała. — Nie, nie bój się, ja z trybuny tego nie wygłoszę. A więc miał kochankę?

— Mów ciszej — prosił oglądając się na ludzi siedzących w kawiarni. — Zrozum, on był człowiekiem...

— Gdyby był człowiekiem, powiedziałby mi o wszystkim.

— Zrozum, na jego stanowisku...

— Tyś go krył, bałeś się, że bez niego spadniesz... To są słowa Ewy... Widzisz, jaką mam mądrą córkę.

— Gdyby Andrzej odszedł, wszyscy by na tym stracili, całe miasto.

Odpowiedziała, że to on przede wszystkim by na tym stracił i kilku innych popleczników Andrzeja. Karpiński tłumaczył: najważniejszemu celowi trzeba czasem podporządkować wszystko inne. Ona: ludzie w mieście wiedzieli. On: rozmawiał z nim wiele razy na próżno, w rezultacie trzeba było wybierać. Ona: i wybierali własne korzyści.

Nagle zrozumiała, że bezcelowo, niepotrzebnie przedłuża tę przykrą dla obojga rozmowę, że przecież spotkała się z Karpińskim tylko z jednego powodu.

— Pomyśl o ludziach, o tym mieście dla którego poświęcił swoje życie... — usłyszała prawie szept. Karpiński wyraźnie zaczął się bać i wcale już tego nie ukrywał.

Nie odpowiedziała, że mógł o tym pomyśleć wcześ-

niej, zapytała wprost jak się ta kobieta nazywa; wymienił jej nazwisko bez wahania, prosił jednakże, wręcz zaklinał, aby nie zrobiła skandalu, bo mogłoby to zaszkodzić sprawie. Po chwili zrozumiała, że miał również na myśli tę nieszczęsną tablicę. Tłumaczył: ludzie Andrzejowi wierzyli, nie wolno im tej wiary teraz odbierać. Domyślała się: prawdę mówiła Ewa, straciłby na tym on i kilku najbliższych współpracowników Andrzeja.

Wyszła z kawiarni zdenerwowana zostawiając Karpińskiego przy stoliku; szkoda, że nie wytrzymała do końca, nic na to jednak nie mogła poradzić.

Ależ tak, dobrze zna tę kobietę; w pierwszej chwili odczuła nawet ulgę, że to ona. Iwonę Kilońską uważała za inteligentną kobietę, ciekawego człowieka, choć to tylko krawcowa; była ona jednak mistrzynią w swoim fachu, krawcową z dyplomem, szyła u niej tylko elita. To właśnie Andrzej wskazał jej Kilońską, najlepszą krawcową w mieście. Z jakąż satysfakcją oglądała jej zmarszczki, jej zniszczone ciało... Tak, naprawdę lubiła ją, miała nawet wrażenie, że Kilońska odwzajemnia się jej taką samą sympatią.

Kiedy wróciła do domu, natychmiast chwyciła książkę telefoniczną, znalazła numer i zatelefonowała. Po drugiej stronie odezwał się przyjemny i spokojny głos; głos ten ani odrobinę nie zmieniał swojej barwy i tonacji nawet wtedy, gdy przedstawiła się. Zapytała czy może ją odwiedzić, w odpowiedzi nie wyczuła najmniejszego zdziwienia, wręcz przeciwnie, rozmówczyni po drugiej stronie linii telefonicznej najwyraźniej w świecie ucieszyła się, co więcej, serdecznie zapraszała. Tak, jutro o ósmej; tak, nikogo więcej nie będzie. Tego wieczora zasypiała z myślą, której chwyciła się jak ostatniej deski ratunku: wygląda na to, że to nie ona. I następna myśl; dlaczego zależy jej tak bardzo na tym,

żeby nie była to ona, co za różnica. Jeśli jednak to nie ona, wszystko może okazać się bujda, najzwyczajszą plotką. Tak, jeśli to nie ona, będzie głucha na wszystkie, nawet najgorsze plotki. Uświadomiła sobie, że najbardziej w tej chwili zła jest na Ewę; weszła do pokoju córki. Z ulgą przeczytała kartkę pod wazonem. Ewa wróci dopiero jutro przed południem. Wyjechała, bo wstydzi się teraz matce pokazać na oczy, tak to w myślach skomentowała. Rozebrała się i położyła do łóżka; znowu opanowało ją rozżalenie; zaczęła rozpatrywać, wspominać całe swoje życie z mężem; coraz bardziej była zła na samą siebie. Nadspodziewanie jednak szybko usnęła.

Gospodyni domu przywitała ją w sposób jak najbardziej naturalny, w zachowaniu się jej nie było jakiegokolwiek sztuczności. Przywitała ją uprzejmie i serdecznie, jak gdyby nigdy nic, jak zawsze przedtem kiedy przynosiła do niej materiał. Nie, to nie może być ona, albo to cynizm posunięty do najwyższego stopnia. Kilońska zaprowadziła ją do pokoju gościnnego; czego się napije, zdecydowała się na kawę. Gospodyni przeprosiła i wyszła do kuchni obok, drzwi zostawiła otwarte; pożałowała, że poprosiła o kawę, nie mogła się doczekać powrotu Kilońskiej.

— Całe miasto żałuje pani męża — dobiegły ją słowa z kuchni.

Zrozumiała, że Kilońska domyśla się po co do niej przyszła. Zaczęła wzrastać w niej złość, chciała zapytać „Pani też?“, ale rozmyśliła się, nic nie odpowiedziała; sięgnęła po kolejny egzemplarz z modelami.

— Żeby nie pani mąż jakże inaczej wyglądałoby dzisiaj nasze miasto, na przykład tej nowej szkoły w śródmieściu nigdy nie byłoby, opowiadają, że długo nie chcieli zatwierdzić inwestycji.

— To on pani o tym mówił? — jednak nie wytrzymała.

— Wszyscy wiedzą jak wiele nasze miasto zawdzięcza pani mężowi. Cieszymy się, że to właśnie pani będzie odsłaniać tablicę ku jego czci.

Wreszcie Kilońska wróciła z kuchni; stawiając filiżankę z kawą przyglądała się jej uważnie.

— Patrę i coraz bardziej przekonuję się, że ten model sukienki jakby wymarzony dla pani.

— Ten fason podobał się również Andrzejowi. Czyście to uzgadniali? — Chciała swemu głosowi nadać jak najwięcej ironii.

— Pani bardzo przeżyła śmierć męża, z całego serca współczuję.

Kilońska wciąż zachowywała się najspokojniej w świecie, naturalnie i swobodnie. Za chwilę będzie przy niej całkowicie bezradna, postanowiła więc wypalić wprost, bez ogródek.

— Szkoda, że pani mniej przeżyła jego śmierć. Na dobrą sprawę, to ja powinnam współczuć, przecież to pani go straciła. — Na chwilę zawahała się. — Pani była jego kochanką.

Kilońska milczała mieszając swoją herbatę.

— I pomyśleć, że w ostatnich latach układało się nam jak najlepiej, nawet nie kłóciliśmy się... — powiedziała i była wściekła, bowiem zabrzmiało to załośnie, niczym skarga.

Za wszelką cenę chciała się dowiedzieć dlaczego tak się stało, dlaczego to właśnie ta kobieta, dlaczego w ogóle to się stało.

— Dlaczego, dlaczego pani była kochanką Andrzeja?

— Wynikało to bardziej z przyjaźni niż.... Po prostu byliśmy sobie potrzebni.

— Czemu więc żył do końca ze mną? Dlaczego?

— Co miał robić?
— Uczciwie powiedzieć o wszystkim i rozejść się.
— Ja go odwodziłam od tego zamiaru, zrozumiałam bowiem, że gdyby rozszedł się z panią byłby jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

— Jak mógł żyć w takim zakłamaniu? I pani odradzała mu rozwód? A jednak...

— Jak można rzucić kogoś, kogo się nigdy naprawdę nie miało. Wiedziałałam, że on panią kocha i nigdy nie darowałby sobie odejścia... Dlatego odradzałam...

— To była litość?

— Nigdy nie litowałam się nad panią, bo zawsze miała pani nade mną przewagę.

— Fałszywa wspaniałomyślność.

Dopiero teraz Kilońska poruszyła się, jakby zirytowana, wyprowadzona z równowagi.

— Przecież sama pani powiedziała, że w ostatnich latach układało się wam o wiele lepiej.

— I dlatego nie mogę zrozumieć...

— Bo pani nie chce zrozumieć. To mnie Andrzej, przepraszam, pani mąż co dzień robił awantury, na mnie wyładowywał złość za swoje niepowodzenia i świństwa jakie mu robili inni, nierzadko jego najbliżsi współpracownicy. Wie pani dobrze, że w takich chwilach był niemożliwy, nie do wytrzymania...

— Więc powinnam pani być wdzięczna?

— Nie. Chcę tylko, aby pani zrozumiała, że nie dla korzyści, nie dla wygody z nim byłam. Przecież ja zgodziłam się na najczarniejsze podziemie, żyłam w ciągłym strachu przed ludźmi, w ciągłym strachu o niego... O wiele łatwiej być kochanką zwykłego szewca, ludzie w takim wypadku łatwiej darują.

— Sama pani tego chciała.

— Może raczej musiałam. Tysiące razy buntowałam się, rzucałam go, ale on wtedy stawał się bezradny jak

dziecko, bałam się, że się załamie... On chorobliwie bał się ludzi, na każdym kroku węszył zdradę, nie zaufał do końca nawet mnie...

— Chce mi pani wmówić, że postępował ze mną uczciwie?

— Nie, niczego nie chcę wmawiać, siebie też nie wybielałam. Proszę jednak pamiętać, że Andrzej, przepraszam, pani mąż, nie żyje, a więc teraz nie chodzi o niego, nie chodzi o jednego człowieka, ale o coś więcej, o wiele więcej... O wiarę ludzką.

— To już słyszałam od innego wielkiego człowieka w tym mieście, który przedtem wszystko tuszował i teraz boi się skandalu, drży o własny stołek. Ale przecież wielu ludzi o wszystkim wiedziało.

— Ludzie zapomną, ludzie szybko darują umarłym, nie mogą tylko niczego przebaczyć żywym... Ludzie są zabobonni, więc może natychmiast uznali, oczywiście ci, którzy wiedzieli, że to po prostu kara, największa kara... Ja też czasem tak myślę, choć nie jestem zabobonna...

— O czym pani mówi?

— Może o tym, że być może Andrzej już naprawdę nie chciał żyć, może ten wypadek tylko pomógł...

Nie mogła już dłużej wytrzymać tej rozmowy. To, co usłyszała, zatkało ją; Kilońska więcej wiedziała o jej mężu, miała całkowitą nad nią przewagę; czuła się poniżona. Nagle pożałowała, że tutaj przyszła; naprawdę sytuacja stawiała się dla niej nie do zniesienia.

— Całe miasto dowie się ode mnie jaki on był — wykrzyknęła jakby grożąc Kilońskiej, jakby ją szantażując.

— Wtedy wszyscy panią potępia, odwróca, się... Ludzie są zadowoleni, że i oni mają swego nieskazitelnego bohatera, o którym mogą mówić z dumą, z szacunkiem.

— A jednak nie będę milczała!

— Oto cała pani miłość do niego. Chce go pani mieć na własność nawet po śmierci, zelźonego, zniesławionego, ale własnego. Chce się pani zemścić nawet na nieżyjącym.

Wybiegła nie żegnając się, trzaskając drzwiami; teraz wie, że okazała słabość, że tamta kobieta zwyciężyła, miała nad nią całkowitą przewagę. Tak, ani Andrzej, ani Kilońska, oboje nie byli w porządku, to oczywiste, a jednak po tej rozmowie nie była już tak pewna swoich racji, nawet swojej krzywdy... I to ją najbardziej złościło. A jednak dobrze, że poszła do Kilońskiej.

— Mamo, gdzie byłaś tak długo? — łagodnie zapytała Ewa.

— Chodziłam na grób ojca — odpowiedziała spokojnie, jak tylko mogła najspokojniej.

— Mogłaś mi o tym powiedzieć, poszłabym z tobą.

— Przecież wciąż o nim mówisz jak najgorzej — wyrwało się jej i za chwilę pożałowała tych słów.

— Ja go też kochałam — szepnęła Ewa. — A ty, gdybyś się dowiedziała wszystkiego za życia, przebaczyłabyś? — skończyła prowokująco.

— Może bym i przebaczyła. Ewo, jestem bardzo zmęczona. Proszę cię tylko o jedno, nie mów źle o ojcu, nawet do mnie.

— A o niej?

— O niej też nie. W ogóle nic się nie wydarzyło, twój ojciec przeżył życie uczciwie.

— Jak to? To przecież nieprawda... — córka wstała. — Chyba nie pójdziesz odsłaniać tablicę?

— Właśnie, że pójde. I ty pójdziesz ze mną.

— Miejże trochę honoru! Ośmieszysz się w oczach całego miasta. Ojciec uczynił cię nieszczęśliwą! — załamującym się z bezradności głosem skończyła Ewa.

— On był najnieszczęśliwszy z nas wszystkich.

— Ojciec wyrządził ci krzywdę!

— To ty chciałaś wszystkim wyrządzić krzywdę.

— Ja? — szczerze zdziwiła się Ewa.

Chwilę nie odpowiadała córce.

— A ta kobieta?

— Właśnie wróciłam od niej.

— Byłaś u niej? i co?

— Nic. Dobrze zrobiłam, że tam poszłam.

— Chyba nie zaprzyjaźniłyście się...

— Nie. Myślę, że dosyć na dzisiaj. Zjemy kolację i pójdziemy spać, jutro musimy wcześniej wstać.

— Ależ, mam, co z tobą?

— Córeczko, proszę cię, zajmij się kolacją, naprawdę jestem bardzo zmęczona. Na rozmowy będziemy miały teraz dużo czasu.

Tak, naprawdę miała rację, nic się przecież nie wydarzyło, prócz tego najstraszniejszego, że on już nie żyje. O co więc jej chodziło, nie bardzo teraz mogła zrozumieć samą siebie.

WINO PESTKOWE

Siedzieli w luksusowej kawiarni i pili wino pestkowe. Tak przynajmniej określiła je kelnerka, kiedy pochwalił smak napoju. On zamówił to wino, powiedział po prostu, że ma być najlepsze, jakie tu mają. Kobieta wzbraniała się w ogóle przed jakimkolwiek alkoholem, wrzście jednak uległa, więc kelnerka przyniosła dwie lampki. Chciał koniecznie zamówić butelkę, ale kobieta zaprotestowała nazbyt energicznie. Z żalem pomyślał, że skończy się na tych dwóch pierwszych kieliszkach, znał bowiem jej zdecydowany charakter.

W kawiarni byli po raz pierwszy sam na sam. Zawsze dotąd przebywali w większym towarzystwie, więc nigdy nie miał sposobności porozmawiać z kobietą tak, jak by tego chciał, jak o tym marzył. Ich rozmowy ograniczały się najczęściej do jego dowcipów, do komplementów, których jej nie szczędził. W jego komplementach było wiele aluzji, które miały oznaczać, że kobieta mu się podoba. Nigdy nie miał sposobności porozmawiać z nią prywatnie, a może dokładniej, nigdy nie miał możliwości porozmawiania z kobietą szczerze. Najczęściej mówili ze sobą o sprawach, które można było nazwać, jeśli nie służbowymi, to przynajmniej sprawami interesów. Ona bowiem pracowała w

instytucji, od której wiele zależało, jeśli chodzi o jego interesy. I to utrudniało sytuację, to mu natychmiast wytrącało broń z rąk. Bał się przecież, że każdy jego komplement zostanie przez nią źle odczytany, jako chęć przypodobania się dla ułatwienia sobie drogi do jej instytucji. W obawie przed takim posądzeniem popadał w drugą skrajność, która polegała na tym, iż czasami w rozmowie z kobietą był już na granicy arogancji. I to była gra, którą się brzydził. Zastanawiał się, jak powinien się w takiej sytuacji zachowywać. Wiedział, że aby osiągnąć nawet najszlachetniejszy cel często trzeba stosować, przynajmniej w pierwszym etapie, pewne żelazne reguły gry. Brzydził się wszelkiej gry a jednocześnie wiedział, że szczerowość do niczego dobrego nie prowadzi. Nawet, a może jak niektórzy twierdzą, szczególnie, jeśli to dotyczy związków kobiety i mężczyzny. Postanowił więc, wbrew samemu sobie, przezwyciężyć opory i z żelazną konsekwencją stosować reguły gry. Wszystko po to, aby nie stracić tej kobiety, a może dokładniej, aby nie utracić nadziei o niej.

Teraz siedzieli po raz pierwszy sam na sam i pili to pestkowe wino, które było naprawdę smaczne, być może tylko dlatego, że miało smak wiśni. A może smak jakichś innych owoców. On przekonywał siebie, że jest to na pewno zapach wiśni. Coraz częściej spoglądał na twarz kobiety, której intensywność rumieńców na policzkach zwiększała się po każdej wypitej kropli wina. Dyskretna, nie rzucająca się w oczy czerń ubioru kobiety doskonale harmonizowała z jej cerą. Nabierał dziwnego przekonania, że to pulsująca krew czyni jej twarz lekko zaokrągloną, taką, jaką najchętniej malowali renesansowi mistrzowie. Słowa, które rzucali do siebie od czasu do czasu nic w zasadzie nie znaczyły, bo nie objawiały żadnego stanu emocjonalnego któ-

regoś z nich. Zaczął się coraz usilniej wpatrywać w kobietę, usiłował robić to jednak tak, aby ona tego nie zauważyła, żeby nie odkryła natręctwa jego wzroku. Kiedy patrzył na nią, zaczął doznawać uczucia, nabierać coraz większego przekonania, że kobieta wstydzi się swoich rumieńców, które wyzwala — tak w myślach to określił — intensywność jej ciała. Po jej zachowaniu, po każdym jej słowie, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wszystko, co było w niej życiem, i co agresywnie domagało się swoich praw, chciała zniszczyć, jakby odpowiadał jej tylko stan przedmiotu i spokojnej, uciszonej figurki w bezruchu. Patrząc na wolne i spokojne ruchy kobiety i słysząc jej bezbarwne, do maksimum zobiektywizowane zdania, rozumiał, że za wszelką cenę chce trzymać go na dystans. Każdy jej gest był bardziej ruchem przedmiotu niż człowieka, był gestem przypadkowym, bez jakiegokolwiek emocjonalnego znaczenia. Prawie to samo można było powiedzieć o jej słowach. Miał wielką ochotę krzyknąć wprost, że jej zachowanie się nie ma żadnego sensu. Cisnęły się do jego głowy myśli, że powinien jej powiedzieć, iż nie warto walczyć z własną naturą, z ciałem, że krew na policzkach ma coś... z pestek. Z pestek wiśni. Ma zapach pestek wiśni. Nie, nie powie jej tego. Nagle uświadamia sobie, że ciemny ubiór kobiety musiał dotąd długo leżeć w szafie, zanim go stamtąd wyjęła. Ma zapach naftaliny. Zapach pestek wiśni i zapach naftaliny, myślał, wpatrując się w nią tym razem tak intensywnie, że aż nieostrożnie. Pewnie kobieta zdaje sobie z tego sprawę tak dobrze, jak korzystnie i podniecająco wygląda w czerni. I ta świadomość ją denerwuje, bo uznaje to za profanację. Jest w pułapce, myśli dalej, bo chce być wierna tradycji, a więc nie zrzuca czerni, mimo że ten ubiór zamiast czynić ją martwą, podkreśla w niej tętno życia o niespotykanym napię-

ciu. Tak właśnie pomyślał, tętno życia o niespotykanym napięciu.

W pewnej chwili, ku jego zdziwieniu, kobieta zaczęła się ożywiać. Mówiła teraz nie tylko o sprawach, które kwalifikował jako urzędowe. W kilku zdaniach, stwierdził z uciechą, objawiła swój emocjonalny stosunek do tematu ich rozmowy. Co więcej, dostrzegł już nutkę szczerości w jej głosie. Jej słowa przestawały być suchą, obiektywną informacją. Już w kilku zdaniach, pomyślał ucieszony, wyraziła sąd, który mógł być tylko jej, nieoficjalny i nawet trochę agresywny w stosunku do innych, powszechnych sądów na ten temat. Szybko wypił swoje wino prawie do dna i zachęcał do tego samego kobietę. Ona jednak umoczyła tylko usta i natychmiast nerwowym ruchem dotknęła swego policzka, jakby dając teraz otwarcie do zrozumienia, że w jej wieku i w jej sytuacji... A więc, pomyślał, nie wytrzymała i zdradziła się. Teraz zaryzykował i powiedział, że ma śliczne rumieńce. Nawet spróbował bawić się w banały, że tak właśnie w symbolu objawia się życie i przeciwko niemu nie należy się nigdy buntować, nie wolno być przeciw naturze, nawet w sytuacji, kiedy konwencje na to nie pozwalają. Nagle przestraszył się, że zagalopował się i uraził kobietę. Ona nie odpowiadała patrząc na dno swego kieliszka i to spotęgowało w nim niepokój. Próbował nadal nieudolnie żartować, że to przecież tylko jej krew, która zaczyna szybciej krążyć, bez jej woli. I znowu przestraszył się, że zbyt aluzyjnie przyjmie jego słowa. Kobieta wciąż nie odpowiadała, więc natychmiast, nie wiedzieć dlaczego, postanowił brnąć dalej. Powtarzał jak maniak, że nie może być przeciw własnej naturze, że należy żyć pełnią życia i niczego nie odkładać na potem, bo nigdy nic nie wiadomo. Teraz mówił długo, żarliwie jak misjonarz, który chce naw-

rócić najbardziej zatwardziały w uporze. Powtarzał w kółko wytarte frazesy pocieszając się, że w pewnych sytuacjach właśnie one najbardziej potrafią przekonywać. Słowem, chciał kobietę obudzić z martwoty, przywrócić do życia, wyrwać z odrętwienia. Robił to wszystko, bo jej nagłe ożywienie się przyniosło mu nadzieję, że jest szansa wyzwolenia kobiety z depresji. Przez jego słowa wciąż przepływała myśl, którą uparcie odsuwał, że nawraca kobietę z pobudek egoistycznych, realizuje własny cel. Natychmiast jednak usprawiedliwiał siebie, że jego pobudki są szlachetne, bo kobieta naprawdę nie jest mu obojętna, wręcz przeciwnie. Co więcej, mógłby z nią związać swoje życie. Żarliwym przekonywaniem o sensie pełni życia chciał wyciągnąć kobietę z cienia, który wokół siebie tak dokładnie i szczelnie budowała. Wreszcie, zdenerwowany i niecierpliwy, prawie krzyknął, aby coś odpowiedziała, żeby odezwała się choć słowem. Krzyczał jeszcze o tym, że przecież chce ją wrócić do życia także dla niej samej, bo ją szanuje.

Nagle kobieta poruszyła się, jak na nią zbyt energicznie, i znowu dotknęła szybkim ruchem swojej czerwonej, rozpalonej twarzy. Równie nagle cofnęła rękę od policzka, jakby zawstydzona, nie tyle jednak rumieńcem, co swoim gestem. Kobieta znowu ożyła. Ku jego zdziwieniu mówiła tak szybko i z taką pasją, że przez chwilę doznał oszołomienia, nie wierzył własnym uszom. Mówiła szybko i chaotycznie, nie mógł podążyć za jej myślami. Jedno co uświadomił sobie, to fakt, że dotychczas tylko jej sylwetka sprawiała wrażenie nieruchomej figury, że wewnątrz niej przez cały czas kłębiły się myśli, które ją tym bardziej męczyły, bo nie dawała im ujścia. Kobieta była w takim stanie ożywienia, w jakim jej jeszcze nigdy dotąd nie widział; co więcej, nigdy nie przypuszczał, że stać ją na to. Oto nagle zapragnęła wyrzucić z siebie wszystkie myśli,

bez ich uprzedniego sprawdzenia, bez selekcji. Całkowicie się z nim zgadzała. Przyznawała mu rację. Dziwił się, ale był przekonany, że mówi szczerze. Miał rację, mówiła, że trzeba żyć pełnią życia, niczego nie odkładać na potem, niczego nie gromadzić na zapas, nie obiecywać sobie zbyt wiele na niekorzyść teraźniejszości. Trzeba żyć chwilą. Była zła i zdenerwowana, rozżalona. W każdym szybko wyrzucanym słowie objawiała pretensje, do świata, do ludzi, do siebie. Mówiła o tym, że całe życie, ona i jej mąż, odkładali na później, nie żyli prawdziwie, tylko ambicjami, ciągłym dorabianiem się i poświęcaniem. Mąż piał się szczebel po szczebelku, a każdy ten szczebel wymagał poświęceń i rezygnacji z części życia. Ona to samo, szczebel po szczebelku. Stanowisko, coraz lepszy dom, samochód. Nie przespane noce, nauka, żadnych rozrywek. Ze wszystkiego rezygnowali dla ambicji, zawsze dla tego najbliższego szczebelka. Wreszcie zmęczona uspokoiła się i zakończyła potok słów wymownym spojrzeniem na swój strój. Tym wzrokiem jakby mówiła ze spokojną rezygnacją: i wreszcie to. Tylko to. Przez delikatność nie spojrzał teraz na nią.

Po chwili kobieta znowu wróciła do suchego i obojętnego tonu. Z jej policzków całkowicie znikł rumieniec, a twarz stała się szara i bez wyrazu. Zrozumiał, że przedwcześnie cieszył się, iż kobieta jest wolna. Uświadomił sobie, że czekał na to, marzył o tym od pierwszego spotkania z nią. Zrozumiał, że także żył tą myślą przez kilka godzin, siedząc w kawiarni.

I oto nagle w jednej chwili zrozumiał, że wszystko zostało stracone. Runął tak długo i podstępnie budowany gmach jego nadziei. Zrozumiał, że nie jest w stanie spełnić jej marzenia, że teraz oszukałby ją tylko, bo ona jest już inna, całkowicie inna. Chłonna życia, z postanowieniem zrealizowania go w pełni. Jest teraz

wolna, ale teraz dopiero całkowicie dla niego niedostępna. Spełnienie bowiem marzenia kobiety jest ponad jego siły, jest na to za słaby. I pomyślał, jak jego słowa o nawracaniu kobiety do życia obróciły się przeciwko niemu, odkryły jego fałsz. A więc kobieta mówiła także o nim. On przecież stale coś poświęca dla ambicji, dla niezliczonej ilości szczebelków, które wciąż pojawiają się i nęcą go, i z których osiągnięcia nigdy nie zrezygnuje. Te szczebelki będą w jego życiu wieczne. I nagle uświadomił sobie — w najlepszej sytuacji był wtedy, kiedy żył mąż kobiety. Wtedy wszystko było możliwe. Teraz między kobietą a nim jest przepaść, chociaż teraz naprawdę upewnił się, że żywił do niej prawdziwe uczucie. Wiedział jednak, że jest za słaby, aby zrezygnować dla niej ze swego życia. Nic już między nimi nie jest możliwe, bo teraz kobieta ma świadomość tęsknoty do pełni życia. Chciał jak najszybciej pożegnać się z nią — bał się bowiem, iż wiedząc o tym wszystkim — mogłby ją jednak oszukać.

Kiedy wychodzili z kawiarni wiedział, że to on stchórzył i tchórzostwa tego nigdy sobie nie daruje. I wiedział, że jedyne, czym będzie się pocieszać, to fałszywe usprawiedliwianie się, iż nie oszukał kobiety, bo nie pozwoliła mu na to jego uczciwość. A kiedy pożegnał ją, doznał uczucia, że oto zaprzepaścił jedyną szansę w życiu na zrealizowanie swego marzenia. Przecież, pomyślał, mógł być szczęśliwy rezygnując z życia, jakie wybrał, dla życia, o jakim marzył.

Obejrzał się po raz ostatni na kawiarnię, w której pił z kobietą pestkowe wino, najlepsze jakie tam mają. I zdążył jeszcze pomyśleć: jak to dobrze, że kobieta nie domyślała się niczego. Nagle zrozumiał, iż przez cały ten czas myślał tylko o sobie, nie licząc się zupełnie z kobietą, dla której mógł być po prostu całkowicie obojętny.

NORMALNY DZIWNY CZŁOWIEK

Józef Żemak pracuje u nas od roku i nikt dotąd nie mógł o nim złego słowa powiedzieć, a kto powiedziałby takie słowo byłby niesprawiedliwy. Żemak wszystko do czego się zabrał, robił starannie, wręcz z maniacką pedanterią. I trzeba tu też od razu powiedzieć, że nigdy nie dopraszał się dla siebie żadnych nagród ani pochwał. Kiedy Żemak skończył swoją robotę i miał chwilę czasu, zaraz pomagał innym i szybko wszyscy inni z nim pracujący przyzwyczajali się do tego. Nawet przestali mu dziękować za pomoc, jakby jej nie zauważali, jakby ta pomoc była jego normalnym obowiązkiem. Zaczęliśmy go stawiać za wzór, chwalić się nim, bo przecież ludzie w naszej małej Spółdzielni są sprawiedliwi. Przekonali się, że Żemaka można chwalić, bowiem pochwały go nie psuły; nawet wtedy, gdy przyznano mu nagrodę nie zadzierał nosa. Ot wziął pieniądze i nawet podpisując listę nie narzekał przed główną księgową, że dostał za mało, że inni, którzy na to nie zasłużyli, mają większe nagrody. Ale i tego jego nienormalnego zachowania się przy odbiorze nagrody nikt u nas nie zauważył, bo pewnie bardziej wszystkich zadziwiłby fakt gdyby Żemak kręcił nosem, pokazał swoje niezadowolenie. I choć Józef Żemak był inny niż my wszyscy, nikt nie uważał go za dziwaka, aż do tego

zebrania, na którym zrozumieliśmy jaki z niego naprawdę dziwny człowiek. Ale zanim do tego dojdę, trzeba jeszcze powiedzieć i to, że i Żemak z wielu rzeczy w naszej Spółdzielni był niezadowolony. Sam od siebie rzadko pokazywał niezadowolenie, ale jak już ktoś poruszył jakąś sprawę niesprawiedliwą i on dołączał swój głos krytyczny. Powtarzam, Żemak niewiele krytykował od siebie, częściej zgadzał się z krytykującymi, ale jak już przyłączył się do czyjegoś krytycznego zdania, zawsze musiała być stuprocentowa racja. A tak naprawdę, to Józef Żemak był człowiekiem mało mówiącym. Nigdy nie opowiadał na przykład o swojej rodzinie, na dobrą sprawę to nigdy w ogóle nie mówił o sobie; nie spowiadał się z tego co robił po pracy, nigdy też nie miał kaca. I do tego wszyscy się przyzwyczaili. Ale ja teraz nie o tym. Jak już powiedziałem, Józef Żemak był pracowity, nie skarżył się na innych ani inżynierowi, ani prezesom. Nie mogliśmy go nie lubić, choć nikt się z nim za bardzo nie liczył, bo przecież wiadomo było, że nikomu nie zaszkodzi. Żemak wszystkim schodził z drogi. Aha, teraz widzę i to, że nawet jego schodzenie z drogi było dziwne, bo on schodził z drogi innym nie jak, z przeproszeniem, oferma i tchórz, a jakby z podniesioną głową człowieka, który wie swoje i swego jest pewien. Ale to wszystko widzę dopiero teraz, po tym zebraniu na którym ten dziwny człowiek wszystkich obraził... Ach, żeby tylko obraził... Ale o tym za chwilę...

Józef Żemak choć sam pracowity, nigdy nie dukał nawet największemu leniowi. Ale, jak już powiedziałem, kiedy ktoś na coś narzekał i on potrafił dorzucić swoje trzy grosze. Przykładów takich można przytoczyć wiele.

— Główny mechanik znowu sprzedał na lewo dwa

silniczek — powiedział Koniecz, jeden z największych krytykantów w naszej Spółdzielni.

— Skumał się z inżynierem, który przymyka oczy na jego machlojki — dorzucił Pawłowski, pracujący obok Żemaka.

— Tego nie można dłużej tolerować — poparł mówiących Sławski, przewodniczący rady zakładowej.

— Trzeba wszystko zgłosić prezesowi — Józef Żemak wtrącił spokojnie, jak zwykle bez złości.

Wszyscy zamilkli, spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Co to pomoże — odezwał się Koniecz.

— Oni skumali się ze sobą, a głową muru nie przebijesz — z rezygnacją w głosie mówił Pawłowski.

— Nie przystoi donosić — wtrącił najmłodszy z nich, Franuś.

— Sami żeście powiedzieli, że tak dłużej być nie może — Józef Żemak przypomniał im ich własne słowa sprzed chwili.

Jak zwykle, takie i inne rozmowy kończyły się zawsze niczym. Kiedy już jednak nagadaliśmy się, popsioczyli, stawalo się nam o wiele lżej. Co więcej, po takim solidnym narzekaniu chętniej zabieraliśmy się do pracy.

A jednak mieliśmy pewien kłopot z Józefem Żemakiem. Otóż istniał w naszej Spółdzielni zwyczaj pomagania sobie we wszystkim. Między innymi praktykowaliśmy na co dzień podpisywanie listy obecności jeden za drugiego, mieliśmy nawet swój grafik. W przeddzień ustalaliśmy, kto spóźnia się do pracy i kto za niego podpisze listę. Często podpisywano listę za kogoś nawet bez uzgodnienia. Powiedzmy, że Pawłowski spóźnił się bez uprzedniego o tym powiadomienia, wtedy któryś z nas za niego podpisywał, bo wiedział, że albo poprzedniego dnia koleś porządnie popił, albo miał

jakąś fuchę na lewo. Wtedy ten, który podpisywał za Pawłowskiego, miał u niego zagwarantowany podpis za siebie. Był to dobry, ludzki i sprawiedliwy sposób wzajemnego sobie pomagania. I właśnie z tego wyłamał się Józef Żemak, który nigdy za nikogo nie podpisywał listy, bo nigdy się nie spóźniał i nie miał potrzeby, aby za niego podpisywano. Złościliśmy się na niego z tego powodu tylko na początku, nigdy przecież na nikogo nie doniósł. Nie chce, nie trzeba, sam na tym traci frajer. I trzeba też w tym miejscu sprawiedliwie powiedzieć, że choć Józef Żemak nie zabrał z hali nawet najdrobniejszej rzeczy, nigdy też nikomu z tego powodu nie przygadywał. Dawał nam wszystkim żyć jakby nic nie widząc. Zdaje się, że on nigdy niczego nie potrzebował, bo pewnie nie brał sobie żadnej fuchy na lewo. Dobry a głupi, ale to jego sprawa, dawaliśmy mu spokój, bo po co takiego namawiać do mądrości.

Jednym z ważnych dla nas problemów było kwartalne rozdzielanie premii. Po każdym takim rozdziale lubiliśmy sobie pogadać porządnie po kątach.

— My harujemy, a premię podzieliło między siebie kierownictwo Spółdzielni — znowu pierwszy wyjawiał niezadowolenie Konicz.

Ale w kwestii premii nigdy nie było zgody.

— Przecież my też podostawali — odpowiedział Pawłowski, członek egzekutywy.

— Ty dostałeś, boś chodził inżynierkowi tapetować mieszkanie — Konicz przygadywał Pawłowskiemu.

— Nie robiłeś — to nie masz — odciął się ze złością ten ostatni.

— Trzeba raz na zawsze z tym skończyć — słysząc rozmowę podszedł do nich Józef Żemak.

— Tak, musimy dobrać się do nich! — wykrzyknął Konicz.

Józef Żemak na chwilę zamyślił się.

— Ja pójdę i wszystko im wygarnę — powiedział ostrzejszym niż zwykle głosem.

Spojrzeni na niego z politowaniem, w ich wzroku czaił się strach.

— Wywalą ciebie na zbity łeb i nam wszystkim zaszkodziś — upomniął go Sławski, przewodniczący rady zakładowej. — Gdzie indziej jest o wiele gorzej, a u nas można jeszcze wytrzymać.

— Jak nie wysłuchają, napiszę gdzie trzeba — Józef Żemak znówu swoje.

— Chcesz własne gniazdo kalać! — zgromił go Pawłowski. — Nie, panowie, nie tędy droga, trzeba to jakoś inaczej załatwić.

Byliśmy pewni wszyscy, że Józef Żemak tak tylko gada, że i on jak my wszyscy jest normalnym człowiekiem i nie robi żadnego głupstwa. Tak, Józef Żemak nie zrobił żadnego, nawet najmniejszego głupstwa, aż do tego pamiętnego zebrania. Ale o tym za chwilę.

W naszej Spółdzielni, mówiąc sprawiedliwie, mimo że wszystko pozostało bez zmian, żyło się nie najgorzej. Byliśmy stale czujni i najdrobniejszy przypadek niesprawiedliwości nigdy nie uszedł naszej uwadze. Wszystko na bieżąco omawialiśmy dokładnie. W naszych prywatnych rozmowach wysuwaliśmy dziesiątki pomysłów racjonalizatorskich, oszczędności materiałów, podniesienia jakości produkcji, mówiliśmy na temat sposobów poprawy bezpieczeństwa i warunków pracy i tak dalej. Słowem, żyliśmy życiem Spółdzielni, na wszystko reagowaliśmy jak najczulszy instrument. Każdy z nas był jednak normalny i nie ośmielił się o tych sprawach powiedzieć publicznie, najdrobniejsza krytyka uderzałaby przecież w kogoś konkretnego, a nikt z nas nie chciał u siebie rozróby. Żadnych też spraw nie wynosiliśmy, nie daj Boże, na zewnątrz, bo nie było u nas takich, co skalaliby własne gniazdo. Nikt

też z nas nie brał poważnie do serca gróźb Józefa Żemaka, bo choć wiedzieliśmy, że jest on trochę inny od nas, to przecież w gruncie rzeczy porządny chłop i nie będzie taki głupi, żeby wystawić na szwank swoje dobre imię. I tak naprawdę było aż do tego pamiętnego zebrania.

Gdzieś na miesiąc przed zebraniem przyszedł do nas sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej Kazik Borski, równiacha, którego wszyscy lubili; przyszedł pogadać z Józefem Żemakiem. Ot tak, zwyczajnie, po przyjacielsku; z szacunku zapytać jak idzie robota, co słyhać. Nasz sekretarz umiał z ludźmi rozmawiać, jak mówił, to tak ładnie, że każdy z przyjemnością go słuchał jak jakiego prawdziwego ministra. Zaraz przystanęli przy nim Pawłowski, który był członkiem egzekutywy i Sławski, przewodniczący rady zakładowej. I ta pogawędka z Józefem Żemakiem w sekundzie stała się jakaś ważniejsza, bo jakby urzędowa.

— W naszym POP potrzeba jak najwięcej pracowitych i sumiennych ludzi — zaczął sekretarz Kazik Borski. — A pan, panie Żemak, jest człowiekiem spokojnym, opanowanym i choć niedługo u nas pracuje, jesteśmy pewni, że pan nas nie skompromituje.

Borski na chwilę zamilkł przyjacielsko uśmiechając się do Józefa Żemaka. Powiódł po nas wzrokiem zachęcając do potwierdzenia swoich słów. Rzecz jasna, że potwierdziliśmy, bo mówił największą w świecie prawdę.

— Chcieliśmy koledze Żemakowi już dawno zaproponować wstąpienie do partii — odezwał się Pawłowski, bo czuł się w obowiązku do wypowiedzi jako członek egzekutywy, wiedząc z czym przyszedł sekretarz Kazik.

— Pan Józef jest uczynny, pracowity, zawsze dba o dobre imię naszego zakładu — chwalił go przewodni-

czący rady Sławski, który także poczuł się do obowiązku zaopiniowania.

— Potrzebne są dwie rekomendacje — powiedział sekretarz.

Prawie jednocześnie, jakby tylko na to czekali, zgłosili się Pawłowski i Sławski.

— Tak, to będą dobre rekomendacje — pochwalił sekretarz POP. — Przy takich polecających nie ma obawy, zebranie przyjmie was jednogłośnie.

Sekretarz nasz, Kazik Borski, jakby najwyraźniej gratulując podał rękę Józefowi Żemakowi i odszedł. Żemak nie powiedział ani słowa, bo pewnie było mu nieporęcznie cokolwiek mówić. Rozumieliśmy go dobrze znając jego cichą i skromną naturę.

— Wszyscy chcemy poprawy stosunków międzyludzkich w naszej Spółdzielni — powiedział do Żemaka wiceprezes, który odwiedził nas na drugi dzień.

— I ja tego chcę z całej duszy i obiecuję, że wszystko zrobię co w mojej mocy — Józef Żemak odpowiedział z niezwykłym dla siebie ożywieniem.

Bardzo spodobała się wiceprezesowi ta wypowiedź, więc odchodząc również uścisnął jego rękę, jakby też gratulował; pochwalił przy okazji i nas za dobry wychowawczy wpływ na nowo przyjmowanych pracowników.

Odtąd wszyscy z szacunkiem odnosili się do Józefa Żemaka, zagadywali go o to i owo. Któregoś dnia miała dla niego dobre słowo nawet główna księgowa. I tak przez cały miesiąc — aż do tego pamiętnego zebrania — byliśmy dumni z naszego kolegi, współtowarzysza pracy Józefa Żemaka, który zostanie prawdziwym towarzyszem, bowiem już wkrótce przyjmujemy go z największą przyjemnością w nasze szeregi.

Trzeba sprawiedliwie powiedzieć, że i to zebranie ze względu na Józefa Żemaka było jakby bardziej

uroczyste. Obok portretów wywieszono nowe hasło, niesloganowe a brzmiące po prostu i po ludzku „**NIE SŁOWA A CZYNY SIĘ LICZĄ**”. Stół prezydialny zaścielono nowym sukniem i postawiono na nim dwie doniczki pelargonii — od razu wytworzyła się ciepła rodzinna atmosfera, choć jednocześnie podniosła i uroczysta. Za stołem usiadła cała egzekutywa, prezes i dwóch wiceprezesów, przewodniczący rady zakładowej. Wszyscy przyjaźnie popatrywali na Żemaka, a nasze serca rosły z dumy, że to człowiek z naszej hali, że to my właśnie pracujemy z nim ramię w ramię, że to nasz kolektyw przyczynił się do jego uświadomienia i wychowania. Byliśmy także dumni i z tego powodu, że po dwóch bezowocnych latach znowu przyjmujemy nowego kandydata i to właśnie z naszej brygady. Po normalnym, jak zwykle pięknym wystąpieniu sekretarza, który powitał instruktora z Komitetu Miejskiego i wszystkich prezesów oraz przewodniczącego rady zakładowej, rozpoczęło się jego wprowadzenie. Sekretarz POP Kazik Borski pochwalił nas za dobre stosunki w zakładzie pracy, dobrą współpracę załogi z Zarządem Spółdzielni, wyraził Zarządowi podziękowanie za stałą troskę o pracowników, pomoc w rozwijaniu aktywności politycznej. Po sekretarzu zabrał głos główny prezes, który mówił z dumą o przekroczeniu planu i stałym podnoszeniu jakości produkcji, o dobrej współpracy z POP, o zdyscyplinowaniu załogi. Tak, wszystko odbyło się normalnie. Po przemówieniu prezesa wypowiadało się kilka osób, tych samych co zwykle, bo umieli oni ładnie mówić, aż przyjemnie było słuchać. Wreszcie przystąpiliśmy do następnego punktu, mianowicie przyjmowania nowych kandydatów. Zdaje się, że w tamtej chwili każdy trochę zazdrościł Żemakowi; nas przecież nie przyjmowano tak uroczyście, ale nikt tej

zazdrości nie wypowiedział głośno, bo przecież on naprawdę najpracowitszy z nas wszystkich.

— A teraz, drodzy towarzysze — głos zabrał znowu sekretarz — zbliża się uroczysta i niezapomniana chwila. Oto przyjmujemy nowego kandydata... Będzie nim, wszystkim nam dobrze znany z pracowitości, sumienności i zdyscyplinowania, obywatel Józef Żemak... Pozwolę przy tym zauważyć, że bardzo pochlebne i całkowicie sprawiedliwe rekomendacje wystawili mu członkowie naszej egzekutywy towarzysze Jan Pawłowski i towarzysz Wacław Sławski. To już mówi samo za siebie... Czy są jakieś pytania do kandydata obywatela Józefa Żemaka?

Ledwo sekretarz skończył rozległy się oklaski i choć nasza organizacja jest malutka, były tak gromkie, jakby klaskało co najmniej sto osób.

Sekretarz chwilę odczekał.

— Nie słyszę pytań, bo i po prawdzie nie ma o co pytać... Znamy przecież dobrze obywatela Żemaka. A więc kto jest za przyjęciem go w poczet kandydatów?

Znowu rozległy się rześiste, entuzjastyczne brawa. Sekretarz POP odczekał aż umilkną owacje.

— Ogłaszam, że towarzysz Józef Żemak został przyjęty w poczet kandydatów jednogłośnie przez aklamację... Osobiście bardzo się cieszę i pozwolą towarzysze, że w imieniu całej naszej organizacji złożę wam, towarzyszu Żemak, najserdeczniejsze gratulacje...

Tak, sekretarz Kazik Borski chciał jeszcze mówić, ale już nie zdążył. I tego właśnie nikt się nie spodziewał, bo spadło to jak grom z jasnego nieba. Józef Żemak wstał i, nie czekając aż sekretarz skończy, powiedział:

— Rozmyśliłem się.

Powiedziawszy to najspokojniej w świecie usiadł.

Wszyscy na Żemaka spojrzeli nic nie rozumiejąc.

Sekretarz także wpatrywał się w niego niewąsko zbaraniały.

— Proszę bardzo, słuchamy — zachęcał dalej uśmiechając się do Żemaka przyjaźnie, jakby naprawdę wciąż nic nie rozumiał.

— Rozmyśliłem się i wycofuję swoją kandydaturę — powiedział Żemak już nie wstając.

— Nie rozumiem was, towarzyszu? — załamującym się głosem zapytał sekretarz, choć wszystko już było jasne jak na dłoni.

Józef Żemak znowu wstał, a wszyscy wpatrując się w niego czekali z zapartym tchem. W świetlicy usłyszeliśmy nieprzyjemne brzęczenie much. Żemak przybrał posagowy wyraz twarzy, jakiego nikt u niego dotąd nie widział, jakby nagle zmienił się w całkowicie innego, okropnie zrozumiatego człowieka.

— Tak, powtarzam, wycofuję swoją kandydaturę. Dopiero zgłoszę się, jak będą porządki w naszej Spółdzielni, jak nikt nie będzie kradł, bumelował i jeden za drugiego podpisywał listy obecności — Józef Żemak mówił powoli i wyraźnie. — I jeszcze, dopiero wtedy zgłoszę się, jak wszyscy będą mówić na zebraniu to samo, co między sobą.

— Proszę bardzo, możecie zabrać głos krytycznie, nam przecież trzeba ludzi bezkompromisowych — zachęcał ze ściśniętym gardłem sekretarz POP. — Wprawdzie punkt dyskusji już minął, ale jeśli macie coś ważnego... — Skończył i nieśmiało spojrział w stronę instruktora z Komitetu Miejskiego.

— Nie tym razem... I tak naprawdę to nikomu, od zwykłego pracownika do samego prezesa, nikomu u nas nie zależy na pracy, ani na porządku... Ach, szkoda gadać... — Żemak machnął ręką i usiadł.

Wszyscy poodwracali teraz głowy do Żemaka. Po-

patrzyli z wielkim współczuciem na sekretarza i prezesów, na cały stół prezydialny.

— Tym bardziej powinniście wstąpić do organizacji, nam potrzeba jak najwięcej ludzi uczciwych i odważnych — znowu odezwał się jękliwie sekretarz POP.

— Jeżeli wstąpię do takiego waszego POP, to w poje dynkę i tak nic nie zrobię, bo mnie zakracciecie... Wy przecież tak naprawdę to nie jesteście członkami partii... — odezwał się ze swego miejsca Józef Żemak. — I proszę zapisać każde moje słowo — dodał.

Sekretarz powiódł po sali błędnym wzrokiem i długo stał zdurniały, bo nie wiedział co ma robić. Wtedy pochylił się w jego stronę jeden z prezesów i Kazik Borski zaraz zarządził przerwę.

Kiedy Żemak stojąc w korytarzu zaciągał się spokojnie papierosem, podszedł do niego instruktor z Komitetu Miejskiego.

— Co się stało? Nic z tego nie rozumiem? Wasza organizacja należy do jednych z najlepszych w pionie spółdzielczym. Nigdy nie mieliśmy z nią kłopotów w przeciwieństwie do innych POP. Może macie jakieś pretensje do egzekutywy albo do zarządu? Jeśli tak, powiedzcie a rozpatrzymy...

— Nie o to chodzi... To вина wszystkich — odpowiedział spokojnie Żemak.

— A może wam nie odpowiada statut? — podbiegł do Żemaka Kazik Borski widząc, że rozmawia z nim instruktor z Komitetu Miejskiego.

— Dajcie spokój, towarzyszu! — instruktor skarcił sekretarza. — Wiele w tym i naszej winy, żeśmy dawali się oszukiwać. Zdaje się, że już nieco rozumiem. Sprawą waszego POP i całej Spółdzielni zajmiemy się już od jutra... A teraz ogłoście, że zebranie zostaje przełożone na inny termin.

Tak, prawdziwie mówił instruktor. Dobrano się do skóry egzekutywie i zarządowi i całej naszej Spółdzielni. W taki oto sposób skończył się nasz spokój. Odbyły się już trzy zebrania, na których powtarzamy to wszystko o czym zawsze rozmawialiśmy między sobą prywatnie. Skończyło się nieróbstwo, podpisywanie listy za innych, skończyło się też wynoszenie różnych rzeczy ze Spółdzielni, szykuje się nawet nowy regulamin przydziału nagród i premii...

Najgorsze było pierwsze zebranie po tamtym pamiętnym, na którym Żemak tak narozrabiał... Ale po co to wszystko było? Mógł przecież Żemak przed zebraniem zrezygnować z chęci wstąpienia do partii? Co teraz o nas pomyślą ludzie w innych spółdzielniach? Co o nas pomyślą w mieście? Należeliśmy przecież do najlepszych, mieliśmy swój honor, a teraz... Czy naprawdę Józef Żemak nie mógł jakoś inaczej? Przecież wszyscy go szanowali, nikt go nie prześladował, choć wiedzieliśmy, że on jakiś dziwny... Zresztą Żemak wcale nie przestał być dziwakiem. On teraz, kiedy nas tak skompromitował, po raz drugi złożył deklarację o przyjęcie w poczet kandydatów. Jego prośba ma być rozpatrywana na nadzwyczajnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym, które odbędzie się za miesiąc. Tak, Józef Żemak to niby normalny, ale i bardzo dziwny człowiek. Myśmy naprawdę szanowali go i dawali mu spokojnie żyć, a on nam się odplacił taką niewdzięcznością... Taką straszną niewdzięcznością!

NIECODZIENNY ALARM NOCNY

Co kilka minut któryś z nich poruszał się niecierpliwie na łóżku i wszyscy wiedzieli, że każdy dusi w sobie jakieś słowa, które chętnie wyrzuciłby z siebie. Jednak tym razem stało się coś nieprzewidzianego. Oto, ku zdumieniu pozostałych, magister inżynier leśnik poprosił magistra inżyniera architekta o papierosa. W powietrzu na sali podchorążych kaprali rezerwy zawisła konsternacja. A więc inżynier leśnik zachował się jak szmata. Inżynier rolnik i inżynier włókniarz poczuli niesmak i obrzydzenie. Chwilę trwała makabryczna cisza. Wreszcie kapral podchorąży rezerwy magister inżynier architekt wyciągnął paczkę i rzucił jednego papierosa na łóżko podchorążego inżyniera leśnika. Tamten wziął i łapczywie zapalił. I jak to bywa często wśród ludzi, a szczególnie w wojsku, gdzie wszystko ma swoje przeznaczenie, i ta scena była potrzebna. Kapral architekt, który na każdym kroku wykazywał swoją przewagę nad innymi, odczuł niewysłowioną rozkosz, natomiast kapral leśnik, który z natury był masochistą, co starannie usiłował ukrywać, doznając upokorzenia również był zadowolony. Nagle uczucie zadowolenia, po chwilowym niesmaku opanoowało również dwóch pozostałych, magistra inżyniera włókniarza i magistra inżyniera rolnika...

Jednakże tego dnia, w samym środku nocy, coś się stało — wiadomo bowiem, że najgorzej w wojsku wtedy, gdy nic się nie dzieje. W wojsku bezczynność to jak zakonnik bez modlitwy, wtedy najgłupsze myśli przychodzą do głowy i Bóg jeden wie, co się może w takich chwilach zdarzyć.

Ten nocny alarm, w przeciwieństwie do innych, był całkowitą niespodzianką. O poprzednich zawsze na czas dowiadywali się od podchorążych zawodowych, tym razem stało się inaczej, może z powodu chwilowego rozluźnienia się kontaktów rezerwistów z zawodowcami, a może i ci ostatni o tym jednym jedynym alarmie także nie wiedzieli... Tak, czy inaczej, ten alarm, który zakończył historię architekta i leśnika, wszystkich zaskoczył. A ta historia o tyle trudna do opowiedzenia, bo wygląda niezwykle banalnie, choć jej treść jest z tak zwanego pogranicza życia i śmierci, walki zła i dobra, egoizmu i uczciwości, walki w człowieku bogini zemsty z bogiem przebaczenia itp. I ja, com był świadkiem tamtej nocy, Bóg jeden wie, czego mógłbym się wtedy — a nawet i teraz po latach — w tym wszystkim doszukać.

Już w pierwszych minutach po ogłoszeniu alarmu w naszej izbie żołnierskiej zapachniało szczerzym smrodem. Zawsze spokojny kapral podchorąży rezerwy leśnik skoczył do gardła podchorążemu rezerwy architektowi. Wszyscy byliśmy tym faktem niepomrotnie zdziwieni, bo przecież inżynier leśnik w stosunku do innych zachowywał się potulnie, a już najbardziej pokorny był zawsze względem architekta. Bywało nawet, że ustępował mu z drogi, czemu wszyscy dziwili się bardzo, bo przecież architekt był chuchro a leśnik najsilniejszy z nas wszystkich i najmocniejszy w materii wojskowej. Tym razem leśnik, jak ryś na jamnika, skoczył na architekta, bo rzecz o którą szło była woj-

skowa, a rzecz ta to pas kaprała podchorążego rezerwy inżyniera leśnika. Ten regulaminowy przedmiot w dwie minuty po ogłoszeniu alarmu architekt usiłował podrzucić pod łóżko rolnika. Uchwycił to wzrokiem leśnik, i jako się rzekło, zapachniało w naszej izbie szczurzym smrodem. Skulił się ze strachu architekt już w mundurze podchorążego rezerwy, bo wściekłość leśnika, który jeszcze nie był w mundurze podchorążego rezerwy, była wielka i niespodziewana — a wiadomo od zarania świata, że rzeczy niespodziewane są straszniejsze od najstraszniejszych spodziewanych. A kiedy już biegli podczas alarmu, kaprał podchorąży architekt biegł chrapliwie, bo wciąż jeszcze czuł na sobie mocarne ręce równego sobie stopniem wojskowym inżyniera leśnika, ale nikt go nie żałował, nawet ja, także równy szarżą magister filolog, choć zawsze byłem skłonny do litości, bom nasiąkł płacziwym romantyzmem jak gąbka. Na szczęście dla kaprała architekta, a na złość dla innych kaprali inżynierów (nawet dla mnie kaprała magistra filologii), nie minęło i pół godziny alarmu, a rozkazano obronę bo nepel zdesancił się akuratnie. I już się nie męczył, bo zaraz poległ kaprał architekt, nikt go i teraz nie żałował, bo jak żył w naszej izbie, tak i teraz człowieka sobą nie przypominał. Obronili się wszyscy od desantu agresora, tylko kaprał architekt nie obronił się, bo nie wyjął ani na chwilę łopatki, a kiedy już doszedł do siebie i mógł ją wyjąć, rozkazano gnać wroga, bo desant rozpadł się w drobiazgi. Ale wróg, jak każdy był chytrenki i rąbnął atomem, więc rozpostarło się przed podchorążymi pole skażone.

Wszyscy przytulili się do architekta, aby sprawdzić czy on o życie swoje dba, czy tenże nie odkręca zaworu maski gazowej. Wspaniałomyślnie dbali czterej kaprale, aby uszedł z życiem kaprał piąty, bo zawsze dotąd

odkręcał on zawór maski gazowej, a był gazu niezwy-
czajny także dlatego bo, jak mawiał z dumą, pocho-
dził z dobrego domu, choć budował domy liche, z któ-
rych nikt dumny nie był. Pole skażone wnet się skoń-
czyło, co przyjął z ulgą architekt w przeciwieństwie
do innych, którzy marzycielsko rozochoceni w swojej
zemście pomyśleli o błotkach, które bardzo przydałyby
się dla panicza architekta. Marzyli więc o tej nadziei
(choć nikt głośno nie przyznawał się do tych marzeń),
bo koncert chcieli dać nie byle jaki, aby magister archi-
tekt nie zapomniał ani o ich lichych domach rodzin-
nych, ani o tych, które budował. I wtedy włókniarz, co
nie miał nic do czynienia z naturą, tu wszystkich za-
kasował i choć na błocie się nie znał, tak oto powie-
dział:

— Ten las znaczy, że błotko niedaleko.

— Nie każdy las, to zaraz... — jękał się leśnik.

— Błota wam się zachciewa? — ze złością czknał
rolnik.

— A dlaczego wy o błocie? — dziwił się kapral ma-
gister filolog, bo i on udawał, że nic nie rozumie.

A jednak tego chcieli wszyscy, nawet ja magister
filolog, bo postanowiliśmy dać nauczkę architektowi,
który tak jak oni, był cywil i, tak jak oni, był kapral
podchorąży rezerwy i niby nie powinno między nimi
być różnicy, choć różnica była wielka. I wszystkich w
tamtej chwili marzenia o błocie były wspólne — oczy-
wiście oprócz kaprała architekta — bo każdy wiele
razy to przemysliwał, wszystko jedno gdzie, w polu
czy w koszarach.

I choć biegli, mieli czas spojrzeć na architekta, w
którym chcieli widzieć tylko kaprała podchorążego re-
zerwy. A błoto już czuli nosami, więc podniecał ich ten
zapach, jak zgłodniałe zwierzęta, gdy czują zapach
świeżej krwi. I wszystkim wydawało się, że ten zapach

jak fala i sztorm cofnął architekta, który był już tylko kapralem. Tak wydawało im się naprawdę, bo wszystko dzieje się dzięki ludzkim myślom, a myśli bywają prawdziwsze od rzeczywistości. Ale oto i zaczęło się sto metrów trzęsawiska, w które, kiedy weszli, zapomnieli o sobie wzajemnie i zapomnieli o architekcie, którego tak bardzo chcieli tu widzieć. A jednak stało się to, na co długo czekali, co pozostanie w ich głowach, o czym będą wiele opowiadać, a szczególnie w tych wszystkich przypadkach, gdy zasiądą przy wódce, wszystko jedno gdzie, w paskudnej knajpie, czy podczas imienin u cioci, albo na urodzinach własnej żony, czy w czasie złotych godów, wszystko jedno czyich. Kiedy więc brnęli objuczeni jak wielbłądy, w pełnym rynsztunku alarmowym, z nagła rozległ się krzyk wołania o najzwyczajniejszy ratunek i nikt z nich w tej ciemności bagiennej nie mógł rozpoznać, czy to ktoś z nich czy też obcy. Po tym wołaniu odezwało się charczenie i było coraz niżej, jakby się zapadało w ziemię. Ratunek przyniosła dopiero rakietą, która oświeciła bagno dokładnie wraz z nimi, jakby ktoś tę raketę zapalił, aby szukać w trzęsawisku coś ważnego a małego. Ten hełm nisko, równo z powierzchnią bagna, zobaczył inżynier leśnik, zobaczył też wystającą lufę peemu; i nie zdążył pomyśleć nawet o dorobionym przez polskich inżynierów do tego automatu bagnecie, bo już nie charczenie, a bulgotanie usłyszał w tej mazi ciemniejszej od najciemniejszej ciemności. Kapral podchorąży leśnik zobaczył na szczęście twardszą wysepkę, więc skoczył niczym o tyczce opierając się na swoim automacie i był już przy bulgotaniu i charczeniu. I trafił, że inżynier leśnik zobaczył ręce, które były bezradne i marzyły o czymś twardym, jak pewien starożytny uczony marzył o punkcie oparcia; i dobrze wiedział inżynier leśnik, że ciało zanurzone w błocie

nie traci tyle na wadze, ile waży błoto wyparte przez to ciało, ale traci całkowicie swoją wagę, wszystko jedno czy to ciało zwykłego cywila, złodzieja, kaprała podchorążego, papieża, nędzarza czy generała. Pod puste, a marzące o czymś twardym ręce tonącego podłożył inżynier leśnik narzędzie do zabijania i tak długo manipulował owym narzędziem we wszystkie strony, aż słup błota sięgnął do wysokości jego samego. Dopiero teraz zobaczyli to wszyscy inni, tylko magister architekt nie mógł tego wszystkiego widzieć, bo błoto miał w oczach i nie mógł niczego usłyszeć, bo błoto miał w uszach. Wszyscy czterej widzieli w blasku dopalającej się rakiety czarną twarz magistra architekta i wszyscy usłyszeli jego oddech, który nie był już oddechem ostatnim. Kiedy inżynier leśnik rozpoznał, wyrwał swój automat, ale kukła błota już nie zapadła się pod ziemię, tylko jak chochoł bagienny ruszyła dalej i zaraz błota już był koniec prawdziwy. Zaklął głośno podchorąży leśnik aż w lesie pobliskim odbiło się echem, jak wiele lat odbija się to wydarzenie w opowieściach ich czterech przy wódce, w wielkim zmęczeniu pamięcią.

Żałował przez całe te i ostatnie dni kapral inżynier leśnik, że kapralowi architektowi znowu przywrócił wszystkie cywilne tytuły i bał się, że będą go wytykać palcami inni koledzy inżynierowie, a nawet dołączyć się do tego wytykania magister filolog. Ale nic się takiego nie stało. Wszyscy milczeli i milczał architekt; nikt obcy też nie mógł czegokolwiek powiedzieć, bo przecież prócz swoich nikt tego nie widział.

Od tego czasu architekt chętnie częstował papierosami leśnika, ale teraz leśnik nie brał od niego papierosów, bo już miał swoje, patrzył tylko odtąd na swego kolegę kaprała architekta dawnym jego własnym wzrokiem pogardy.

Inżynier leśnik nie mógł teraz nie mieć swoich pa-
pierosów, bo gdyby ich nie miał i przyjmował od tego,
którego uratował, byłaby to dla wszystkich sprawa
smrodliwa. Kapral leśnik nie wiedział przecież kogo
ratuje, nie ma więc żadnej pewności, czy zechciałby
ratować kogoś na bagnie, gdyby wiedział, że to jego
kolega architekt z dobrego domu, który dla wszystkich
buduje domy liche. Nie miał teraz prawa leśnik pod-
chorąży do jakiegokolwiek premii i wszyscy o tym wie-
dzieli bardzo dobrze.

Po kilku tygodniach, które upłynęły od tego alarmu,
wyszli z koszar; wyszli w czterech, to znaczy się inży-
nier leśnik, inżynier włókniarz, inżynier rolnik, i ma-
gister filolog. Poszli upić się do obskurnej knajpy, bo
świat znowu wydał im się tak samo wspaniały jak
przedtem i wiedzieli, że będą wspominać z łezką w oku
piękny rytuał relaksów poobiednich. Nie było wśród
nich tylko magistra architekta i była to sprawiedli-
wość, jaka być może już nigdy go nie spotka, gdy
przestanie na zawsze być kapralem podchorążym re-
zerwy, a będzie już tylko architektem ze swoimi dwoma
tytułami.

I poszli potem w cztery strony świata, każdy w swo-
ją. Zabrakło tylko świata strony dla inżyniera magistra
architekta, więc ten poszedł w całkiem inną. A jednak
i tak odtąd wszyscy mieli nadzieję na choćby jeszcze
jeden niecodzienny alarm nocny, teraz w cywilnym
życiu każdego z nich.

NASZ BOHATER, ROBERT...

Ten pokój, w którym zmuszono go do zamieszkiwania, był najwyraźniej po dezynfekcji. Wysterylizowany. Czuć go było nieludzkim i niezwierzęcym zapachem, suchym i bezwonnym, nic nie oznaczającym. Mimo że pokój-cela nie był od dawna zamieszkały, nie znalazł tu ani pajęczyny, ani nawet kurzu. Łóżka, taborety, stół i szafa były całkowicie odarte z tej ulotnej powłoki jaką jest kurz. Całkowity brak zapachów, tego wachlarza zapachów, do którego Robert przyzwyczał się, i martwota przedmiotów w pokoju tworzyły tu atmosferę napawającą chłodem, będącą synonimem śmierci. Mówiąc jednak prawdę, nie wiadomo jak to odczuwał Robert, próbujemy jedynie domyślać się tego wszystkiego, znając trochę naszego bohatera i znając także siebie. Możemy więc być prawie pewni, że odwracał się od równiutko i białe zaścielonych łóżek, kłując białych i rażąco równo zaścielonych. Najboleśniej cięła jego oczy symetria, do której miał od dawna niechęć. Wiedział, że również on sam poddany symetrii przestawał się liczyć dla otoczenia, mieć jakiegokolwiek prawa prócz istnienia w symetrii, która stanowiła swego rodzaju doskonałe uwięzienie; był jednym z czynników symetrii, musiał istnieć już tylko dla niej, a więc nie mógł funkcjonować choćby w najmniejszym

stopniu dla samego siebie. Teraz Robert strzegł symetrii w tym pokoju, dbał o nią i był w miarę zadowolony z tego, że wreszcie on sam ją ustanawia, nie podlegając prawom. Jakby więc rozkoszując się tą świadomością, wciąż zmieniał pozycję, „własne miejsce stania” w tym nietypowym pokoju-celi, który usiłował uczynić jakimś swego rodzaju pierwszym stopniem odzyskiwania wolności.

W ciągu początkowych kilku dni pobytu tutaj Robert niewiele myślał. Był apatyczny, leniwy i zmęczony. Z zadowoleniem przyjmował opanowujący go stan apatii, lenistwa i zmęczenia. Zanurzał się w nim. A przede wszystkim rozkoszował się stanem bezruchu lub „nieharmonicznego” przepływania z miejsca na miejsce w tym pokoju. Słowem, celebrował ten stan. Któregoś dnia odkrył wspaniałą rzecz. Widok z okna. Patrząc na ruch za oknem doznawał uczucia prawdziwego powrotu wolności.

Oto, po raz pierwszy, był poza zasięgiem ruchu, w którym obowiązywała symetria i harmonia. Oto, po raz pierwszy mógł nie uczestniczyć w nim, patrzeć na ten ruch obojętnie. Przyglądał się więc z zadowoleniem ludzkim sylwetkom biegnącym w linii, w szeregach, wyskakującym z rowów, maszerującym dwójkami, trójkami i czwórkami, siedzącym w kucki i tworzącym koło, stojącym w kształcie prostokątów, leżącym na polach szachownicy... Dodajmy jeszcze, że z tej odległości ludzie mogli wyglądać jak duże mrówki przy ścianie sinego lasu (która zawsze za nimi się zaczynała), jak ogromne mrówki, raz bardzo powolne i otepiałe, innym znów razem zwinne i szybkie, jeszcze kiedy indziej wściekle złe, a potem łagodne i zasypiające. Zawsze wszystkie trwały jednocześnie w tym samym stanie: bezruchu lub ruchu. Zarówno bezruch jak i ruch był doskonale zharmonizowany i żadna z postaci mrówek

ani razu nie naruszyła harmonii. Te postacie, duże mrówki, zawsze jak mrówki coś dźwigały, przyklejały się do jakichś pojazdów, wciąż szły symetrycznie lub grzebały w ziemi tylko po to, aby zaraz grzebać w innym miejscu. Mogło to równie dobrze przypominać rycie zwierząt szukających pożywienia. Bezustanne rycie. Innym znów razem bezustanne bieganie. Jeszcze kiedy indziej mrówki zamierały przyczajone do skoku.

Kiedy Robert stał już dość długo w oknie, zaczęło mu się wydawać, że to on wprawia w ruch lub bezruch tamte istoty — mrówki na porytym polu pod lasem. Mógł przewidzieć każdy ruch tych istot, dużych i tłustych mrówek, więc na ułamki sekundy przedtem pociągał właściwe sznurki, wydawał odpowiednie rozkazy. Natychmiast tamci robili to, co im Robert rozkazywał. Był na tyle przebiegły, że nigdy nie wydawał rozkazów nie upewniwszy się całkowicie, czy je wykonają. Słyszał ich oddechy. Dopiero teraz poczuł ich zapach. Jednakże las i pola, miasto w oddali, jego wieże i kominy nie istniały dla niego jak istnieją dla mieszkańców czy turystów. Były tylko plamami lub punktami pomagającymi wydawać odpowiednie rozkazy. Kiedy ta zabawa na stojąco zmęczyła Roberta, przesunął długi, prostokątny stół pod okno i kładł się na nim. Wystarczyło w dalszym ciągu pociągać leniwie za sznurki, a tamci pod lasem robili wszystko, co on chciał. Teraz nawet nie potrzebował fatygować się, żeby mówić do nich w myślach.

Dopiero około drugiej po południu, kiedy zmęczyła go na dobre ta zabawa, kazał wynosić się do diabła dużym i tłustym mrówkom. I rzeczywiście mrówki ociężałe i grzecznie, symetrycznie ruszały w stronę Roberta. Patrzył na nie jak się powiększały i poznawał twarze, niektóre tak dobrze mu znane. Przestawało to Roberta bawić, zaczynało nawet irytować, bo oni wcho-

dzili już w obręb murów prostokąta w którym on był. Tracąc ich z pola widzenia, przestawał mieć nad nimi władzę, więc bał się, że znowu wraz z ich powrotem zostanie poddany prawom znienawidzonej symetrii.

Oczywiście gdyby w któreś popołudnie spadł wiosenny deszcz na pole pod lasem i na sam las, na drogę pełną pyłu i żaru, Robert mógłby przypomnieć sobie chwile z dzieciństwa, chwile, podczas których lubił biegać w ciepłym deszczu aż do wieczora; mógłby nawet usłyszeć porykiwanie krów, przyjemny zapach rozparzonego i rozmokłego kurzu, zapach oparu wiosennego, ciężką i szklistą wilgotność liści na drzewach...

Robert nie miał jednak widoków na takie odczucie po prostu dlatego, że obecny jego kontakt z przyrodą mógł być tylko pośredni—wszelki krajobraz powinien być dla Roberta martwy. Krajobraz musiał być martwą naturą, inaczej jego wszelkie czynności w tym krajobrazie zostałyby uznane za niewłaściwe i to przyniosłoby Robertowi katastrofę. Z trudem, ale przecież już był kiedyś doszedł do perfekcji wykonywania wszystkich czynności, jakie go obowiązywały. Takie same czynności obowiązuja istoty mrówki, którymi bawił się w tym pokoju-celi, pociągając leniwie za sznurki. Dla tamtych pod lasem krajobraz też musiał być martwą naturą przystosowaną do ich ruchu lub bezruchu. I dlatego właśnie panowała taka harmonia między przyrodą w takiej postaci a tymi pod lasem i Robertem, kiedy był razem z nimi. Może i dlatego Robert nie uzyskał dawnego kontaktu z przyrodą, bo kiedy znikali z jego pola widzenia, on zawsze był już zmęczony i odwracał się od okna. Wtedy atakował go sen, przed którym zawsze się bronił, wreszcie zasypiał, najprościej jak mógł, na stole. O jego śnie też dałoby się wiele powiedzieć. Choćby to, że spał prawie ze

świadomością snu, że dopiero we śnie mogły się odbywać echa dzieciństwa, właśnie w rodzaju tych chwil brodzenia po deszczu, nawoływania matki, zapachów wiosny. Nie mamy jednak pewności, co się odbywało we śnie Roberta ułożonego na stole, dlatego zaniechamy szczegółowych relacji na ten temat, poprzestając na powyższym nieśmiałym domysle.

Jedno jest pewne, że właśnie we śnie zaczęło Robertowi dawać o sobie znać to zdarzenie, dzięki któremu znalazł się w tym miejscu, w celi-pokoju. Nie śpiąc nie pozwalał sobie o tym zdarzeniu myśleć i to był aktualnie jedyny najważniejszy nakaz wydany samemu sobie. Robert wiedział jednak dobrze, że musi do tej sprawy wrócić, do tego zdarzenia, które go tutaj zaprowadziło. Ze zrozumiałych względów chciał jednak tę chwilę odwlec i to jak najdłużej. Być może były to resztki instynktu samoobrony, jakie zostały w naszym bohaterze.

Rzecz jasna, na nic zdały się Robertowi te wszystkie sztuczki, bo stało się coś, co musiało się stać. Prócz rąk, które trzy razy dziennie wsuwały przez okienko w drzwiach blaszane naczynie z kawą i zupą, pojawił się któregoś dnia pierwszy gość. Przyszedł w momencie, kiedy Robert leżąc wyciągnięty na wznak na stole przysuniętym do okna, bronił się jeszcze przed snem.

Nasz bohater i jego gość przyglądają się sobie chwilę ze wzajemnym zdziwieniem.

— Jestem prokuratorem i moim obowiązkiem jest ciebie oskarżać — mówi gość i chwilę czeka, ale Robert nie reaguje na jego słowa.

— Nie bój się mnie, oskarżając ciebie, będę się starał być sprawiedliwym. Ja przecież — tu zawahał się — też jestem człowiekiem.

Robert nadal patrzy ze zdziwieniem. Zdaje się, że

wzrok gospodarza peszy gościa, a może tylko złości. Obojętne jak jest, ważne, że wzrok Roberta w jakiś tam sposób porusza gościa.

— Słyszałeś co do ciebie powiedziałem?

— Aha... Pan jest ogromną, tłustą mrówką w skali 1:100 000.

— Nie zgrywaj się — gość, wyraźnie już złoścąc się, przechodzi na ton oficjalny: — Daruję wam ten wygląd, bo i tak jesteście w nieszczęściu...

— Chcę być w areszcie, mam piękny widok i pociągam za sznurek.

Gość udaje, że słowa Roberta nie robią już na nim wrażenia.

— Przystąpmy od razu do rzeczy. Przyznajecie się do winy? To prawda, jesteś winny? — kończy słodko gość-prokurator.

— Ach, tak... Ależ tak, przyznaję się — ochoczo mówi Robert — Oczywiście, że jestem winny...

— Wiedziałem od razu, że dobry z ciebie chłopak. Może papieroska?

Robert przecząco kręci głową.

— O, tu przygotowałem zeznanie, proszę podpisać w tym miejscu — mówi z uśmiechem gość-prokurator i podaje pióro.

Robert leniwie, ale bez oporu podpisuje.

— Nie czytaliście wcale zeznania — gość mówi nieśmiało i z bojaźnią, mówi już po odebraniu kartki papieru i obejrzeniu podpisu.

— Nie — obojętnie odpowiada Robert.

— Ale znałeś treść zeznania?

— Nie — znowu obojętnie Robert, wyraźnie znużony.

— Trzeba mówić, że znasz — tłumaczy gość-prokurator.

— Tak, będę mówił, że znam — odpowiada niecierpliwie Robert.

Gość prokurator szybko wstaje.

— To ja już sobie pójdę. Do widzenia — mówiąc to cofa się do drzwi.

— O to właśnie chodzi...

— O co? — dziwi się gość.

— O to pójście. Zawsze chodzi o pójście...

Gość prokurator nagle zatrzymuje się.

— Dobry z ciebie chłopok. Może potrzebujesz czegoś?

Robert rozgląda się po celi-pokoju.

— O, chcę w tej ścianie mieć dwa okna! — prawie krzyczy.

— Wspaniałe poczucie humoru — drżącym głosem mówi gość-prokurator. — No, to cześć! Do jutra...

Gość prokurator odchodzi naprawdę. Robert układa się na wznak, rozprężając wszystkie mięśnie i prawie natychmiast zasypia.

Nasz bohater następny dzień przeżywa tak samo jak ten, w którym odwiedzał go prokurator. Może jedynie z tą różnicą, że trudniej mu już obronić się przed zdarzeniem, które go zaprowadziło do pokoju-celi.

O tej samej godzinie, co poprzedniego dnia, znowu przychodzi gość, tyle tylko, że udaje kogoś innego. Wygląda nawet trochę inaczej, ale Robertowi wydaje się, że to ten sam, że zaczęła się regularność odwiedzin.

— Jestem twoim obrońcą, więc będę ciebie bronić. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, ale jestem przecież, jak pan wie, tylko człowiekiem — mówi nowy gość.

— Rzeczywiście, to już wiem.

— Co?

— Że każdy, kto przychodzi tutaj, przekonuje mnie, że jest człowiekiem.

— Wesoly jesteś, to świadczy, żeś niewinny. Prawda, że jesteś niewinny?

— Tak, jestem niewinny...

— Trochę mi się spieszy, więc przystąpmy od razu do rzeczy. Tu jest twoje zeznanie.

Gość-obrońca podaje kartkę papieru i pióro. Robert bez słowa podpisuje.

— Fajny z ciebie chłopak.

— I to już wiem — leniwie, ale bez złości mówi Robert.

— Może chcesz jeszcze raz wszystko opowiedzieć, jak to było? Być może znalazłyby się jakieś dodatkowe szczegóły łagodzące...

— Na wielkiej wojnie zabiłem tysiąc ludzi, którzy byli mrówkami... No, nie? Był ogromny wybuch, olbrzymi grzyb, huragan i świst z wyciem... Więc zabiłem mrówki, które okazywały się jednak ludźmi, prawidłowo mówię?

— No, dobrze, już dobrze... Wystarczy to, co jest. Dobry jesteś chłopak. A może ci coś potrzeba?

— Chcę mieć dwa okna także w podłodze, aby widzieć tych, których zabijałem...

— No dobrze, dobrze już... Uspokój się, synu. Fajny z ciebie chłopak... No, to cześć, do jutra...

Gość-obrońca odchodzi.

Nie ma już jednak jutra z gośćmi. Roberta skoro świt przenoszą do wążutkiej, prawdziwej celi bez okien.

INNY CZŁOWIEK I TEN Z RYBA

Stanął na brzegu. Pogoda tego dnia była słoneczna i bezwietrzna. Miało się wrażenie, że srebrne powietrze dzwoni o ciszę. Powierzchnia jeziora gładka jak nowy asfalt lub nawierzchnia lotniska. Tylko gdzieniegdzie powstawały pod lekkim podmuchem wiatru delikatne zmarszczki na wodzie. Częściej tworzyły się koła od wypryskujących na powierzchnię wody małych rybek, które, zapewne uciekając przed drapieżnikami, ryzykowały powietrze. Stał na brzegu jeziora i jakby tej tragedii, którą małe rybki wynoszą na światło, wcale nie widział. Jego wzrok błędził gdzieś daleko, na ledwo widoczny siny brzeg lasu, granicę ziemi i wody po drugiej stronie jeziora. Wreszcie rozluźnił swój wzrok napięty na linii łączącej oba brzegi. Chwilę rozglądał się niepewnie wśród rzadkich drzew porastających brzeg, na którym stał. Teraz słyszał brzęczenie owadów i pojedyncze głosy ptaków. Wyjął nóż i ściał cienkie młode drzewko. Kij wygięty do ogromnego łuku nie złamał się. Wtedy na cieńszym końcu kija, tuż za sękiem, zawiązał wyjętą z bluzy cieniutką, niebieską żyłkę, następnie wyjął gęsie pióro i naciągnął na żyłkę, kawałek ołowiu z otworem umieścił w połowie, między gęsim piórem a końcem żyłki. Potem przywiązał ha-

czyk, stosując jeden ze znanych węzłów żeglarskich, tym razem w miniaturze. Wreszcie nadział na haczyk kulkę chleba, którą zaraz zmniejszył, bo wydawała mu się za duża. Po wykonaniu tych wszystkich czynności spojrzał badawczym wzrokiem na swoje dzieło, i na jego twarzy odmalowało się zadowolenie. Usiadł na brzegu i zamachnął się wędką, wyrzucając haczyk możliwie jak najdalej na wodę. Na powierzchni jeziora pozostało pionowe, do połowy zanurzone gęsie pióro. Odtąd wpatrywał się w jeden punkt. W leciutko tańczące na wodzie gęsie pióro. Nie widział teraz przed sobą wielkiej wody jeziora, ani dalekiego drugiego brzegu porośniętego sinym lasem. Nie odczuwał już nawet słonecznego, pięknego dnia; nie słyszał dzwonięcia słońca o ciszę; nie widział małych rybek walczących rozpaczliwie o życie. Patrzył jak zahipnotyzowany w jeden punkt, w gęsie pióro. W kilkunastominutowych odstępach czasu pióro zadrgało kilka razy mocniej, dwa razy nawet lekko zanurzyło się w wodzie, zaraz jednak wypłynęło do poprzedniej pozycji. Nie reagował na to. Siedział nieporuszony. Z kamiennym spokojem. Wreszcie gęsie pióro pozostało na dłużej pod wodą. Wtedy szarpnął energicznie wędką podnosząc ją wysoko w górę. Na końcu wędki trzepotała się ryba wielkości dłoni dziecka. Łapiąc drugą ręką za koniec żyłki przesunął dłoń do wciąż trzepoczącej się ryby. Opuścił kij wędki na ziemię i biorąc w obie ręce rybę usiłował zdjąć ją z haczyka. Śliska ryba wciąż wymykała mu się z dłoni. Ręce jego stały się nerwowe, palce wykonywały chaotyczne ruchy, którymi chciał mocno objąć rybę. Twarz, w przeciwieństwie do rąk, wyrażała skupienie i silną wolę. Wreszcie udało mu się uchwycić rybę w dłoń zwiniętą w pięść. Teraz zaczął wyjmować haczyk tkwiący w dolnej części jej pyszczka. Ha-

czyk siedział mocno. Po każdym ruchu palcami czuł w swojej dłoni wyzwalenie się ryby. Przez chwilę patrzył na nią bezradnie i zamarł, jakby nie wiedział, co ma dalej robić. Potem znowu wrócił do swojej czynności i lekko przymykając oczy, powoli ale z uporem wyjmował haczyk. Wreszcie zrobił energiczny ruch palcami i haczyk z odgłosem skrzypnięcia został w jego ręku. Na rozerwanej dolnej części pyszczka ryby pojawiła się bladoczerwona pośoka. Odrzucił haczyk na bok, biorąc rybę w obie dłonie. Na twarzy człowieka znać było ulgę.

Wstał rozglądając się wokół siebie. Nie miał widocznie żadnego naczynia, gdzie mógłby umieścić swój połów. W dłoniach ryba zachowywała się spokojnie, więc położył ją na trawie, kilka kroków od brzegu. Zanim jednak wrócił do wędki ryba znowu ożywiła się. Ledwo zdążył ją złapać, tuż nad samym brzegiem jeziora. Znowu stał chwilę bezradnie ze swoim łupem w ręce. Znalazł kawałek twardej blachy, którą zaczął wygrzebywać wgłębienie w ziemi. Kiedy to skończył, naniósł dłońmi wody i położył rybę. Ryba z początku leżała spokojnie. Kiedy woda wsiąkła w ziemię, znowu wyskoczyła i zaczęła się rzucać, kierując się w stronę jeziora. Teraz także udało mu się ją uchwycić. I tym razem zrobił to w ostatniej chwili, tuż przed jej skokiem do wody. Człowiek chodził przez chwilę w promieniu kilku kroków, ale wciąż nie mógł znaleźć naczynia, w którym mógłby umieścić to pełne energii i buntu stworzenie. Nie mógł przystąpić do połowu następnych ryb, nie zabezpieczywszy już złapanej. Na twarzy jego wzrastało zdenerwowanie i złość. Uczucie to przytłumiała jednak bezradność. Znowu stanął bez ruchu. Po chwili otarł kropelki potu z czoła i twarzy. Rozpaczliwie rozglądał się wokół. Nagle wsunął rybę do dolnej

kieszeni obcisłej bluzy, którą miał na sobie. Podeszedł do wędki i założył nową skórkę chleba. Rozpoczął dalszy ciąg połowu. Ryba wciąż nie dawała mu spokoju. Znowu ożywiła się, chcąc wydostać się z nowego uwięzienia. Czuł jej poruszenia się na ciele w miejscu pod kieszeniem. Mogło to przypominać nieregularne bicie chorego i osłabionego serca. Spojrzał na mokrą kieszeń, ściągnął wędkę i położył ją obok siebie. Sięgnął do kieszeni, wyjął delikatnie rybę i trzymał ją bezradnie w rękach. Ryba zachowywała się teraz spokojnie. Wiedział, że robiła tak zawsze, zanim nie wypuścił jej z rąk. Wiedział, że wciąż jest w niej wiele siły i chęci życia. Stał bezradnie rozglądając się, jakby oczekiwał skądś ratunku.

Nagle zobaczył, że w jego stronę, brzegiem jeziora, idzie jakiś człowiek. Podniecony i rozgorączkowany zapytał, czy nie ma jakiegoś naczynia. W wyciągniętej ręce wskazał wzrokiem rybę. Ten, który przyszedł, odpowiedział ze zdziwioną miną, że nic takiego nie ma. W jego głosie brzmiała irytacja, a pogardliwy wzrok oznaczał, że traktuje pytającego jak kogoś, kto postradał zmysły. Ale co ja mam z nią zrobić? Co położę na ziemi, to zaraz ucieka — mówił rozpaczliwie człowiek z rybą. Miałem ją nawet w kieszeni, ale bałem się, że tam się udusi — dodał usprawiedliwiająco. Ten, który nadszedł, zrobił kilka szybkich kroków, zapewne chciał jak najszybciej pozbyć się natręta. Człowiek z rybą zastąpił mu jednak drogę. „Niech pan mi pomoże” — powiedział błagalnie. Wtem tamten bez słowa wziął z jego rąk rybę i podeszedł do pnia. Trzymając za ogon uderzył kilka razy głową ryby o pień. Trwało to dosłownie sekundy. Ryba z otwartym pyszczkiem zesztyniała w jego rękach. „W porządku, już nie żyje” — odpowiedział rozbawiony, oddając rybę.

Człowiek, który łowił, trzymając martwą rybę w ręku zrozumiał nagle, jakie to było proste i łatwe. Z wdzięcznością spojrzął za szybko oddalającą się sylwetką przechodzącego tędy człowieka. Chciał biec, aby mu podziękować, ale tamten już był daleko, znikł z jego pola widzenia.



THE HISTORY OF THE

REIGN OF

CHARLES THE FIRST
BY
JOHN BURNET
OF
GLoucester, in the County of
Gloucester

IN TWO VOLUMES

THE FIRST VOLUME
OF
THE HISTORY OF THE
REIGN OF
CHARLES THE FIRST
BY
JOHN BURNET
OF
GLoucester, in the County of
Gloucester

1870

1871

1872

1873

1874

1875

1876

1877

1878

1879

1880

1881

1882

1883

1884

1885

1886

1887

1888

1889

1890

1891

1892

1893

1894

1895

1896

1897

1898

1899

1900

SPIS TREŚCI

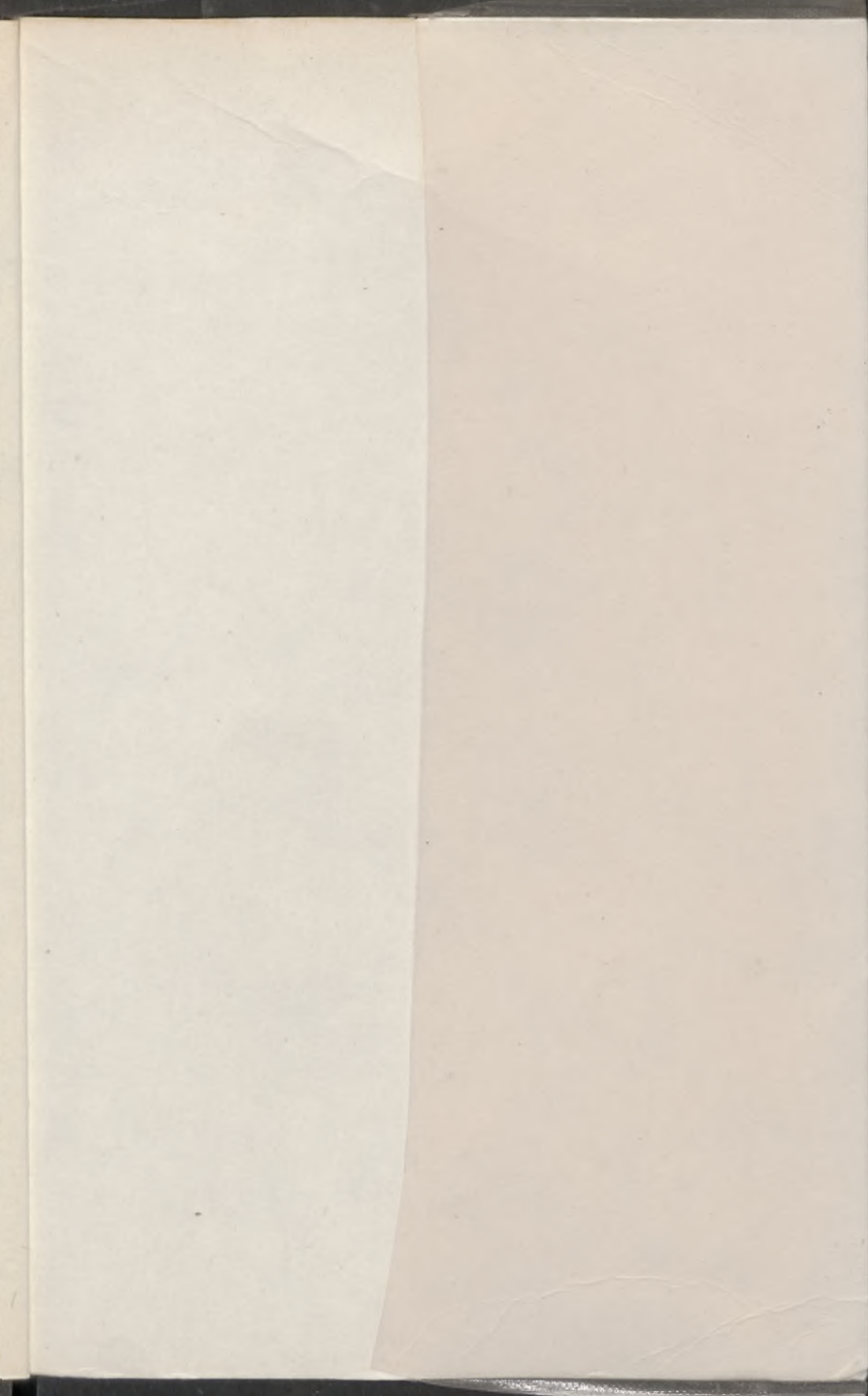
Spowiedź pamięci 5

Miłość legendą innych	7
Pamiętnik nauczycielki	37
Spowiedź pamięci	70
Upominek jubileuszowy	96
Piąta pora roku	140

Próba światła 179

Kto się boi fryzjera	181
Władza	194
Próba światła	202
Wino pestkowe	218
Normalny dziwny człowiek	225
Niecodzienny alarm nocny	237
Nasz bohater, Robert...	244
Inny człowiek i ten z rybą	252

Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1985
Wydanie pierwsze. Nakład: 9650+350 egz.
Objętość 11,2 ark. wyd. Ark. druk. 16,25/16 S1 = 26,0 A1
Przekazano do wykonania w marcu 1984 r.
Podpisano do druku w lutym 1985 r.
Druk ukończono w kwietniu 1985 r.
Papier druk. sat. kl. IV, 71 g, 82×104 cm
Olsztyńskie Zakłady Graficzne im. S. Pieniężnego
10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2
Zam. 2000/E B-6/32
Cena zł 160,—



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. M. Dąbrowskiej
w Słupsku

Nr inwent.

125610

MBP Słupsk Centrala



125610



POJEZIERZE